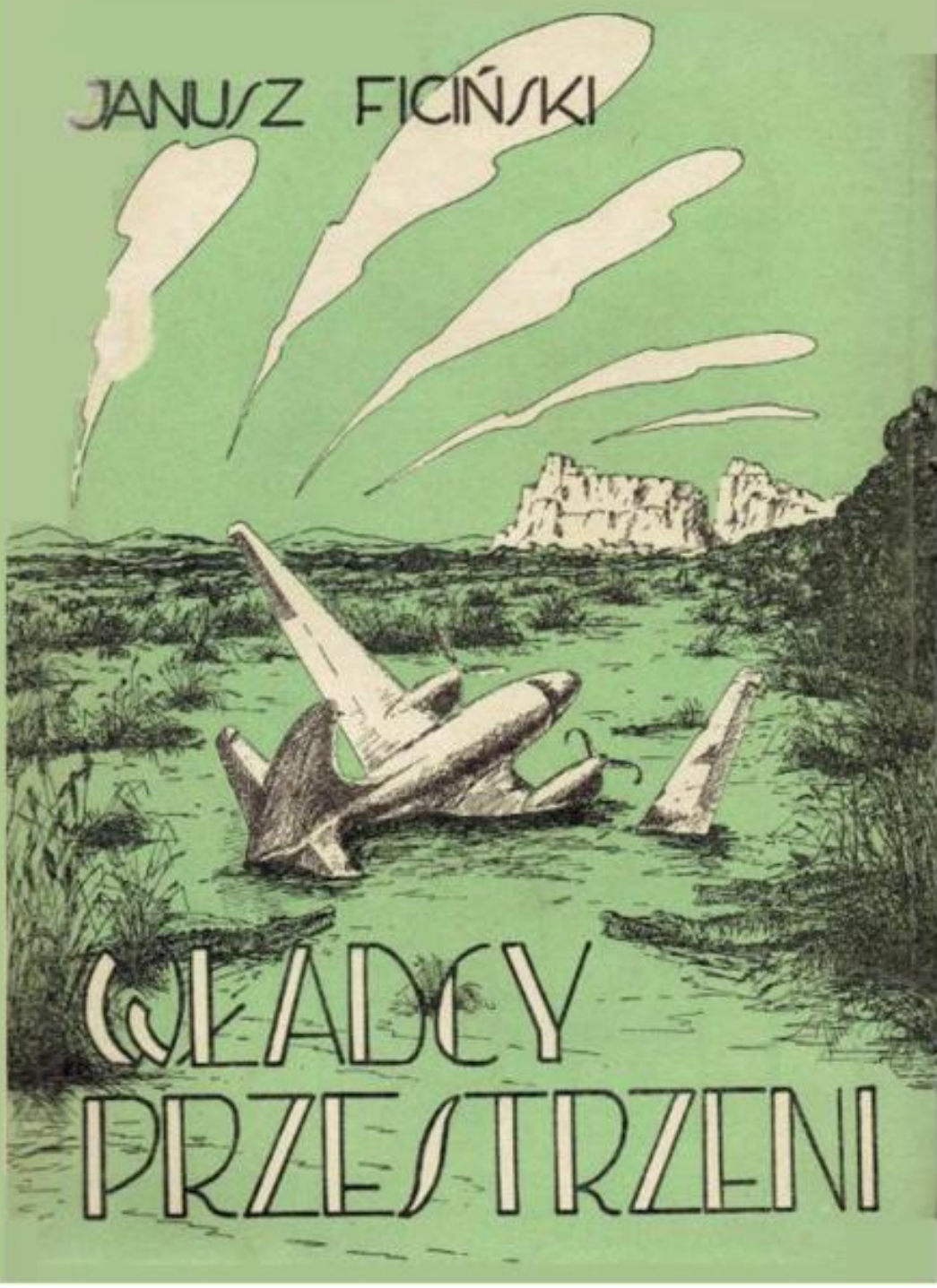


JANUSZ FICIŃSKI



# JANUSZ FICIŃSKI

## WŁADCY PRZESTRZENI

BUENOS AIRES 1952



JANUSZ FICIŃSKI

WŁADCY  
PRZESTRZENI



BUENOS AIRES 1952

## ROZDZIAŁ I

Dora Camber była młodą i odważną, dziewczyną. Wychowana w wielkiej samodzielności, wysportowana, lubowała się we wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwach. Ulubionymi jej sportami, były yachting i lotnictwo; gdyż dostarczały najsilniejszych wrażeń.

Żeglowanie po wzburzonych wodach, lub szybowanie w kierunku, jaki w danej chwili wyznaczała jej fantazja, były dla niej najmiłą uciechą.

Ojciec jej, stary bankier z San Francisco, wdowiec, zajęty swymi interesami, nie miał czasu zajmować się córką. Człowiek ten, pełen energii, nieugięty w swej działalności zawodowej, wykazywał dziwną słabość charakteru i brak zdecydowania, gdy chodziło o jego jedynaczkę. Nie umiał sobie dać z nią rady. Chcąc zyskać spokój, a jednocześnie zadowolić córkę, pozwalał jej na wszystko. W wyniku takiego postępowania, musiał się często uciekać do ogłoszeń w gazetach i radiu, by w ten sposób ustalić miejsce pobytu nieokielznanej jedynaczki.

Chwilami starał się ująć rozhukaną dziewczynę w jakieś ryzy, ale niestety, rezultaty tych usiłowań, były wprost przeciwne spodziewanym. Każde bardziej zdecydowane wystąpienie ojca, wzmagало upór i ekstrawagancje jego pociechy, a jemu przysparzało zdenerwowania i odbierało spokój, tak potrzebny do powiększania wielomilionowej fortuny.

W głowie starego bankiera zaczęła świtać myśl wydania córy za męża, za człowieka, który potrafiłby opanować tę burzliwą naturę.

Po długim namyśle, postanowił porozumieć się ze swym przyjacielem Schmidtem, starym emigrantem z Kiel, a obecnie bogatym i potężnym kupcem. Celem tej rozmowy miało być skojarzenie związku małżeńskiego Dory z synem kupca, Robertem.

W wysokich sferach San Francisco, Robert Schmidt uchodził za dobrą partię. Był to młody, wesoły chłopak, trochę hulaka, ale o szerokich możliwościach na przyszłość w swej karierze dyplomatycznej.

Z uwagi na swą urodę, elegancję i wyrobienie towarzyskie, był zawsze ośrodkiem wszelkich zebrań, przyjęć i imprez sportowych.

Poza tymi pozorami, charakteryzującymi Roberta jako miłego, beztroskiego, lekkomyślnego Jankesa, kryła się jego prawdziwa, skrzętnie ukrywana natura, pełna złych skłonności i wad, starannie maskowanych, miłymi uśmiechami i pięknymi słówkami.

Był on nałogowym karciarzem, brnącym stale, w coraz większe długi. Ponieważ wiedział, że ojciec jego jest zdecydowanym wrogiem wszelkiego hazardu, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że wszelkie zwracanie się do ojca o pieniądze na takie cele byłoby bezowocne. Dopuszczał się, więc szantażów, by znaleźć środki na pokrycie najbardziej palących długów.

Mało ludzi, zdawało sobie sprawę z podwójnego życia Boba, jak go popularnie zwano. Ci zaś, którzy coś niecoś o tym wiedzieli, woleli milczeć, obawiając się smutnych następstw wpadnięcia w konflikt ze zdolnym do wszystkiego Bohem.

Młody hulaka, dowiedziawszy się o planach starego bankiera, zaakceptował je bez najmniejszego wahania.

Obliczył skrupulatnie, że posag Dory uchroni go od poniżenia, z jakim spotkałby się, wyznając ojcu całą prawdę i przedstawiając mu obszerną listę długów. Znając ojca, wiedział dobrze, że prawdopodobnie zapłaciłby jego zobowiązania, ale jednocześnie wydziedziczyłby go całkowicie, wywołując tym wielki skandal, kładący kres jego przyszłości i będący zdemaskowaniem jego prawdziwej natury.

Nie posiadając zdolności psychologicznych, nie przywiązywał najmniejszej wagi do wybryków Dory. Uważał je za kaprysy rozpieszczonej dziewczyny, nieznającej zu-

pełnie życia. Powodowany zarozumiałstwem, uważał, że jeśli obudzi w niej uczucie, stanie się absolutnym panem jej myśli i czynów.

Mając dostateczną praktykę w podbojach serc młodych dziewcząt, był pewnym swego triumfu. Nie tracąc czasu, zaczął zdobywać serce Dory, stosując wszystkie wypróbowane sztuczki ze swego repertuaru.

Dora знаła Boba od dzieciństwa. Jako maleństwa, bawili się często w gronie innych dzieci w wielkim parku jej ojca. Obecnie, należąc do tej samej klasy społecznej, bywali w tych samych domach, należeli do tych samych klubów, uczęszczali do jednych lokali dancingowych i t.p.

Pomimo tego wszystkiego, nic ich właściwie nie łączyło. Był to rodzaj najbardziej obojętnego koleżeństwa, co oboje uważali za zupełnie naturalne.

Jeśli by ktoś zapytał Dorę, jakiego rodzaju jest jej przyjaźń dla Boba, byłaby bardzo zakłopotana i nie wiedziałaby co odpowiedzieć. W rzeczywistości, nie była to przyjaźń, a po prostu konsekwencja znajomości od dzieciństwa i przynależności do tej samej warstwy społecznej.

W czasie, wszelkiego rodzaju rozmów, lub towarzyskich dyskusji, Dora była zdecydowaną przeciwniczką, poglądów Boba i z upodobaniem je zwalczała, dopuszczając się często otwartych drwin z jego zarozumiałstwa i fanfaronady.

Gdyby zadała sobie trudu i przeanalizowała swój stosunek do Boba, musiałaby dojść do przekonania, że powodowała się podświadomą niechęcią do człowieka, otoczonego ogólną sympatią.

Przez myśl jej nie przechodziło, że mógłby powstać między nimi inny stosunek od dotychczasowego; nic więc dziwnego, że nie zauważyła nawet nagłego, serdecznego zbliżenia się Boba, oraz jego usłużności i nadskakiwania. Gdy wreszcie zdała sobie sprawę ze zmiany jaka nastąpiła i zaczęła się domyślać kulis takiego stanu rzeczy, postanowiła skoncentrować całą potęgę swej stanowczej natury, by nie dopuścić do realizacji projektów, godzących w jej

swobodę.

Wyciągnęła od ojca wiadomości o jego planach i widząc, że tłumaczeniem i argumentowaniem, w tym wypadku, nic nie zyska, postanowiła udawać, że poddaje się woli ojca. Z drugiej strony ułożyła sobie plan usunięcia tej wstretnej dla niej przeszkody, ograniczającej jej swobodę.

Znając Boba, jako wygodnego młodzieńca, doprowadziła do szczytu swe wybryki. W wyniku takiego postępowania, stary Camber wpadł w formalną rozpacz, a Bob, któremu przyświecała możliwość zrobienia dobrego interesu na małżeństwie, uczestniczył z niewiarygodną wytrwałością, w wariackich ekstrawagancjach dziewczyny, pokrywając swój niepokój uśmiechem lekceważenia.

Pewnym jest, że nie czuł się dobrze, gdy ciężki Packard Dory pokonywał zakręt, z szybkością około stu kilometrów na godzinę, lub gdy jej mały jak łupina jacht, stawiał opór tytanicznym siłom wzburzonego morza i wichru.

Dora, na próżno szukała na jego twarzy śladów przestachu, lub znużenia. Zorientowała, się po pewnym czasie, że tą drogą nie osiągnie zamierzonego celu. Postanowiła czekać odpowiedniej okazji, by czymś niezwykłym, mającym posmak skandalu, oswobodzić się od natrętnego i wytrwałego konkurenta.

Pewnego wieczora, w czasie balu w Aeroklubie, zdenerwowana nieustannymi i niemal impertynenckimi zalotami Boba, wyszła na balkon, nic chcąc robić publicznego widowiska. Zapaliła papierosa i zaczęła zastanawiać się nad swą sytuacją.

Za chwilę usłyszała kroki zbliżającego się Boba. Elegancki, w obcisłym żakiecie, szedł do niej z uśmiechem, udając, że nie zauważył jej chłodnego obejścia. Zaczął jej tłumaczyć, że dekretem prezydenta, został niespodziewanie wyznaczony na członka Komisji Federalnej, która ma udać się do Hawany, w celu rozstrzygnięcia bardzo ważnych kwestii celnych. Z widocznym zadowoleniem dodał, że ta nominacja jest wyraźnym punktem zwrotnym w jego karierze

dyplomatycznej. Dał do zrozumienia, miną pełną sentymentu, że gdy powróci po spełnieniu swej misji, będzie mógł nareszcie uregulować swe prywatne życie, wyjawiając pewnej osobie swe uczucia. Wymowne spojrzenia, jakie towarzyszyły leniu przemówieniu, wskazywały dobitnie lito był tą osobą.

— Wobec, tego, że Komisja ma rozpocząć swe prace w przeciągu dwóch dni — dodał Bob — polecę jutro wspaniałym czterosilnikowym samolotem, który został oddany do naszej dyspozycji.

W tym momencie wspaniała myśl zaświtała Dorze. Był to chyba jodyny sposób pozbycia się, raz na zawsze, natręta. Rzecz polegała na tym, by przekonać Boba, że tę podróż do Hawany powinien odbyć w jej towarzystwie, jej prywatnym samolotem. W czasie drogi, w odpowiednim momencie, zmusić go do wyrzeczenia się planów co do jej osoby, pod grozą skierowania samolotu do Hondurasu, Gwinei, lub gdziekolwiek, by uniemożliwić mu przybycie do Hawany i tym samym położyć krzyżyk na jego karierze.

Przekonana była, że Bob zrezygnuje z zalotów, a nie ze swej dyplomatycznej przyszłości i zgodzi się na wszystkie warunki, jakie mu ona postawi.

Widząc w tym planie jedyną deskę ratunku, stała się naraz bardzo miłą dla niego. Nie potrzebowała wiele tłumaczyć Bobowi, by zgodził się na jej propozycję. Przekonała go bardzo łatwo, o daleko większej korzyści, płynącej z przybycia na Konferencję własnym samolotem w jej towarzystwie.

Bob, przekonany, że Dora jest oczarowana jego osobą i perspektywą świetnej przyszłości, a jednocześnie, zaślepiony wizją efektu swego przybycia do Hawany własnym samolotem, w towarzystwie narzeczonej, uległ natychmiast. Widział się już na zdjęciach codziennej prasy, z narzeczoną przy boku. Wyobraźnia podsuwała mu już teksty bardzo szczegółowych komunikatów, zamieszczonych na łamach gazet, co uważał za pomocne w swojej karierze.



Technicznie podróż taka nie przedstawiała najmniejszych trudności. Samolot należał do aparatów bardzo wysokiej klasy; był szybki i przystosowany do dalekich lotów.

Dora uradowana zgodą Boba, wyznaczyła godzinę odlotu i usprawiedliwiając się niezbędnymi przygotowaniem do podróży, opuściła zabawę.

Rzeczywiście, miała wiele zajęć związanych z jutrzniejszym lotem. Musiała wydać polecenie przygotowania samolotu, a co ważniejsze, wtajemniczyć w swe plany swego prywatnego pilota, gdyż bez tego nie mogło być mowy o doprowadzeniu ich do skutku.

Otavio Portos był Brazylijczykiem. Był to człowiek młody, przystojny, wysokiego wzrostu, o smagłej twarzy, inteligentnych oczach i czarnych, falistych włosach. Zamknięty w sobie, małomówny, nigdy nie wspominał o swej przeszłości, a jego energiczna twarz, o poważnym wyrazie, nie upoważniała do niedyskretnych indagacji.

Życie wiódł samotne, bez przyjaciół i bliskich znajomych, co wywoływało zaciekawienie wśród niedyskretnych ludzi. Wkońcu wyszperano wiadomość, nie wiadomo, z jakie-

go źródła, że przeszłość jego jest związana z przejściami jakiegoś oficera lotnictwa brazylijskiego, który zbiegł ze swego kraju na skutek udziału w nieudanej rewolucji.

Jako pilot, Portos był bezsprzecznie doskonałym. Posiadał znajomość swego zawodu, która stawiała go znacznie wyżej, pod względem fachowości, niż pilotów linii komunikacyjnych.

Dora, obserwując jego technikę pilotażu, w czasie przelotu do Chicago, na który ojciec jej jednorazowo go zakontraktował, postanowiła zatrzymać go, jako swego prywatnego pilota.

Wkrótce zauważyła, że Portos, gdy chodziło o realizowanie jej wariackich wycieczek, przyjmował wszystkie polecenia z dyskretnym uśmiechem, świadczącym, że on

też lubił przygody.

Po powrocie do domu zaczęła szukać Portosa i wreszcie znalazła go w garażu, zajętego ustawianiem zapłonu jednego z samochodów, którego zwykł był używać do swych prywatnych wyjazdów.

Porozmawiali chwilę i Dora udała się do swych apartamentów.

## ROZDZIAŁ II

Nazajutrz o oznaczonej porze wystartowali. Samolot wznosił się szybko ku obłokom, unosząc na swym pokładzie trzy istoty, mające przeżyć najfantastyczniejszą, z fantastycznych przygód.

Podróż rozpoczęła się normalnie. Większość drogi przebyli bez najmniejszych przeciwności i przenocowali w stolicy Meksyku. Portos zbadał drobiazgowo samolot i czekał gotowy do odlotu, świadomy tego, że właśnie teraz, na odcinku między Merydą i Hawaną, Dora zamierzała wprowadzić w czyn swój plan.

Komunikat meteorologiczny z Merydy zapowiadał zmianę pogody, silne wiatry i znaczny spadek ciśnienia atmosferycznego. Donoszono, że w takich warunkach przelot z Meksyku do Merydy może trwać około trzech godzin i drugie tyle z Merydy do Hawany.

Portos, z niemym zapytaniem w oczach, podał Dorze kopię komunikatu. Przeczytała go i po chwilowym wahaniu zwróciła pilotowi lekko wzruszając ramionami.

— Przecież jest cały szereg pośrednich lotnisk na naszej trasie. Mamy radio. Nie możemy teraz przerywać podróży.

Bob, który już wygodnie ulokował się w kabinie, nie zwrócił uwagi na krótką wymianę zdań między Dorą i pilotem. Jedyńą jego troską było takie umieszczenie bagażu, które pozwoliłoby uniknąć zgniecenia eleganckiego, sportowego garnituru. Dora, zajęła miejsce obok pilota. Za chwilę lecieli już na wschód na wysokości około 500 metrów.

— Cudowna podróż kochanie! — odezwał się Bob. — Twój aparat jest naprawdę pierwszorzędny. Patrz, jak już daleko jesteśmy od lotniska. Czy zauważyłaś tego człowieka wyglądającego z daleka jak owad?

Dora spojrzała we wskazanym kierunku i zauważyła jakiegoś człowieka, wyciągającego ramiona, jak gdyby przesyłającego w ten sposób ostatnie pożegnanie.

— Widzisz, Bob, lecimy z szybkością 450 kilometrów na godzinę. Podziel to przez sześćdziesiąt, a zrozumiesz dlaczego tak szybko znika z horyzontu stolica Meksyku.

— Cudownie, ale wołałbym jednak, byśmy lecieli wolniej. Miałbym wówczas sposobność dłużej cieszyć się twym przemiłym towarzystwem.

Dora przyjęła komplement z ironicznym uśmiechem.

— Nie wiem, czy moje towarzystwo nie zacznie cię wkrótce męczyć — pomyślała.

Była stanowczo zdecydowana zrealizować swój plan, stawiając Bobowi w odpowiednim momencie ultimatum.

Bobowi nie zamykały się usta. Opowiadał bez przerwy o ważności swej misji, starał się uwydatnić doniosłość swych osobistych wartości, i wzbudzić w Dorze zachwyt dla jego osoby.

Swym, opowiadaniem podniecał siebie samego i marzył. Widział siebie otoczonego za kilka godzin grupą reporterów i fotografów, starających się jeden przez drugiego uzyskać wywiad, lub zrobić zdjęcie wielkiego dyplomaty, podróżującego w towarzystwie swej narzeczonej, córki milionera Cambera.

Pod wpływem tych rojeń, głos jego przybrał ton pełen sentymentu i tkliwości. Być może, że wzruszyłby on Dorę, gdyby ona go słuchała.

Dora, zatopiona w swych myślach, nie słyszała w ogóle słów Boba. Dolatywał do jej świadomości jedynie jakiś szmer głosu, przygłuszony miarowym rytmem pracy silnika.

Portos dyskretnie nie zauważył, co się działo między pasażerami. Spokojnie prowadził maszynę udając, że nie słyszy monologu pasażera. W pewnym momencie założył słuchawki, by drogą radiową porozumieć się z lotniskiem w Merydzie. Drgnął. Radio nie funkcjonowało. Odłączył prze-

wodniki, zwracając tym uwagę Dory.

— Czy coś jest nie w porządku?

— Mamy uszkodzone radio.

— Gdzie jesteśmy?

— O 300 kilometrów od Merydy.

— A więc za trzy kwadranse powinniśmy tam być.

Zbadamy wtedy nasze radio.

— Dobrze, proszę pani.

Ton głosu Portosa był spokojny, twarz nie zdradzała niczego nadzwyczajnego, tylko oczy wpatrzone były z uwagą w jeden punkt w północnej części widnokręgu.

Dziwne zmiany zauważył w tej stronie. Nie były to chmury, a poprosili coś, co przypominało plamę atramentu, szybko powiększającą się na powierzchni wchłaniającej ją bibuły.

Dora nie obserwowała dziwnego zjawiska. Postanowiła teraz właśnie rozmówić się z Bobem.

— Słuchaj, Bob! — rzekła zwracając się do młodzieńca — Musimy obecnie porozmawiać o sprawie bardzo ważnej dla nas obojga. Trzeba nareszcie wyjaśnić sprawę oraz na zawsze, gdyż obecny stan rzeczy jest co najmniej nieznośny.

— O co ci chodzi? — zapytał zaskoczony jej tonem Bob.

— Nie przerywaj! Słuchaj tego, co ci mówię i staraj się nie utrudniać sytuacji, która i bez tego jest dostatecznie powikłana. Chcę, byś wiedział, że byłam zawsze twą dobrą koleżanką, ale nigdy nie dałam powodu, byś wyciągał z tego zbyt daleko idące wnioski. Nie chcę analizować przyczyn, które skłoniły cię do usiłowań grania roli, starającego się o moją rękę, natomiast z całkowitą świadomością proszę cię o zaniechanie wszelkiego rodzaju umizgów. Nic z nich nie będzie.

— Najdroższa!... Nie rozumiem!... — wyjąkał Bob.

— Wiesz dobrze o tym, że jestem całkowicie samodzielną i jako taka, ja, a nie kto inny, będę decydowała o mej przyszłości. Nie wiedziałam jak się pozbyć twego na-

tręctwa, wymyśliłam więc tę podróż. Nigdy nie kryłam wrażeń, jakie robiły na mnie twe zaloty, tym nie mniej, nie wiedziałam, jak się pozbyć twego natręctwa. Wymyśliłam więc tę podróż, by...

Dora. nie mogła skończyć rozpoczętego zdania, gdyż dalszą rozmowę przerwał zdenerwowany nieco głos pilota:

— Przepraszam panią. Myślę, że będziemy musieli gdzieś lądować...

— Dlaczego? — przerwała mu zdziwiona Dora.

— Zbliża się burza — rzekł Portos wskazując na zaciemniający się horyzont.

Rzeczywiście, mała plama zwiększała się z zastraszającą szybkością. Pokrywała już większą część horyzontu zbliżając się szybko w kierunku samolotu.

Dora, niezdecydowanie, przygryzła wargę.

— Czy daleko jesteśmy od Merydy? — zapytała.

— Dwadzieścia minut lotu.

— Czy zdążymy dolecieć przed burzą?

— Wątpię, panno Camber.

Tymczasem Bob otrząsnął się z otrzymanego ciosu. Pałał nienawiścią. — Jakże został oszukany! A ta jej uprzejmość względem obcego sługusa! Złość, oburzenie i nienawiść dławily go i pozbawiały przytomności. Nie panował nad sobą. Gotów był wybuchnąć przekleństwami i nie dobierając słów, upokorzyć podłą dziewczynę, która tak cynicznie zdrwiła z niego i to w obecności sługusa, za jakiego uważał Portosa.

Na szczęście nie zdążył urzeczywistnić swego zamiaru. Instynktownie zwrócił uwagę na niespokojne spojrzenia pilota i Dory. Strach przed niebezpieczeństwem górował nad innymi uczuciami.

— Co się stało? Czy coś nam zagraża? — zapytał.

— Możliwe! — odrzekł Portos — Chwyceni burza, będziemy mieli ciężką przeprawę.

Bob przestał panować nad sobą.

— Uciekajmy! — krzyknął — Na co czekacie? Wra-

caj, Otavio! Przecież przy szybkości tego samolotu możemy uciec przed burzą. Oh! Podłe nicponie na tym meksykańskim lotnisku! Jak mogli pozwolić na start?! Idioci! Czy nic mają komunikatów? Kanalie! Wracaj! Słyszałeś!

Oczy Portosa i Dory spotkały się w spokojnym porozumieniu.

— Zdaje mi się, że osoba, którą widzieliśmy na polu, dawała nam jakieś znaki — rzekła Dora. — Prawdopodobnie po otrzymaniu drugiego komunikatu meteorologicznego. Zepsute radio dokonało reszty.

W tej chwili samolot otrzymał pierwsze uderzenie wiatru. Wydawało się, że jakaś tajemnicza siła chwyciła aparat, by następnie rzucić nim w dół.

Portos, manewrując sterami poziomymi, podtrzymał dziób samolotu, a następnie, wspaniałym ześlizgiem na prawe skrzydło, skierował go pod wiatr.

Spojrząwszy przez ramię ku górze, zrozumiał całe niebezpieczeństwo. Słońce świeciło w dalszym ciągu, wiatr ucichł nagle i zaległa przerażająca, groźna cisza. Cyklon!

— Założyć pasy ratunkowe! — zawołał Portos.

Ze sposobu wypowiedzenia tych słów, jak i z wyrazu twarzy Portosa wynikało, że objął komendę i żąda skrupulatnego wypełnienia swych rozkazów.

Dora, zapinając pas bezpieczeństwa, rzuciła Portosowi nieme, wzrokowe zapytanie.

— To nie jest, proszę pani, zwyczajna burza. To cyklon. Mam wrażenie, że przeżyjemy ciężkie chwile. Musimy się na to przygotować. Ciągnie z Florydy. Tymczasem niepodobieństwem jest określić jaki przybierze kierunek.

— Co pan zrobi?

— Będę starał się walczyć z tą straszliwą siłą, która w każdej chwili może zdruzgotać aparat. Po pierwszym uderzeniu nawałnicy, skierowałem samolot pod wiatr, by przekonać się, że w ten sposób nie się nie da zrobić. Huragan jest zbyt silny. Pozostaje nam lecieć z wiatrem dostosowując dzięki pracy silnika naszą szybkość do szybko-

ści wiatru. Tym sposobem, powinniśmy uniknąć wpadnięcia w oko cyklonu. Jeśli wiatr będzie mniej więcej, zachowywał jakiś określony kierunek, mamy szansę uratowania się.

— A jeśli nie?

— Wszelkie niespodziewane porywy wiatru, wszelkie wiry powietrzne — to nasza zguba.

— A jeśli wpadniemy w oko cyklonu?

— Wtedy tylko cud może nas ocalić, bo... Baczność!!!

Okrzyk pilota oznaczał początek straszliwej walki maszyny i człowieka z potęgą żywiołu, który zdawał się być kierowany jakąś niewidzialną ręką demona zła, niszczącego wszystko, co spotka na swej drodze.

Portos leciał na ślepo. Kontrolował stale instrumenty pokładowe, starając się utrzymywać dość dużą wysokość, by uniknąć uderzenia w jakąś terenową wyniosłość.

Przypuszczał, że leci nad Gwatemalą. Ponieważ jednak wiatr często zmieniał kierunek, nie mógł określić położenia samolotu. Obawiał się stale, że lecąc z nieznaną mu szybkością wiatru i w nieznanym kierunku, mógł wpaść na niebotyczny łańcuch Kordylierów i tam znaleźć śmierć razem z obojgiem pasażerów.

Obserwując igłę busoli stwierdził, że generalny kierunek ich lotu jest strasznie niebezpieczny. Wszystkie jego wysiłki, mające na celu minimalną choćby zmianę kierunku, spełzły na niczym wobec szalonej siły wiatru, grożącego połamaniem skrzydeł.

Pilotowanie z każdą chwilą stawało się coraz trudniejsze. Wszystkie złącza kadłuba i skrzydeł drżały i trzeszczały przeraźliwie wydając coś na podobieństwo jęków i skarg, świadczących o beznadziejności walki z żywiołem. Świadomość, że lada chwila kadłub samolotu, pokonany nierówną walką, może rozlecieć się na drobne kawałki, zmusiła Portosa do pozostawienia aparatu na łasce wiatru i zarzucenia bezcelowych wysiłków sprowadzenia go z niebezpiecznego kursu. Troszczył się teraz o zachowanie równowagi i mo-



żliwie dużej wysokości. Koszty pozostawił losowi.

Wiatr był teraz gnając z wściekłą mocą i nie dając ani chwili wytchnienia.

Motor pracował pełną siłą swych potężnych cylindrów i z ledwością mógł osiągnąć pewną równowagę samolotu, rzucałego bezwolnie na wszystkie strony, niczym zeschnięty liść, spadający z drzewa w czasie wichury. W każdej chwili groziło runięcie.

Portos, ze zdrętwiałą twarzą, zmarszczonymi brwiami i wzrokiem utkwionym w pokładowych instrumentach, wydawał się być częścią aparatu, wtopioną weń siłą cyklonu.

Dora była blada, lecz w oczach jej błyszczała odwaga. Ta bohaterska dziewczyna nie знаła Uczucia trwogi i upadku ducha. Czuła podświadomie, że to nie może być końcem jej przeżyć. Podlegając wraz z całym samolotem nieprawdopodobnym wstrząsom, powodowanym gwałtownością wiatru, śledziła bacznie każdy ruch pilota.

Bob znalazł się, w daleko gorszych warunkach. Biedak, nie przyzwyczajony do akrobacji w powietrzu, zaczął w niemożliwy sposób cierpieć fizycznie.

Zdawało mu się, że rwą się w nim wnętrzności wywołując mdłości i zawroty głowy. Stękał więc, i płakał na przemian, momentami kompletnie omdlewałby za kilka chwil odzyskać znów przytomność i na nowo przeżywać niesamowite cierpienia.

Przygnębiony fizycznie i moralnie, robił wrażenie łachmana przywiązanego do pasa bezpieczeństwa. Nie zdawał sobie wcale sprawy z groźby położenia w jakim się znajdowali. Znękany mdłościami i wymiotami, nie zdolny był do myślenia.

Portos zauważył jakoby lekkie uspokojenie się wiatru. Wydawać by się mogło, że jeszcze trochę wysiłku, a wyjdą zwycięsko z zapasów z rozszalałym żywiołem. Lunał ulewny deszcz, a oddalające się powoli zygzaki błyskawic rozdzierały raz po raz atramentową czerń nieboskłonu.

Samolot, utrzymywany w równowadze bezprzykładnym

wysiłkiem woli pilota, trzymającego obolałymi rękami steru, zaczął wykonywać dość łagodne półkola.

Z pośród obecnych na pokładzie jedynie Portos wiedział czym jest cyklon. On jeden znał ten fenomen chwilowego spokoju i wiedział, że lada moment musi nastąpić nieoczekiwany, nagły zryw wichru, daleko silniejszy od poprzednich, który będzie dla nich końcem nierównych zmaganiań.

Nagle samolot, lecący dość spokojnie łagodnymi półkolami, wszedł w jasne, ciche koło skąpane nadzwyczaj jaskrawymi promieniami słońca.

Dora wydała okrzyk zdumienia. Przekonana była, że są ocaleni.

Z błędu wyprowadził ją dopiero smutny głos Portosa:

— Oko cyklonu... i koniec.

Spojrzał w dół. Rozciągająca się w odległości dwustu metrów ziemia stanowiła w tym miejscu pagórowatą okolicę, pokrytą ciemnym dywanem lasu. Na lewo widać było jaśniejszą, zieloną plamę jeziora, a wokół niego podmokłe tereny, robiące z daleka wrażenie bagniska.

Portos spojrzał przed siebie. Czarna chmura zbliżała się z nieprawdopodobną szybkością. Za chwilę nastąpi ostatnia, tym razem już bardzo krótka, runda walki. Przypuszczalne bagno było jedynym ocaleniem.

Portos zdecydował się w jednej chwili.

— Baczność! Trzymać się mocno!

Oстрыm ześlizgiem na lewe skrzydło sprowadził maszynę na wysokość kilku metrów mul ziemię, wyrównał lot, zaniknął gaz i zaczął lądować.

Ażeby uniknąć niebezpieczeństwa kapotażu, lądował ze schowanym podwoziem wykorzystując kadłub samolotu jako płożę, która, jeśli wytrzyma uderzenie, zamortyzuje siłę zetknięcia się z ziemią, i pozwoli samolotowi na łagodny poślizg po bagnistym terenie.

Pierwsze zetknięcie z nierównym terenem było gwałtowne. Płaty, osłabiono wielogodzinnym naporem cyklonu,

nie wytrzymały wstrząsu. Kadłub poślignął się jeszcze kilkadziesiąt metrów po bagnistym terenie i zatrzymał się pochylony lekko na jeden bok.

W chwilę później zapanowała na nowo ciemność. Cyklon z podwójną siłą wznowił swą niszczycielską akcję.

W świetle błyskawic widać było niesione gdzieś w dal nieużyteczne już skrzydła samolotu.

## ROZDZIAŁ III

Dora otworzyła oczy. Całe ciało miała obolałe. W skroniach czuła przeszywający ból, jakby od uderzenia młotem. Chciała skupić myśli, by zdać sobie sprawę z przeżyć ostatnich godzin. Nie mogła.

Spojrzała przed siebie i zauważyła, że końce jej bucików dotykają twarzy. Usiłowała poruszyć się, lecz nie była w stanie. Jęknęła jedynie pod wpływem przejmującego bólu w krzyżu.

Kilka minut leżała bez ruchu i wreszcie zaczęła powoli przychodzić do siebie. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z pozycji, w jakiej znajdowało się jej obolałe ciało. Była przywiązana i niemal zawieszona w kabinie. Ból w krzyżu pochodził z ucisku, jaki wywierał skręcony pas bezpieczeństwa, omotywiający jej ciało. Na twarzy czuła jakaś wilgotną, lepką ciecz, która zalewała jej lewe oko. Ostrożnie podniosła lewą rękę, by palcami przetrzeć oko. Na ręku pozostał jej gęstawy skrzep krwi.

Przechyliła głowę szukając rany i nagle ręka jej napotkała drugą głowę, leżącą nieruchomo na jej ramieniu. Spojrzała i dostrzegła Portosa. Leżał, osłaniając ją swym ramieniem, a z czoła ciekła mu krew. Był nieruchomy, jakby martwy.

Chciała krzyknąć, lecz nie była. w stanic wydać żadnego dźwięku przez kurczowo zaciśniętą krtani. Zaczęła robić rozpaczliwe wysiłki, by zmienić pozycję na taką, która umożliwiłaby jej ratowanie rannego.

— Poczekaj, Doro, pozwól, że się uwolnię od tego ciężaru, który mnie przygniata! Cały bagaż zwałił się na mnie. Poczekaj chwilę! Zaraz skończę z tym przeklętym bagażem i będę mógł ci pomóc.

— Bob! Żyjesz? Bogu dzięki!

Radość przywróciła jej głos.

— Czy nie jesteś ranny?

— Nie, nic mi nie jest. Tylko małe zadraśnięcia. Żeby diabli wzięli te przekłete worki podróżne! — kłął Bob zrzucając z siebie pakunki.

— Nareszcie! — odetchnął po usunięciu ostatniego.

— A ty nie jesteś ranna?

— Zdaje mi się, że nie bardzo, ale Otavio nie daje znaku życia. Jest, zdaje mi się, poważnie poraniony. Boże mój. Może on.. Puść mnie Bob! Najpierw Otavio! Odwiąż jego pas! Ostrożnie!...

— Odciągnij go w głąb, a później pomóż mnie!

Gdy tylko poczuła, że ma oswobodzone nogi, zaczęła próbować sprawności swych członków. Stwierdziła, że nie ma nic złamanego, podniosła się więc ostrożnie i zatrwożona stanem Portosa zajęła się ratowaniem go.

Z pomocą Boba ulokowała go, jak mogła najwygodniej, na workach podróżnych.

--- Bob — zawołała — tam leży mała walizeczka! Podaj mi ją! Mam tam termos napełniony koktailem. Może się nie stłukł.

Otworzyła walizeczkę, wyjęła z niej nienaruszony termos i szklaneczkę, i z trudnością, korzystając z pomocy Boba, wlała, nieco płynu między kurczowo zaciśnięte zęby chorego.

Portos za krztusił się, uchylił nieco powiek i rzucił niespokojne spojrzenie. Jęknął i znów wpadł w omdlenie.

Dora podała szklanę Bobowi.

--- Wlej mu jeszcze trochę! — powiedziała, a zwracając się do Portosa. dodała : — Pij, pij, to ci dobrze zrobi.

Otavio otworzył oczy. Wypił kilka łyków podanego płynu i powoli, z pomocą obojga młodych, usiłował usiąść. Z wielkim wysiłkiem udało mu się. Obejrzał się wokoło i mruknął:

— Ładny porządek!...

Rzeczywiście, wszystko znajdowało się w krańcowo oplakanyim stanie. Kadłub samolotu, pochylony na bok,

tkwił głęboko w błocie. Odłamki wewnętrznych urządzeń i najrozmaitsze drobiazgi rozrzucone były po całej kabinie i pomieszane z potłuczonym szkłem pływały się w mieszaninie krwi, błota i smarów.

W niemniej rozpaczliwym stanie znajdowali się rozbitkowie. W podartych ubraniach, wymazanych olejami, twarzami oblepionymi krwią, nie przypominali nawet eleganckich ludzi, którzy dzisiejszego ranka startowali meksykańskiego lotniska.

— Ostatecznie jesteśmy żywi i zdrowi, a to najważniejsze — odezwała się Dora poszukując czegoś w swej podręcznej walizeczce. — Myślę, że jeszcze jeden kieliszek i kilka sandwiczów, które znalazłam, nie powinny nam zaszkodzić.

Rozdzieliła znalezione zapasy i rzekła:

— Ciekawa jestem, gdzie my się właściwie znajdujemy? Otavio, czy pan jest w stanie określić w przybliżeniu nasze położenie?

Wszyscy troje zaczęli ciekawie rozglądać się po okolicy.

Była to lekko pagórkowata płaszczyna pokryta w większości moczarami, wśród których gęsto widniały duże przestrzenie błyszczącej, czarnej wody. Wszystko razem robiło wrażenie kompletnego pustkowia. Mgła, unosząca się nad mokradłami, nadawała krajobrazowi jeszcze bardziej smutnego i przygnębiającego wyglądu. Nie pozwalała ona zaobserwować rozległości bagniska, ginącego opodal żałosnych szczątków samolotu, w jej sinomlecznych tumanach. Powietrze, przepojono wyziewami bagien, rozparzonych piekącym słońcem było ciężkie i cuchnące.

— Ja sam chciałbym wiedzieć gdzie my jesteśmy — rzekł Portos. — Gdy zbliżający się od północy cyklon pochwyił nas w swoje szpony, byliśmy blisko Merydy. Była wtedy dziesiąta rano. Obecnie którą mamy, panie Schmidt? Bo mój zegarek rozbity.

— Szóstą dwadzieścia.

— Nie mam pojęcia jak długo byłem nieprzytomny, ale sądząc z atmosfery i mgły myślę, że burza niedawno się skończyła. Jeżeli wylądowaliśmy tutaj dwie godziny temu, to znaczyłoby, że nasza walka trwała sześć i pół godziny. Jeżeli cyklon posuwał się z szybkością, przypuśćmy, 500 kilometrów na godzinę, mogliśmy przebyć w tym czasie ponad trzy tysiące kilometrów. Jaka jest jednak pewność, że szybkość cyklonu nie była większa.

— Ale pan w swoich obliczeniach nie bierze pod Uwagę szybkości samolotu — zauważył Bob.

— Ta szybkość, panie Schmidt, jest zupełnie nieistotną. Pomagała ona, nam jedynie w utrzymaniu kierunku i równowagi. Dzięki niej byliśmy tylko w pewnym stopniu igraszką wichru, gdyż mogliśmy utrzymywać się, mniej więcej, równoległe do szybkości wiatru. Dla naszych obliczeń może służyć jedynie, szybkość cyklonu, gdyż myśmy lecieli przez długi czas na czole burzy z jej szybkością. Praktycznie nasza szybkość była nieco mniejsza z uwagi na opór, jaki stawia samolot, i dlatego stale opóźniając się. zostaliśmy dopędzeni przez oko cyklonu. Wziąwszy pod uwagę takie obliczeniu mogliśmy przebyć nawet około 4000 kilometrów. Możemy więc obecnie znajdować się w Kolumbii, Ekwadorze, Peru, lub nawet w Brazylii. Jedno pewne, a mianowicie to, że jesteśmy na dosyć wyniosłej płaszczynie. W początkach naszej walki byliśmy na wysokości około 500 metrów. Ja przez cały czas starałem się pietylko utrzymać tę wysokość, a nawet powiększyć ją, co w moim przekonaniu udało mi się. W momencie wpadnięcia w oko cyklonu byliśmy jednak zaledwie 200 metrów nad ziemią, co oznacza, że te okolice są położone przynajmniej 400 do 500 metrów nad poziom morza.

— Boże wielki! — wykrzyknął Bob z nieukrywaną rozpaczą — Ameryka Południowa, a dziś konferencja w Hawanie. Jeśli...

— Co za dziecinada Bobie! — przerwała niecierpliwie Dora — Ozy ty nic rozumiesz, że cyklon powstrzymał rów-

nież przelot służbowego samolotu, który miał przewieźć resztę członków Komisji? Bóg raczy wiedzieć, jakie szkody mógł ten cyklon wyrządzić? Lepiej myślny o tym, jak się stąd wydostać.

— Nie tak łatwo, proszę pani — rzekł Portos — proszę spojrzeć na te kłody, które nas otaczają. — Mówiąc to wskazał ręką za okno.

Dora spojrzała i natychmiast zrozumiała grozę położenia.

— Krokodyle! — wykrzyknęła i instynktownie przytuliła się do Boba.

Ten, szalony z przerażenia, odepchnął ją brutalnie i drżąc zaczął obserwować przez wybite okno obrzydliwe gady.

Olbrzymie cielska potworów okrzyły maszynę i poukładały się nieruchomo, jak kłody, pokazując straszne szeregi zębów. Czekwały na swe ofiary.

— Uspokujcie się! — powiedział poważnym głosem Portos — Położenie jest przykre, lecz bynajmniej nie rozpaczliwe. Panie Schmidt, niech pan pomoże mi oderwać drzwi od składziku bagażowego. Mam tam Winchester i skrzynkę z nabojami.

— Panno Camber, proszę się schować. Możliwe, że gady nie widząc upatrzzonego żeru wycofają się z obłączenia.

Wypowiadając te słowa nabijał wyjęty z magazynu sztucer. Następnie zbliżył się ostrożnie do otworu w połamanej kabinie i po starannym wycelowaniu pociągnął za spust. Padł strzał. Od niesamowitego hukn zadrzało powietrze i woda. Błotna maź, pod wpływem nagłych ruchów potworów, zaczęła rozpryskiwać się na wszystkie strony.

Powietrze napełniło się wrzaskiem różnorodnego ptactwa, protestującego w ten sposób przeciwko zakłócaniu normalnie panującego tu spokoju.

Portos przekonał się, że chybił. Starał się trafić w oko, gdyż wiedział, że w innym wypadku ołowiana kula odbije się od twardej czaszki potwora. Mając małe szanse tra-



fienia strzelał raczej w tym celu, by hukiem wystrzału odstraszyć zwierzęta. Nie pomylił się.

Bob, zdenerwowany sytuacją, wyciągnął papierosa i zapalił go drżącymi rękoma.

— Zgasić papierosa!!! — krzyknął Otavio — Czy pan nie widzi rozlanej po wszystkich kątach benzyny?!!!

Bob poczuł się obrażony. Już otwierał usta, by impertynencko odezwać się do Portosa, ale zmroziło go ostre, przeszywające spojrzenie pilota. Ociągając się zgasił papierosa.

Dora z zainteresowaniem przyglądała się tej scenie. Po raz pierwszy widziała w oczach Portosa władczy, nieznoszący sprzeciwu błysk. Poczwała dla niego szacunek i ufna w jego opiekę zrozumiała, że i jej nie może zabraknąć odwagi do zmierzenia się z losem, jaki stał się ich udziałem. Kobięcym instynktem odgadła, że między tymi dwoma mężczyznami zapanowała wielka niechęć i pośpieszyła natychmiast załagodzić sytuację:

— Bobie! Otavio ma rację !!! Patrz! Wszędzie jest pełno rozlanej benzyny. W razie pożaru stracimy ostatnie nasze schronienie, zabezpieczające nas przed krokodylami.

Rzeczywiście, potworne stworzenia, wystraszone hukiem wystrzału, zjawily się z powrotem i zajęły swe obłąznicze pozycje, tylko obecnie w większym oddaleniu.

Portos milcząc przyglądał się gromadom krokodyli. W pewnej chwili poprosił Dorę o pudełko od mydła. Zrobił z niego coś w rodzaju lejka, wygładził, napełnił hen zatkał otwór i rzucił między zwierzem.

Ohydne gady leżały nieruchomo, wpatrzone zimnym, okrutnym wzrokiem w upatrzone ofiary. Po kilku minutach krokodyle, najbliższe leżącego na błocie pudełka z benzyną, zaczęły się niespokojnie ruszać, wycofywać się powoli i wreszcie całkiem się oddaliły.

Portos z zadowoleniem stwierdził:

— Wiedziałem, że wiele zwierząt nie znosi zapachu benzyny. Zrobiłem próbę i upewniłem się, że krokodylom

też on nie sprawia przyjemności. Wokół kadłuba naszego samolotu pełno jest rozlanej benzyny, jesteśmy więc, zabezpieczeni przed zbytnim zbliżeniem się tych potworów. Przypuszczam, że ten eksperyment pomoże nam jutro przy przedostawaniu się na suchy ląd.

— Jutro? — zapytała Dora.

— Tak, jutro. Obecnie ściemnia się. Nie wiemy co nas czeka na lądzie. Myślę, że lepiej będzie zbadać wszystko za dnia. Dziś będziemy spać w kabinie.

— No, trudno! — zgodził się Bob — Diabli tylko nadali z tymi sandwiczami. Po zjedzeniu ich mam takie straszne pragnienie, że chętnie piłbym wodę z tego bagniska.

— Zwariowałeś, Bob! Pohamuj się cokolwiek,

— Myślę, że będziemy mogli zdobyć wodę — rzekł zamyślony pilot.

Bob i Dora spojrzeli na niego z pewnym zdziwieniem. Otavio uśmiechnął się i rozpoczął jakieś tajemnicze przygotowania. Ze skrzynki narzędziowej wyciągnął rurę gumową, przerzucił ją przez okno trzymając drugi jej koniec w rękę. Przerzucony koniec dosięgnął wody.

— Panie Schmidt — rzekł przechylając termos, by wylać z niego resztę koktajlu — proszę przytrzymać rurę. Urządzimy coś w rodzaju naczyń połączonych.

Położył się na podłodze i zassał mocno powietrze z trzymanego w rękę końca rurki. Gdy poczuł napływającą wodę, odsunął rurkę od ust pozwalając wodze ściekać swobodnie do termosu zauważyła Dora.

— Ależ ta woda zmieszana jest z benzyną .

— Nic nie szkodzi, benzyna ulotni się szybko, a zresztą zapuściłem rurkę kilkanaście centymetrów poniżej poziomu wody. Benzyna, jako lżejsza, pływa po wierzchu. Ugotujemy tę wodę i będziemy mogli swobodnie ją pić. Nie będzie ona specjalnie smaczna, ale na to nie ma rady.

— Ciekaw jestem jak pan ją ugotuje. Tym razem ja się nie zgodzę — rzekł Bob. — Czyżby pan zapomniał o rozlanej benzynie? — dodał ironicznie.

Portos uśmiechnął się.

— Połączyłem termos z elektrycznym ogrzewaczem. Przypuszczam, że akumulatory nie są uszkodzone, będzie więc bardzo łatwo przegotować tę wodę, bez obawy o pożar.

Dora przypomniała sobie, że wzięła z sobą na drogę, ha wszelki wypadek, parę tabliczek prasowanej herbaty.

Już było zupełnie ciemno, gdy zaczęli gasić pragnienie. Herbata, aczkolwiek z wybitnym posmakiem i zapachom benzyny, bardzo im smakowała.

— Teraz musimy pomyśleć o spoczynku. Nie wiemy co nas jutro czeka, więc musimy dobrze wypocząć. Panie Schmidt, proszę mi pomóc. Ułożymy te worki podróżne tak, by przypominały coś podobnego do posłania. Będziecie mogli, państwo, wygodnie na nich spocząć. Ja będę do północy czuwał. Później obudzę pana, by pan mnie do rana zastąpił. Przy świetle latarki ułożyli worki, walizki i poduszki.

Za radą Portosa Dora owinęła głowę cienkim jedwabnym szalem, na ręce nałożyła rękawiczki i tak zabezpieczona przed ukłuciami natrętnych komarów, położyła się. Wkrótce oboje z Bobem, zmordowani dziennymi wypadkami, zasnęli.

Portos z latarką w ręku i Winchesterem na kolanach czuwał wsłuchując się w odgłosy tropikalnej nocy.

Miliony komarów, chóry żab i szmer wody tworzyły jakiś dziwny oszałamiający odgłos.

Portos zaczął marzyć, ileż wspomnień budziło mu się w duszy? Dobrze znał te bezsenne noce. Przypomniał sobie Recife, gdzie się urodził i spędził dzieciństwo, gdzie jako mały chłopiec ganiał za żrebiętami. Stał mu w oczach ojciec, który z progu wielkiego domu zwykł donośnym głosem udzielać mu rad, jak należy dosiadać żrebaka i jak nim kierować. Słyszał uśmiech ojca i widział ukochaną matkę, która z werandy śledziła z niepokojem każdy ruch rozigranego chłopca. Później Rio... Beztróskie i pogodne życie młodego kadeta. Lekcje, ćwiczenia, bale, miłostki i

wszelkie nadużycia, szczęśliwej, szumnej młodości... Nareszcie nadszedł wielki dzień, w którym wręczono mu dyplom pilota wojskowego. Przypomniawszy sobie, z jaką dumą uściskał go ojciec mówiąc: „Już nareszcie jesteś pełnym człowiekiem, mój synu. Teraz idź w życie z podniesionym czołem i spełniaj godnie swe obowiązki nie zapominając na chwilę, o rodzinnej tradycji, której dewizą jest Honor i Godność”,

Jakie to wszystko było piękne i jak jest odległe! Nadeszła tragedia. Wynikły walki między partiami politycznymi. Zakończyły się rewolucją. Stary pułkownik padł ofiarą swych przekonań. Zaczęto go prześladować, pozbawiono wszystkiego co posiadał i doprowadzono do tego, że zmarł ze zgrzyoty pozostawiając w nieutulonym żalu żonę i syna. Do końca życia był wierny dewizie: Honor i Godność.

Nie chcąc mieszać się w rozruchy, a jednocześnie chcąc uniknąć prześladowań politycznych ze strony wrogów ojca, Otavio oddał matkę pod opiekę krewnych, a sam udał się na emigrację, by poszukać lepszej doli.

Meksyk, Stany Zjednoczone... Wszystkie przeżycia przesuwają się w jego pamięci jak w kalejdoskopie.

Z wesołego, lekkomyślnego chłopca przerodził się w poważnego, statecznego mężczyznę o usposobieniu samotnika. Celem jego życia było zarobienie tylu pieniędzy, by pozwoliły mu one wrócić do Brazylii, odebrać zrabowane dobra i zwrócić je matce.

Teraz, jako pilot bankiera Cambera, mógł zrealizować swe marzenia. Ta dotychczas spokojna i monotonna służba wniosła mu naraz niepokój do duszy. Było nim poznanie Dory. Sam nic nie wiedział kiedy ta oryginalna dziewczyna stała się panią wszystkich jego myśli. Było już za późno, gdy spostrzegł niebezpieczeństwo. Obraz dziewczyny oparował go już całkowicie. Przyszła głęboka i beznadziejna miłość. On — wygnaniec, ona, — milionerka. Coś niebywałego! Gdyby ona nawet odwzajemniała jego uczucia, przepaść między nimi wydawała się nie do przebycia. Jego

honor i poczucie godności nie pozwoliłyby mu wchodzić w bogatą rodzinę i korzystać z milionów, które zgromadził ojciec najdroższej.

Nagle, młody człowiek ocknął się ze swych marzeń. Podświadomie wyczuł jakiś szmer, zakłócający nocną harmonię. Zdawało mu się, że słyszy lekkie uderzenia przy dziobie samolotu, połączone z podejrzanym szelestem. Najwyraźniej usłyszał bulgot wody, jakby maconej jakimś przedmiotem. Teraz szmer przesunął się na lewą stronę kabiny i zbliżał się do wybitego okna. Świadomość groźnego niebezpieczeństwa zelektryzowała go. Prawą ręką chwycił za broń, a lewą podniósł latarkę i rzucił w tę stronę snop światła.

Olbrzymia głowa węża pochyliła się już nad twarzą Dory. Gad, przerażony nagłym światłem, zatrzymał się nieruchomo patrząc okrutnymi, błyszczącymi oczyma w latarkę.

Portos skoncentrował całą swą siłę woli, by zachować tak konieczny w tym momencie spokój. Wiedział, że pierwszy strzał musi być śmiertelny. W przeciwnym wypadku Dora, obudzona bukiem wystrzału, poruszy się i padnie ofiarą groźnego stworzenia.

Strzał, kierowany jedną ręką, nie był pewny. Zaczął więc pomaleńku odsuwać latarkę, której światło hipnotyzowało i oślepiało węża, by w ten sposób głowa gada odchyliła się nieco w drugą stronę, dogodniejszą do strzału. Sekundy wydawały mu się godzinami. Nareszcie uchwycił pozycję, z której mógł swobodnie strzelać w środek potwornego łba.

Pociągnął za cyngiel. Huknął strzał i straszliwa głowa znikła za burtą kabiny. Odgłos drgawek, połączone z silnymi uderzeniami o ścianę, dowodziły, że nie chybił.

Dora i Bob zerwali się przerażeni nie rozumiejąc co się stało, a Portos doskoczył do okna z bronią gotową do następnego strzału.

— Co się stało, Otavio? — zawołała przestraszona

Dora.

— Patrzcie! — zawołał pilot usuwając się od okna i oświetlając ogromnego węża, który w konwulsjach kończył swe życie.

— Bogu dzięki nie chybiłem.

--- Jak to? Ten wąż chciał się wcisnąć do kabiny? — zawołała dziewczyna i nagle osunęła się na wpół omdlona.

— Tak! — odpowiedział Otavio nie podając bliższych szczegółów.

Dora dotknęła ramienia Portosa w niemym podziękowaniu. Chciała coś powiedzieć, ale brakło jej słów. Portos był wzruszony. Patrzył w jej oczy i wiedział, że powinien przerwać ten cudny moment. Ona nie powinna wyczytać z jego oczu co się w jego duszy dzieje... Pomimo tego nie potrafił skończyć tej sceny i tak samo jak Dora nie umiał wypowiedzieć żadnego słowa.

Nagle Bob alarmującym okrzykiem przerwał tę przedłużającą się scenę.

— Światła, na brzegu! Patrzcie!

Rzeczywiście na brzegu migotały jakieś światełka, przesuwane się szybko z miejsca na miejsce.

— To ratunek nam przybywa! Dajmy sygnały! Prędko! — wołał w uniesieniu Bob wyciągając rękę po latarkę.

— Proszę zaczekać! Alboż my wiemy co to za ludzie?

Jeśli nawet, przybyli nam na ratunek, nie odważą się przejść mokradeł w tej ciemności. Uważam za nonsens dawanie jakichkolwiek sygnałów.

Portos zgasił latarkę i siedzieli teraz w ciemnościach.

Ruch na brzegu zatrwożył tkwiące w bagnisku stworzenia. Dały się słyszeć jakieś dźwięki, niespokojne ruchy, szcęknięcia zębami i potężne rozbryzgujące wodę, uderzenia ogonami.

Portos nie zwracał uwagi na te hałasy, a bacznie śledził ruchliwe światełka.

Pragnął domyśleć się czemu, ci domniemani zbawcy, tak cichutko zachowywali się na brzegu.

Nowy odgłos, usłyszany z brzegu, wstrząsnął pilotem.

Odezwały się miarowe uderzenia w bębny, a w chwilę później z daleka odpowiedziały takie same. Portos wiedział co to znaczy.

W czasie jednej ze swych wojskowych wycieczek na teren Peru, dowiedział się od starych żołnierzy, że dzicy mieszkańcy puszczy w ten sposób wzajemnie się porozumiewają. Oddalone szczepy odgłosem bębnów przekazywały wiadomości innym zawiadamiając, że trzeba się bronić przeciw intruzom. Jeśli biały człowiek zapuścił się nieostrożnie w takie okolice... nie wracał więcej. Portos i jego koledzy słuchali tych opowieści i pomimo przysięg nie dawali im wiary uważając je za brednie, zrodzone w sklerotycznych mózgach.

Teraz usłyszał taki właśnie rytmiczny odgłos bębnów. Dopiero dziś, po latach, uwierzył.

— To są prawdopodobnie Indianie — rzekł do towarzyszków zalecając spokój i ostrożność.

Nie myśleli o spoczynku. Resztę nocy spędzili nad słuchując ponurych odgłosów, wróżących im zbliżające się od strony lądu niebezpieczeństwo.

## ROZDZIAŁ IV

Równow z pierwszymi blaskami rozpoczynającego się dnia umilkły odgłosy bębnow. Chwilową ciszę zakłócił jakiś, dotychczas niesłyszany szmer, szybko zbliżający się do samolotu.

Rozbitkowie usiłowali przebić wzrokiem mur mgły, powstałej równocześnie z nastaniem dnia. Szmerzy te coraz bardziej zbliżały się do nich. Dochodziły ze wszystkich stron. Były coraz bliższe i coraz bardziej denerwujące.

— To krokodyle — rzekła chcąc się uspokoić Dora.

— Bardzo możliwe — odpowiedział Portos. — Na wszelki jednak wypadek bądźmy ostrożni. Banie Schmidt, proszę obserwować mokradła z tej strony, a ja zajmę pozycję z drugiej. Panno Doro, niech pani się schowa w końcu samolotu.

Otawio chciał uspokoić Dorę, lecz był pewny, że to nie krokodyle są powodem tych niezwykłych szmerów.

Był dziwnie niespokojny i, zdenerwowany. Z początku przypuszczał, że to Indianie zbliżają się do nich, ale brak jakiegokolwiek reakcji na jego wystrzał zachwiał tym przypuszczeniem. Nie wiedział co o tym sądzić.

Dzień stawał się coraz jaśniejszy, lecz mgła była w dalszym ciągu gęsta i nie pozwalała na obserwowanie przedpola. Zaczęła znikać dopiero pod wpływem, coraz bardziej palących, promieni słonecznych.

Niezadługo ukazało się ich oczom całe, wolne od mgły bagno, ze swymi wysepkami, suchymi pniami drzew i kałużami cuchnącej wody.

— Patrz Doro — odezwał się Bob — uciekły przeklęte gady. Nie podobała się im benzyna...

Dalsze wywody Boba przerwał alarmujący głos Portosa:



— Cicho! Nie ruszać się!

Spojrzeni przez szczeliny między deskami kabiny i zrozumieli przyczynę alarmu.

Dotychczas puste mokradła zapełniły się jakimiś dziwnymi istotami, bardziej podobnymi do małp niż ludzi. Stworzenia te porośnięte były białym włosem, o wybitnie różowawym odcieniu. Dotychczas puste mokradła pełne były obecnie tych dziwnych istot. Wszystkie wysepki, otaczające rozbity samolot, utraciły nagle swe porosty, na ich zaś miejscu wyrosły setki istot, będących czymś pośrednim między ludźmi i małpami.

Stali wyprostowani, w groźnej i okrutnej postawie trzymając, w rękę dzidy.

To, co poprzednio wydawało się naszym rozbitkom wyspami, nie było niczym innym, jak tylko pewnym rodzajem tratów.

Portos, nie odwracając oczu od zbliżających się napastników, szeptał do swych towarzyszków:

— Powoli zbliżają się. Unikajcie gwałtownych ruchów. Bądźcie blisko mnie. Nie rozmawiajcie. Bądźcie spokojni. gdyż wszelki opór jest bezużyteczny. Ci dziwni Indianie są widocznie przyzwyczajeni do broni palnej, gdyż mój wystrzał nie zrobił na nich najmniejszego wrażenia. Z naszej strony niedorzecznością byłoby walczyć przeciwko setkom dzid i łuków z zatrutymi prawdopodobnie strzałami.

Wszyscy troje świadomi byli zbliżającego się, nieuniknionego niebezpieczeństwa. Tysiące planów kłębiło się w głowie Portosa, lecz niestety, wszystkie okazały się niepraktyczne. Trzeba było się poddać. Nie było najmniejszych możliwości ucieczki.

Wprost okna zauważył postać Indianina, stojącego na najbliższym stateczku, oddalonym o jakieś pięć metrów od rozbitego samolotu. Musiał on być dowódcą ekspedycji. Stał na swej tratwie zupełnie bezbronny i ruchami rąk i palców wydawał wciąż rozkazy, doskonale rozumiane przez

swych poddanych, wykonujących dziwne manewry na mokradłach, nacechowane jednak niezrównaną jednolitością.

Portos przyglądał się temu wodzowi. Była to istota średniego wzrostu, bardzo nieproporcjonalnie rozwinięta. Mała głowa, niezwykle wydłużony tułów, krótkie nogi i nadmiernie długie ramiona, nadawały jego sylwetce uderzające podobieństwo do małpy. Cerę miał białą, lecz skóra pokryta była białawo-różowawym włosem. Czaszkę pokrywało gęste, żółtawo owłosienie. Zielona opaska na czole i tego samego koloru spodniczka, przypominająca krótką, zaczynającą się od bioder tunikę, były całym jego ubraniem. Uderzał brak tak chętnie przez Indian używanych ozdób, naszyjników, piór itp. Reszta wojowników podobna była do swego dowódcy z tym, że była ona uzbrojona w dzidy, łuki i małe noże. Każdy z nich miał mi plecach duży kołczan pełen strzał.

Czerwone oczy tych istot o białych brwiach i rzęsach powodowały jakąś dziwną tępotę i bezwyrazistość ich spojrzeń.

— To są Albinosi — szepnął Portos.

Dowódca, zręcznym ruchem, skoczył oknem, do kajuty, zatrzymał się przed rozbitkami i wymownym gestem wskazał na stojącą już pod oknem, tratwę.

Portos usłuchał natychmiast. Wyszedł pierwszy i następnie pomógł zejść Dorze. Bob bez słowa podążył za nimi. Ulokowali między sobą dziewczynę, by mieć możliwość pilniejszej opieki nad nią i czekali na dalszy bieg wypadków.

Dowódca wszedł na tratwę ostatni, wykonał jakieś ruchy swymi małpimi rękoma i zatrzymał się nieruchomo w przedniej części stateczku. W tym czasie wojownicy pochwycili przygotowane już z dawna gałęzie i podniósłszy je utworzyli z tratwy coś na kształt ocienionej altany.

Tratwa, niosąca naszych rozbitków, zaczęła powoli oddalać się od rozbitego samolotu, który z kolei otoczyły inne tratwy.

Portos pilnie obserwował tę pozostałą bandę potworów, która, zajęta była przenoszeniem bagażu z samolotu na tratwy. Starał się znaleźć sposób na ukrycie niezauważonego dotychczas przez napastników Winchestera. Dziwiło go, że dowódca, tak baczny na wszystko, nie zwrócił uwagi na sztucer. Wobec zupełnego braku reakcji na jego wystrzał przed kilkoma minutami, wydawało mu się niemożliwym, by dzicy nie znali broni palnej, która słyszana po raz pierwszy, przestrasza najodważniejszych.

Nie mając innego wyjścia, postanowił udawać kulawego, by móc traktować sztucer jako rodzaj laski do podpierania się.

Tratwa tymczasem posuwała się w absolutnym milczeniu rodzajem kanału, wijącego się wśród mokradeł. Po dość długiej podróży dobili wreszcie do brzegu.

Wylądowali przy obszernej polanie otoczonej gęstym, nieprzeniknionym lasem, na skraju którego rozrzucone były posterunki strażników. Na środku polany płonęło ognisko, w którym piekły się olbrzymie kawały mięsa, nadzianego na rożny, obracane przez Indian.

Ciekawość była prawdopodobnie zupełnie obca tym pierwotnym istotom. Nie zwrócili najmniejszej uwagi na przybyszów zajmując się monotonnie swą pracą.

Portos, na znak dany przez dowódcę, zwrócił się wraz z towarzyszami w kierunku ogniska. Szedł udając kulawego. W jednej ręce trzymał sztucer, służący mu jako laska, a drugą podtrzymywał Dorę. Bob, blady i zgarbiony, włókł się za nimi z wyrazem przerażenia na twarzy.

Usiedli na zgromadzonych wokół ognia pniach i obserwowali tajemniczych Indian. Dolatujący od ognia zapach pieczonego mięsa wywołał w ich pustych żołądkach formalne skurcze.

Do brzegu przybijały co chwila nowe tratwy, wiozące członków ekspedycji. Przywożono na nich pakunki i walizki naszych rozbitków, oraz wszystkie metalowe części samolotu. Układano wszystko w największym porządku na

środku polany.

Portos zauważył, że części samolotu włącznie z częściami silnika, nie były wyjmowane na siłę ze swych miejsc, a delikatnie odśrubowane, co świadczyło o pewnej znajomości mechaniki u tych dzikich pólludzi.

Wszystko odbywało się w głębokiej ciszy, przerywanej w pewnym momencie głosem. Dory, która odważyła się rozpocząć rozmowę.

— Ach, Otavio, jak to dobrze, że udało ci się zabrać sztucer.,

A następnie zwracając się do Boba rzekła:

— Bobie, nie ma powodu do rozpacz. Przecież widzisz, że Indianie nie mają złych intencji w stosunku do nas.

— Skąd taka pewna jesteś?

— Otavio, jesteś południowym amerykańcem. Czy nie mógłbyś się z nimi porozumieć?

— Spróbuję, ale zdaje mi się, że to się na nie nie przyda. W istocie nie wydają się oni groźnymi dla nas. Przypuszczam, że prawdziwe niebezpieczeństwo grozi nam od tych, którym oni służą.

To mówiąc, Portos dotknął ramienia dowódcy i zadał mu jakieś pytanie po hiszpańsku, portugalska i w języku guaran i Indianin słuchał uważnie słów Portosa i wreszcie potrząsnął przecząco głową wskazując na usta, czym dał do zrozumienia, że nic może mówić. Następnie, zapraszającym ruchem ręki wskazał na przygotowane mięsiwa zachęcając do jedzenia przed udaniem się w dalszą podróż.

— Ależ! Oni są niemi! — zawołała Dora śledząca z zaciekawieniem tę scenę — To okropne!

Usiłowania porozumienia się z dowódcą przekonały rozbitków, że chwilowo nic im nie grozi. Zabrali się więc do przygotowanej uczty. Jedli z wilczymi apetytami rozkoszując się wspaniałym smakiem mięsa.

Po skończonej uczcie, jeden z wojowników na rozkaz szefa wstał i uklęknął obok wydrażonego pnia, obciążnię-

tego wyprawioną skórą. Po chwili zaczął uderzać w ten prowizoryczny bęben stosując jakiś dziwny, nieregularny rytm. Rozbitkom przypomniały się dochodzące do nich ostatniej nocy odgłosy bębnów. Upłynęło dobrych kilkanaście minut wśród stałych uderzeń w bęben i wreszcie doszedł z oddali taki sam odgłos głuchych uderzeń o zupełnie podobnym rytmie.

— Toż to prawdziwy telegraf — zauważył Portos. — Widocznie zawiadamiają kogoś o naszym przybyciu i otrzymują nowe rozkazy.

Tymczasem kilku Indian zaczęło pracować nad urządzeniem palankinów. Pracę wykonywali szybko i zręcznie. Wyszukiwali odpowiednie, gałęzie, układali je na dragach, a następnie wyściełali mchem i liśćmi, by na zakończenie przykryć wszystko miękkimi skórami.

Przygotowania te wskazywały, że naszą trójkę czeka daleka i uciążliwa podróż.

Wreszcie zaczęto formować kolumnę do marszu. Kilkunastu Indian uzbrojonych w łuki i dzidy stanęło obok dowódcy. Za nimi ustawiono palankiny, a w nich umieszczono więźniów otaczając ich uzbrojoną strażą. Dalej szły całe szeregi półludzkich postaci tragarzy, obładowanych różnorodnym sprzętem, częściami samolotu i bagażami Dory, Boba i Portosa. Pochód zamykały szeregi uzbrojonych wojowników.

Na znak dany przez dowódcę cały pochód ruszył. Rozbitkowie podróżowali wygodnie w palankinach, niesionych przez stale zmieniających się tragarzy.

Wojownicy w czasie całego, długiego marszu zwracali baczna, uwagę na las, gotowi odeprzeć każde niebezpieczeństwo, grożące z tamtej strony.

Teraz dopiero Portos zrozumiał, że eskorta, przydzielona do palankinów nie miała pilnować niewolników, a przeciwnie strzec ich przed mogącymi zagrażać niebezpieczeństwami.

Szli długo, aż wreszcie zagłębili się w rodzaj tunelu,

utworzonego przez gęsto zarosłe drzewa, liany i innego rodzaju pnącza. Było w nim ciemno, duszno, gorąco i wilgotno. Cisza panowała kompletna, nic zmacona odgłosem marszu kolumny, posuwającej się bezszelestnie, jak duchy. Jedynie dało się słyszeć brzęczenie olbrzymich komarów, które stanowiło tak monotony odgłos, że po kilku minutach ucho nie było niemal w stanie go dosłyszeć. Stawał się jakoby częścią składową tej ciszy.

Po kilku godzinach marszu w tym tunelu wyszli na jasną, polanę.

Szef: dał znałe, nakazujący odpoczynek. Poskładano bagaże, ustawiono palankiny, jeden obok drugiego i *w* kilka chwil panował taki sam porządek jak na polanie, na której znaleźli się po opuszczeniu miejsca katastrofy.

Rozpalono ognisko, wyładowano olbrzymie kawały mięsa, zamocowano je na rożnach i zaczęto przygotowywać posiłek. Znów zahuczał bęben i znów dobiegły głuche tony odpowiedzi i rozkazów gdzieś z głębi ładu.

Więźniów nikt nie pilnował. Widocznie zdawano sobie dokładnie sprawę z niemożliwości ucieczki.

Więźniowie usiedli zdała od ogniska w cieniu drzew, by ochłonać nieco od palących promieni słonecznych. Upał był po prostu nie do wytrzymania. Wszyscy członkowie wyprawy rozkoszowali się piciem zimnej, źródlanej wody, przynoszonej przez wojowników.

Nasi rozbitkowie pili tę wodę i żalowali, że nie ma możliwości ochłodzenia się kąpielą. Dora doskonale znosiła gorąco, aczkolwiek cała była kompletnie mokra od potu. Jej bluzka przylepiła się do ciała Uwydatniając wspaniałe zarysy jej kibici. Portos dyskretnie obserwował młodą dziewczynę podziwiając zarówno jej uroczy wygląd, jak odwagę i wytrzymałość.

Bob zrzucił marynarkę, zdjął krawat, rozpiął koszulę i półprzyciemnie siedział obok Dory i Otavia. Włosy miał oblepione potem, a twarz jego drgała nerwowo, nie wiadomo czy z powodu upału, czy po prostu ze strachu i złości. Zu-

pełnie nie przypominał młodego salonowca Schmidta, członka kalifornijskiej elity. Stałymi skargami i klątwami zanudzał swych towarzyszków, a w Portosie budził dodatkowo obawy, by te jego wybryki nie wpłynęły ujemnie na stan nerwowy Dory.

Korzystając z chwilowego oddalenia Dory, Portos w grzecznej formie zwrócił się do Boba, prosząc go o umitygowanie się, opanowanie strachu i odwagę, tak bardzo potrzebną im wszystkim w tej sytuacji. Mówiąc to starał się nie zadrasnąć jego ambicji.

Bob oburzył się i pogardliwie, gburowato odpowiedział:

— Co mnie tam ktoś będzie uczył postępowania! Dobrze wiem co mówię i robię.

— Człowieku! Uspokój się! Twoje postępowanie nie wytrzymuje krytyki. Twym obowiązkiem jest czuwanie nad Dorą, dodawanie jej odwagi, a nie rozdrażnianie swymi płaczliwymi, skargami, niegodnymi mężczyzny.

— Jak śmiesz! — krzyknął Bob z pasją. — Ty najemny sługusie! Takim prawem tak do mnie przemawiasz? Ty!... Ty!... — wołał w napadzie hysterii szukając dosadnych wyrazów, które mogłyby jak najbardziej dotknąć tego człowieka, którego z całego serca nienawidził.

Portos przerwał jego wysiłki. Chwycił go silnie za ramiona, potrząsnął nim jak dzieckiem i przysunawszy twarz do jego twarzy, z groźnym spojrzeniem swych stalowych oczu, wycedził przez zaciśnięte zęby:

— Jesteś nikczemnym tchórzem. Od tej chwili ja biore Dorę pod opiekę i zrobię wszystko co będę mógł, by ją ocalić! Zrozumiałeś? Jeżeli jeszcze raz usłyszę twoją skargę, lub przekleństwa dam ci taką nauczkę, że nie zapomnisz jej do końca życia. Uważaj! Nadchodzi Dora. Nie waż się powiedzieć jej ani słowa o tym, co między nami zaszło. Kiedy wrócimy do cywilizowanego świata, jeśli w ogóle tam wrócimy, dam ci satysfakcję, jakiej zażadasz.

Rzeczywiście dziewczyna usłyszawszy krzyki Doba i ujrawszy groźną postawę pilota, przybiegła do nich bar-

dzo zaniepokojona.

Bob, przerażony ostrym i zdecydowanym wystąpieniem Portosa, patrzył na niego z nienawiścią, nie pozbawioną pewnego uczucia podziwu i podświadomego szacunku.

— Panno Camber — odezwał się Portos uprzedzając jej zapytanie — pan Schmidt chciał popełnić szaleństwo i rzucić się na Indian. Z trudnością go powstrzymałem. Niech pani będzie łaskawa wytłumaczyć mu, że to utrudniłoby jedynie nasze położenie.

— Ach, Bob. Postępujesz bez zastanowienia, jak małe dziecko. Uspokuj się i ufaj Portosowi!

W momencie, gdy wzrok Portosa spotkał się z pełnym zaufania spojrzeniem Dory nasz pilot zaczerwienił się, jak pensjonarka.

Bob, drżący wciąż ze strachu i ziejący nienawiścią, przezuwając niewypowiedziane klątwy, podszedł do swego palankinu udając, że czegoś szuka.

W kilka chwil po tym zajściu zaczęto przygotowywać się do dalszego pochodu.

Znów zagłębili się w jakiś zarośnięty tunel, który ostrymi skrętami wił się pomiędzy nieprzeniknionym gąszczem podzwrotnikowych lasów.

Nagle cała karawana zatrzymała się. Na twarzach Indian uwidocznił się jakiś niepokój. Jedni drugim dawali jakieś znaki, nacechowane zdenerwowaniem. Portos, zajmujący pierwszy pałaniem, starał się odgadnąć przyczyny tego stanu. Na wszelki wypadek nabił sztucer, uniósł się nieco w swym palankinie i ponad głowami Indian spojrzał przed siebie. W jednej chwili zrozumiał wszystko. Dwa olbrzymie tygrysy leżały obok na wpeł poźartego mrówkojada i groźnie patrzyły na zbliżających się intruzów, zakłócających im wspaniałą ucztę.

Tygrysy leżały na środku drogi, którą posuwała się karawana. Wąskie przejście, o charakterze tunelu, nie pozwalało na wyminięcie bestii, ani na zrobienie jakichkol-



wiek zmian w szyku kolumny uformowanej w czwórki.

Dowódca, prowadzący kolumnę, aczkolwiek zupełnie bezbronny, nie cofnął się ani na krok z miejsca, w którym się zatrzymał. Jego postawa mogła zaimponować każdemu.

Za chwilę z tylnego szeregu wysunęło się, dwóch łuczników i zajęło miejsca po obu stronach wodza. Napięli luki i dwie strzały wyleciały ze świstem, w kierunku zwierząt. Obie były celne, obie utkwily w tygryskich czaszkach. Strzały były zatrute, jak słusznie przypuszczał Portos jeszcze w czasie pobytu naszej trójki w kadłubie rozbitego płatowca. Tygrysy, rażone strzałami, padły martwe niemal natychmiast. Łucznicy podeszli do nich, zręcznymi ruchami usunęli je z drogi i zabrali się do zdzierania pięknych, piegowatych skór.

Karawana, nie zwracając uwagi na ich pracę, ruszyła naprzód.

Słońce schylało się już mocno ku zachodowi, gdy z dusznego tunelu weszli w dolinę, pełną skał i wyniosłych pagórków.

Dolina zamknięta była z jednej strony półkolistą linią lasu, z drugiej naga, granitową ścianą o dużej wysokości, będącą jak się na oko wydawało początkiem jakiejś wielkiej, skalistej wyniosłości terenowej.

Stanęli. Dowódca, wzięwszy z rąk jednego z wojowników coś w rodzaju trąby lub rogu, zaczął wydawać przeciągłe dźwięki. Po kilku chwilach słychać było dochodzącą z wielkiej odległości odpowiedź o tej samej barwie tonu. Następnie odezwały się bębny.

Zaczęto zakładać obozowisko. Całą potrzebną dla obozu część doliny zaczęto otaczać kolczastymi gałęziami, których w krajach tropikalnych nie brakuje. Stosunkowo szybko powstał wysoki, najeżony kolcami płot, zabezpieczający od napadu dzikich zwierząt.

Pieczeń stanowiła wyśmienite danie kolacyjne.

— Wyobraź sobie, Bob — rzekła śmiejąc się Dora — co by powiedzieli nasi znajomi i przyjaciele z San Fran-

cisco, gdyby mogli nas widzieć w tych warunkach, ciągnących zębami kawały trzymanego ręką nie dopieczzonego mięsa?:...

Bob siedział zgarbiony i zajęty nabożnym ogryzaniem swej porcji pieczeni. Nie starał się nawet podtrzymać zaczętej rozmowy. Burknął coś pod nosem i żarłocznie kończył swoje dzieło.

— Naturalnie, gdy wrócimy do cywilizowanego świata, będziemy mieli dużo do opowiadania — rzekł Portos, by podtrzymać rwącą się rozmowę.

— Gdzie ci ludzie nas prowadzą?

— Bóg raczy wiedzieć. Wie pani co mnie zastanawia?

— No co takiego?

— Niech pani popatrzy na te zupełnie pionowe skały, otaczające polanę. Jak oni dostaną się z nami na górę?

— A skąd wiesz, Otavio, że oni nas chcą na górę wprowadzić? Może po nocnym spoczynku znów wprowadzą nas w te wilgotne i duszne gąszcza leśne.

— Wszystko możliwe, ale ci, którzy nimi władają znajdują się tam na górze, jak wynika z odgłosów płynących od nich sygnałów, więc sędzę, że nas jednak jakimiś drogami wprowadzą na tę wyżynę.

— Czy myślisz, Otavio, o możliwościach ucieczki?

— Zupełnie ich nie widzę. Te obszary są ludzkości zupełnie nieznane i jako takie oznaczone na mapach zieloną plamą. My samodzielnie, bez pomocy z zewnątrz, bez zapasów żywności, broni, a co najważniejsze, nieorientowani co do miejsca pobytu, nie mamy najmniejszych szans na pomyślną ucieczkę. Musimy postępować w miarę, potrzeb wytwarzanych przez sytuację.

— Jak myślisz? Dużo czasu upłynie zanim wrócimy do swoich?

— Musimy być na to przygotowani, proszę pani.

Dora zamyśliła się, lecz po chwili podniosła głowę mówiąc:

— Eh tam. Co będzie, to będzie. Wpadliśmy w to wszy-

stko nie z "własnej winy i musimy dzielnie wszystko znosić. Ja mam, przecucie, że koniec będzie pomyślny.

Spojrzała na Boba, który drzemał oparty o przygotowany namiot. Dociągnęła go za rękę.

— Halo! Bob! Nie rozsypiaj się w tak niewygodnej pozycji. Połóż się w namiocie! Patrz jak wspaniale przygotowano nam posłanie.

Bob przeciągnął się leniwie, potężnie ziewnął i rzekł:

— Posłucham twojej rady, Doro, jestem strasznie znużony i djabelnie senny. Dobranoc.

Odwrócił się ospale i nie zapominając rzucić nienawistnego spojrzenia w kierunku Portosa, skrył się pod płachtą namiotu.

— Pani też powinna spocząć, panno Camber — zauważył pilot. — Musi pani nabrać sił, na jutrzejszy dzień.

— Dobrze. Teraz, gdy wspomniałeś mi, Otawio, o spoczynku poczułam, że bołą mnie wszystkie kości, a więc dobranoc.

— Dobranoc — odpowiedział Portos, pochylając lekko głowę w ukłonie.

Dora, patrzyła na oddalającego się młodzieńca. Dotychczas nie zwracała wcale uwagi na niego. Teraz, po wspólnie przeżytej katastrofie, widzi w nim, człowieka pełnego odwagi i rozsądku; prawdziwy męski typ w najlepszym wydaniu, któremu z ufnością może powierzyć opiekę nad sobą. Dotychczas widziała w nim jedynie dobrego pilota; ale gdyby ktoś zapytał, jaki ma kolor oczu nie umiałaby odpowiedzieć.

Ostatnie dwa dni przekonały ją, że bez niego nie potrafiłaby dać sobie rady. Doznawała dziwnego wrażenia, że już oddawna są dobrymi przyjaciółmi, i że zna go dłużej niż Boba.

Postanowiła zwracać więcej uwagi na swego obrońcę i starać się poznać jego przeszłość.

Jeszcze raz rzuciła spojrzenie w kierunku Portosa i weszła do namiotu.

## ROZDZIAŁ V

Rano zbudziły ich hałaśliwe uderzenia bębnow. Musiało już być dosyć późno, gdyż słońce, w swej codziennej wędrówce po nieboskłonie, uniosło się już bardzo wysoko. Powietrze było ciężkie i duszne, przesycono wilgocią. Upał stawał się nieznośny. Naszym rozbitkom wydawało się, że znajdują się w rozpalonym piecu.

Indianie skupili się wokół sygnalisty. Wszyscy spoglądali w górę, jak gdyby spodziewali się tani coś zobaczyć.

Nasza trójka zwróciła także swe spojrzenia ku górze.

Bęben. zamilkł i w chwilę później dał się słyszeć dobiegający od szczytu granitowej ściany, przytłumiony odległością, odgłos detonacji.

— Patrzcie! Patrzcie! Rakiety! — zawołał podniecony Portos i wskazał towarzyszom dwa potężne kłęby czarnego dymu, unoszącego się w powietrzu.

Wszyscy Indianie byli wstrząśnięci i z przerażeniem kryli twarze w dłoniach. Dowódca klęczał na przodzie i z rękami wyciągniętymi ku górze, patrzył w dym z jakimś specjalnym uwielbieniem i nabożeństwem.

W tym momencie dał się słyszeć odgłos następnej eksplozji silniejszej od poprzedniej. Rakietę, wystrzeloną teraz, miała dym zielony błyszczący. Dowódca zerwał się z kolan, podbiegł do bębna i trzykrotnie mocno weń uderzył.

Uspokojeni Indianie zaczęli odrazu, po usłyszeniu ostatnich sygnałów, krzątać się około przygotowań do dalszej drogi.

Dowódca wziął z rąk jednego potworów paczuszkę, owiniętą w bananowe liście i skierował się w stronę więźniów.

Szedł swym kołyszącym się krokiem, zgarbiony, ociężały, podobny do olbrzymiej małpy. Za nim podążał wo-

jownik, niosący wodę w wydrążonej skorupie orzecha kokosowego. Istota ta jeszcze mniej przypominała człowieka.

W zawiniątku było pożywienie złożone z jakich pierogów, przygotowanych z mandiokowej mąki.

Dowódca, widząc że więźniowie, po początkowym nieufnym oglądaniu pokarmu zabrali się z apetytem do jedzenia, kiwnął z zadowoleniem głową i oddalił się do Indian, pracujących przy likwidacji obozowiska.

Dora, będąc wciąż pod wrażeniem rakiet, zauważyła:

— Te rakiety są dowodem, że tam na górze są ludzie cywilizowani.

— Nareszcie skończy się ta głupia historia! — dodał Bob.

— Jak myślisz Otavio, czy jesteśmy już naprawdę bliscy ocalenia? — zapytała Dora.

Bob roześmiał się ironicznie.

— Co, panie pilocie? Wymyśli pan teraz różne niebezpieczeństwa, by przedłużyć uzurpowaną przez siebie rolę naszego opiekuna.

Równocześnie z ugruntowaniem się nadziei szybkiego ocalenia, wróciła Bobowi dawna arogancja i bezczelność, oraz uczucie wyższości w stosunku do Portosa. Uważał, że teraz może go upokorzyć.

— Bob!... — zawołała oburzona Dora.

Portos przerwał dalsze jej słowa i zupełnie spokojnie powiedział.

— Bardzo bym pragnął, by przypuszczenia pana Schmidta ziściły się. Ja osobiście poważnie obawiam się, że dopiero teraz czekają nas prawdziwe niebezpieczeństwa. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę, dlaczego Indianie nie zwrócili uwagi na mój wystrzał z pokładu samolotu. Oni są przyzwyczajeni do detonacji. Jeżeli by władcami tych okolic, byli ludzie cywilizowani, na pewno wiedzielibyśmy o ich istnieniu.

— Jakie niebezpieczeństwa? Co za brednie? — wykrzyknął Bob — Wkrótce będziemy między ludźmi cywilizowanymi. Czy nie widziałeś rakiet? Radzę ci zaprzestać

ględzenia o jakichś niebezpieczeństwach!

— Uspokuj się Bob! Portos na pewno wie co mówi. Gdyby to byli ludzie cywilizowani, wiedzielibyśmy z geografii o ich istnieniu i o istnieniu tych małpoludów, które nas konwojują.

Portos podziękował Dorze spojrzeniem, za zajęte przez nią stanowisko i zaczął w dalszym ciągu uzasadniać swe przypuszczenia.

— Gdyby władcami tych terenów, byli członkowie jakiejś ekspedycji naukowej, zaginionej przed laty w dziewiczych puszczech Ameryki Południowej, to dążeniem tych ludzi, byłby powrót do swoich, by podzielić się z nimi doświadczeniami i odkryciami. Widzimy, że władza tych istot jest olbrzymia. Małpoludy, bez najmniejszych oznak sprzeciwu, wykonują wszystko, co zostaje im z odległości polecane. Trudno więc z jednej strony sądzić, że ci ludzie nie mają możliwości powrotu, lub tylko skomunikowania się ze światem, z drugiej strony wątpliwym, jest by nieliczna wyprawa badawcza mogła, w krótkim stosunkowo czasie, tak podporządkować swej woli tę dzicz, której zapewne jedynie małą cząsteczkę, oglądamy tutaj, jako naszych konwojentów.

— Proszę przypomnieć sobie — ciągnął dalej Portos — jakie przerażenie widać było na twarzach naszej eskorty w chwili, gdy dochodziły do nich rakietowe rozkazy. Nie sądzę, by ktokolwiek bał się dobra i to mnie utwierdza w przekonaniu, że władają tutaj istoty złe.

Niewątpliwie posiadają one dość wysoką cywilizację i inteligencję. Świadczą o tym rakiety sygnałowe nieznanych nam typów o błyszczącym, kolorowym dymie, ale czy ta największym właśnie niebezpieczeństwem ?

Bob, słuchając dlaszego ciągu argumentacji Portosa, nachmurzył się, spokorniał i stracił swą arogancką minę. Dora, zdając sobie sprawę z żelaznej konsekwencji wniosków wyciąganych przez Portosa, była widocznie zaniepokojona.

— Jaeyż więc oni będą? — zapytała, gdy zamilkł.

— Nie wiem. Musimy iść. na spotkanie rzeczy nieznan-nych, przygotowani na wszelkiego rodzaju niespodzianki i niebezpieczeństwa. Najlepszą naszą bronią, która pozwoli nam zachować trzeźwość umysłu i spokój, będzie niezłom-na wiara w szczęśliwe zakończenie przygody.

— Podzieliłem się z wami moimi spostrzeżeniami i przypuszczeniami nie po to, by komukolwiek odbierać od-wagę, a po to, byśmy byli jak najdalsi od wszelkiego ro-dzaju złudzeń. Złudzenia powodują zawody i rozczarowa-nia, osłabiające jasność myślenia i działania, a nam nicze-go w tej chwili bardziej nie potrzeba, jak spokoju i trzeź-wości umysłu.

Dora, wpatrzona w oczy Portosa, połykała poprostu jego słowa. Bob wpadł znów w strach.

Dalszą ich rozmowę przerwał dowódca, dając znak, by zajęli swe miejsca w karawanie.

Palankiny zniknęły i ilość Indian znacznie się zmniej-szyła. Pięciu stanęło na przodzie z pochodniami w rękach, za nimi szedł dowódca i nasi rozbitkowie. Tragarze, obłado-wani bagażami, zamykali pochód.

Portos, udając kulawego, szedł opierając się na swym nieodłącznym Winchesterze. Dorę umieścił między sobą i Bobem.

— Cokolwiek by się stało, proszę nie oddalać się odemnie i zachować bezwzględny spokój. Jestem uzbrojony, więc pozwólcie, by wszelka inicjatywa pochodziła ode mnie i spełniajcie z ufnością moje wskazówki.

Postępując wąską ścieżką, zbliżyli się do gładkiej i nie-kończąc się ta dziwna podróz. W zarosłach było do tego stopnia ciemno, że Indianie musieli zapalić pochodnie.

Dowódca zbliżył się do granitowego masywu, schylił się i z całej siły pociągnął za coś, co przypominało uschły, wystający korzeń.

Widocznie pod działaniem jakiejś ukrytej sprężyny od jednolitej pozornie skały odpadła duża, kwadratowa, ka-

mienna płyta i uformowała coś w rodzaju kładki, czy mostu nad głęboką szczeliną, znajdującą się u podnóża skały. Za tym mostkiem widniał czarny otwór podziemnego przejścia.

Karawana weszła w ten otwór i znalazła się w wąskim ciemnym korytarzu, oświetlonym migotliwym płomieniem pochodni. Dowódca sprawdził, czy wszyscy znajdują się w korytarzu i pociągnął za inny korzeń. Kwadratowa płyta, powodowana tajemniczą siłą, wróciła do swego poprzedniego położenia nic pozostawiając najmniejszego śladu przejścia.

Zagłębili się w tunelu o wilgotnych, porośniętych mchem ścianach. Portos, obserwując to przejście, wyrobił sobie przekonanie, że tunel był dziełem rąk ludzkich.

Jakiś czas szli wzdłuż tego tajemniczego korytarza. Jedynym odgłosem marszu był tupot butów rozbitków. Indianie, nie używający obuwia, posuwali się bezszelestnie.

Korytarz zwężał się coraz bardziej. Światła pochodni zaczęły przygasać wobec braku odpowiedniej ilości tlenu. Trudno było w tych ciemnościach rozróżnić ścianę od wolnej przestrzeni korytarza.

Tak posuwając się jeszcze parę minut, doszli do końca tunelu, zamkniętego potężną, wktutą w skałę bramę. Nad środkiem bramy zwieszał się olbrzymi gong, a obok niego młot.

W blasku silniej nieco płonących pochodni można, było dokładnie przyjrzeć się tym przedmiotom. Portos w jednej chwili poznał w nich charakterystyczne zabytki chińskie, pokryte płaskorzeźbami o typowo chińskich motywach.

Indianie znów okazali przerażenie. Padli na kolana i z trwogą wpatrywali się w ciemność, roztaczającą się poza obrębem, który oświetlały płomienie pochodni.

Dowódca zdjął młot i uderzył w gong. Rozległ się czysty, doniosły dźwięk, uwielokrotniony przez echo.

Jeszcze nie przebrzmiał odgłos gongu, a już, przez



uchylające się skrzydła potężnej bramy, błysnęło jaskrawe, zielone światło. Na przeciąg kilku minut zrobiło się widno. Światło to było odbłaskiem puszcanych daleko ogni bengalskich. Pozwoliło ono dojrzeć dokładnie wewnątrz groty rozciągającej się za bramą, przekraczaną właśnie przez karawanę.

Ściany groty pełne były lśniących kamieni, a ze stropu zwieszały się różnej wielkości, różnobarwne stalaktyty.

Posuwali się teraz wzdłuż, nie wiadomo jak daleko ciągnącej się groty, oświetlanej odbłaskami coraz to nowych eksplozji ogni bengalskich. Droga była uciążliwa, pełna wybojów, kamieni i olbrzymieli głazów tak, że musieli się przedzierać z wielkim wysiłkiem..

Szli tak dobre dwie godziny, aż wreszcie tuż przy nich zabłysło światło. Było ono słabe i otulone jakąś gęstą mgłą. Indianie zatrzymali się. drżąc z przestachu. Za chwilę dał się słyszeć ostry, okrutny i rozkazujący głos, na dźwięk którego z otaczających ich ciemności wyłoniły się sylwetki innych, nie mniej wstrętnych, Indian. Twarze ich były łagodne, ale jakby martwe i przepełnione przejmującym smutkiem. Zbliźali się powoli, po omacku, z wyciągniętymi ramionami. Część przejęła bagaże, a pozostali otoczyli więźniów. Cała poprzednia eskorta przekazawszy nowej bagaże i więźniów, cofnęła się nie podnosząc oczu i znikła za lasem stalaktytów i stalagmitów.

Na surowy dźwięk złowrogiego głosu nowi stróże chwycili więźniów za ramiona i popchnęli ich naprzód.

Słabe dotąd światło powoli rozjaśniło się i oczom naszej trójki ukazało się czarne, ciche jezioro. Na brzegu umocowano były na słupach reflektory, rzucające silne światło. Do jednego z tych słupów przymocowany był statek, podobny według opinii Portosa, do dawnych galer skandynawskich. Ozdobiony był starożytnymi rzeźbami i jakimś rysunkami. Miejsca, przeznaczona dla niewolników — wioślarzy zaopatrzone były w specjalne okucia. Na środku pokładu powiewała na specjalnym maszcie czarna, boga-

to haftowana Haga, zakończona złotymi frendzlami.

Na cicho wypowiedziany, w jakimś niezrozumiałym języku, rozkaz jednego z nowych strażników tragarze złożyli na pokładzie bagaże.

— Ci już nie są niemi — szepnęła Dora.

— Ale za to są ślepcami — szepnął w odpowiedzi pilot.

Dorą wstrząsnął dreszcz przerażenia. Portos widząc to objął ją łagodnie ramieniem i lekko przytulił do siebie.

Obok flagi, która już poprzednio zwróciła ich uwagę znajdował się niewielki namiot, pokryty cennymi brokatami i ozdobiony złotymi ornamentami. Był on nieco ukryty w cieniu.

Indianie, na nowy rozkaz, wprowadzili więźniów na pokład, ustawili ich przed namiotem, a sami, zgarbieni, zajęli miejsca przy wiosłach.

Jeden z nich wyglądający na dowódcę, zapalił ogień w metalowym koszu, wiszącym na dziobie stateczku, a następnie ukląkł za naszymi więźniami.

Błysnęło jaskrawe światło i oświetliło pozostający dotychczas w półmroku namiot. Uchyliła się zasłona i ze środka wyszedł człowiek, na widok którego nasi więźniowie odruchowo cofnęli się.

Dora, zakrywając usta ręką, stłumiła okrzyk.

Człowiek, który stanął przed nimi, był młodym, wysokim, zgrabnym mężczyzną, o przepysznych kształtach atlety. Stanął nieruchomo ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i przez dłuższą chwilę obserwował naszą trójkę.

Fizycznie był to typ wprost piękny. Proporcjonalni głowa, pokryta pięknymi, starannie utrzymanymi, falującymi włosami była ślicznie osadzona na szerokich, męskich ramionach. Loki przypominały fryzury dawnych paziów na dworach królewskich. Ładna twarz, z krótkim zarostem i wysuniętym nieco ku przodowi podbródkiem, klasyczny nos, ładnie zarysowane, czerwone wargi, wysokie, gładkie czoło, oraz czarne brwi i rzęsy, kontrastujące z jasnymi włosami stwarzały w sumie piękny okaz mężczyzny o nieco

wschodnim typie.

Wrażenie potęgował egzotyczny strój i moc wspaniałych klejnotów.

Czarne buciki z miękkiej skóry zasnurowane były aż do kolan złotymi sznurami. Krótką, plisowaną tunikę przytrzymywał szeroki pas, szczelnie przylegający do figury, a lekki płaszczyk, spływający z ramion przytrzymywały złote sznury, spięte na końcach wspaniałymi, brylantowymi guzikami. Wszystko utrzymane było w harmonizujących, gustownych barwach. Klejnoty, naramienniki, bransolety i pierścienie wykonane były artystycznie ze szczerego złota i ozdobione drogocennymi kamieniami.

Włosy miał przepasane złotą obręczą, na środku której, nad czołem, błyszczał wielki, misternie szlifowany rubin, rzucający przepyszne, czerwono-krwiste odblaski.

Oczy tego pięknego mężczyzny były dzikie i straszne. Opalowy ich kolor wydawał się być odbiciem fal morskich. Spojrzenie było zimne i drapieżne. Przypominało wzrok dzikiego zwierzęcia i wywoływało przerażenie w sercach rozbitków.

Rozległ się ostry, przejmujący głos władcy i wiosłarze pochylili się nad wiosłami. Statek powoli zaczął oddalać się od brzegu.

Władca, nie odwracając od więźniów swego szatańskiego spojrzenia, cofnął się i zniknął za kotarą namiotu.

Więźniowie powoli wracali do siebie. Silne wrażenie, jakie wywarł na nich widok pięknego mężczyzny, nie było bynajmniej przyjemne. Oczy, będące odbiciem duszy ludzkiej, wyraźnie wskazywały, że w tym pięknym ciele mieszka prawdziwie szatańska dusza.

Oparci o siebie stali jak sparaliżowani z oczyma utkwionymi w kotarze namiotu. Dora, ściskając mocno rękę Portosa, wyszeptała:

— To chyba szatan.

— Tu wszystko podobne jest do piekła — dodał Bob, oglądając się trwożliwie.

Portos pierwszy odzyskał spokój.

— Niewątpliwie ta istota, pomimo swej piękności, jest odpychająca i niemiła, ale wrażenie, jakie na nas zrobiła, potęguje nasze zmęczenie i niesamowite tło podziemnego jeziora, głuchych, lub niemych małopoludów, tych ogni sztucznych... To, wszystko sprawia, że jesteśmy nieco przeczulen i przewrażliwieni. Nie wolno nam poddawać się przypuszczeniom, że w tym wszystkim jest coś nadnaturalnego. Owszem, są to niezwykle wrażenia z niezwykle przygód, ale przekonany jestem, że z chwilą, gdy wyjdziemy na wolną przestrzeń, oblaną promieniami słonecznymi, cała ta historia wyda nam się bardziej naturalna. Możliwe, że i to złoto, i drogocenne kamienie, które widzieliśmy, okażą się w dziennym świetle mniej wartościowymi świecidelkami. Siądźmy spokojnie i czekajmy dalszego ciągu tego niesamowitego filmu, jaki los kazał nam przeżywać.

— Bardzo wątpię, byśmy mogli siedzieć spokojnie w sąsiedztwie tego szatana — dorzucił Bob, patrząc trwożliwie na kotarę namiotu.

Portos obserwował dowódcę wioślarzy. Czuwał on nad płonącym w metalowym koszu materiałem, dosypując od czasu do czasu jakiegoś proszku, który znajdował się w specjalnym magazynku.

Otawio zręcznie wyciągnął szczyptę tego proszku i obejrzawszy go dokładnie rzekł:

— Patrzcie państwo! To jest jakaś mieszanka, zawierająca magnezję. Widocznie ci ludzie posiadają dość dużą wiedzę, jeśli umieją, odpowiednimi mieszaninami, uzyskać powolne spalanie się magnezji i wykorzystać ją jako źródło światła.

Podróż płynęła strasznie monotennie i jednostajnie. Czas dłużył się niesamowicie. Znudzeni i zmęczeni przestali się interesować tym, co ich otaczało. Jarzące się, jaskrawe światło, cichy plusk uderzanej wiosłami wody i rytmiczne ruchy wioślarzy sprawiły, że wpadli w jakiś półsen, z któ-

rego zbudził ich dopiero ostry głos ukrytego w namiocie człowieka.

Indianin, pilnujący ognia, przerwał raptownie swe zajęcie, padł na kolana i z pochyloną głową słuchał dolatujących z namiotu słów rozkazu. Gdy głos zamilkł wstał i z szuflady, znajdującej się w rogu tylnej części statku, wyjął mały walec, przypominający kształtem torpedę. Zapalił zwieszający się sznur i wyciągnął w bok rękę z tym dziwnym przedmiotem. Pał się słyszeć głuchy syk. Przedmiot podrzucony w górę, siłą ramienia, zaczął się unosić jeszcze wyżej o własnej sile. Osiągnąwszy dość dużą wysokość zamienił się w balon z długim ogonem, z którego błysnęło oślepiające, zielone światło.

— Oto klasyczna rakietka torpedowa! — zawołał zdumiony Portos.

— Patrz! Patrz! — zawołała Dora wskazując drugie zielone światło błyszczące w oddali.

— To jest odpowiedź. Oni mają jakieś umówione znaki, poprosi u kod raketowy.

Statek skierował się obecnie w tę stronę, w której widać było światło. Było ono słabsze niż początkowo, ale wciąż wyraźnie widoczne.

— Czyście zauważyli dym, który wytworzyła rakietka, rzucona przez dowódcę naszych wioślarzy? — zapytał Bob.

Obejrzeni się za siebie i zobaczyli rozciągający się za welon dymu, dającego przepyszne fosforyczne statkiem odbłaski.

— Ognie bengalskie! — powiedział Portos. — Rano wątpię w to, co teraz widzę. Ciekaw jestem, co powiedzieliby na to nasi starzy profesorowie chemii?

— Dopływamy do celu! — zawołała Dora.

Rzeczywiście zbliżali się do brzegu, jasno świetlnego blaskiem rakietki, światło było nieco zamglone, ale wystarczająco silne, by można było dokładnie widzieć cały brzeg.

Statek przybił do plaży i zatrzymał się.

Nic nie przypominało urządzeń przystaniowych spotykanych w cywilizowanym świecie, to też nasi rozbitkowie przyglądali się wszystkiemu z wielkim zainteresowaniem.

Plaża była niewielka, a za nią wznosiła się wysoka góra obramowana Czarną, granitową skałą. W tej granitowej ścianie wykuto były otwory, prowadzące do grot. w których prawdopodobnie zamieszkiwali ludzie.

Wkrótce zobaczyli wiele tych istot, bardziej podobnych do małp niż ludzi. Mężczyźni, kobiety i dzieci zaczęli się kręcić w pobliżu skalnych otworów. Poruszali się niezgrabnie, ale nadzwyczaj ostrożnie. Widać, było, że są ślepi. Wszyscy zajęci byli jakąś pracą, którą, pomimo ślepoty, wykonywali umiejętnie.

Nasi więźniowie bacznie obserwowali to niesamowite zjawy. Wszystko było tak nieprawdopodobne, iż mogłoby służyć Edgardowi Poe jako temat do nowej fantastycznej powieści, która z pewnością zakasałaby wszystkie poprzednie.

Dora instynktownie ścisnęła ręce swych towarzyszków, przeczuwając jakby okropności, jakie się mają przed ich oczami rozgrywać.

— To są mieszkańcy grot podziemnych... Ślepi niewolnicy! Boże mój, to jest okropne! — szeptała!

— Prawdziwe krety! — dodał Portos.

Przy brzegu przycumowane były statki, zupełnie podobne do tego, którym przyłynęli nasi rozbitkowie. Wokół tych statków kręcili się Indianie. Na brzegu, opodal wejść prowadzących do grot, stał otoczony gromadą, nieruchomych Indian, człowiek, zupełnie podobny do tego, który przyłynął na statku. Stał, ze spojrzeniem utkwionym w płachtach ustawionego na pokładzie namiotu, służącego jako kabina dla jego sobowtóra, nie różniącego się odeń ani budową fizyczną, ani strojem. Po chwili krzyknął donośnie swym ostrym, przeszywającym głosem, na dźwięk którego zapanował niesamowity ruch wśród ślepych istot.

Kto żył zaczął się tłoczyć do ciemnych grot. Popychano się wzajemnie i potraćano, by jak, najprędzej skryć się w mrocznych czeluściach.

Dwaj dygnitarze spotkali się na opustoszałej plaży i po krótkiej rozmowie, zwrócili się obaj ku jednemu z wejść do groty, znacznie większemu JUŻ inne.

Nagle stało się coś, co zamroziło krew w żyłach naszych obserwatorów.

Jeden z władców, wchodząc do groty, natknął się na małe dziecko indyjskie, które widocznie szukało zaginionej matki. Ślepe maleństwo cicho płakało, wyciągając przed siebie ręczyny. Rozzłoszczony pan, widząc przeszkodę na swej drodze, chwycił bezbronne maleństwo i rzucił je na wystającą skałę.

Biedna dziecina uderzyła z głuchym odgłosem o ostrą skałę i legła na ziemi z roztrzaskaną głowiną. Mózg, zmieszany z krwią, rozprysnął się po twardej ziemi. Dygnitarze, nie zwracając najmniejszej uwagi na wyniki swego bestialskiego czynu, znikł i w ciemnym otworze, nie przerywając swej spokojnej rozmowy.

Dora, w pierwszej chwili chciała biec w kierunku martwego dziecka, lecz powstrzymana przez towarzyszków, zrozumiała szybko szaleństwo mieszania się w tej chwili w sprawy tych złych i bezdusznych istot. Wybuchnęła spazmatycznym płaczem, powtarzając nieustannie:

— Bandyci! Podli bandyci!!

Tymczasem z groty, do której weszli dygnitarze, wyszło kilku Indian, by wnieść do środka leżące w pobliżu bagaże. Jeden z nich potknął się o zabite dziecko. Podniósł je ostrożnie i złożył w jednej z grot, a sam spokojnie wrócił do swej pracy.

Z groty zaczęły dochodzić jęki i płacz matki, która odnalazła swą martwą dziecinę.

Ślepcy nic komentowali okoliczności zbrodni, ani nic okazywali najmniejszych oznak niepokoju. Byli widocznie przyzwyczajeni do kaprysów i okrucieństwa swych

władców.

Jeden z Indian zbliżył się do więźniów, by przeprowadzić ich do groty. Dało się wtedy zauważyć, że w braku wzroku posługiwał się on powonieniem. Stał na środku plaży, wciągnął nosem powietrze i bez wahania skierował się w ich stronę.

Przez wielki otwór, tworzący rodzaj bramy, weszli do niewielkiej celi, wykutej w skale i oświetlonej migotliwym płomieniem pochodni.

Na przeciwległej w stosunku do bramy ścianie, widać było zarys wgłębienia zajęty solidnie zbudowaną drewnianą platformą, na której złożone były ich bagaże.

Popchnięci przez niewolników padli na walizy i równocześnie poczuli na sobie okrutne spojrzenia dwóch tyranów, którzy stojąc w drugim końcu wnęki, uporczywie wpatrywali się w ich stronę.

Po chwili jeden z nich pociągnął, zwieszając się u sufitu obręcz. Dał się słyszeć głuchy odgłos i nad sklepieniem błysnęło światło, przeciskając się przez szpary sufitu do wnętrza. Był to widocznie sygnał, gdyż platforma drgnęła i powoli zaczęła unosić się w górę. Teraz dopiero zrozumieli, że znajdowali się w windzie.

Otoczyła ich ciemność. Nie mieli odwagi poruszyć się, ani odezwać się, choćby jednym słowem. Siedzieli w kącie, do którego ich wepchnięto, jak sparaliżowani utkwionym w nich wzrokiem oczu, które błyszczały w ciemnościach, jak ślepiea dzikiej pantery.

Powoli stracili świadomość tego, co się działo. Wyczerpani fizycznie, poddali się hipnotycznej sile, płynącej z oczu tych okrutnych osobników i stracili przytomność.



## ROZDZIAŁ VI

Portos pierwszy ocknął się z głębokiej hipnozy, która pozbawiła go świadomości. Spojrzał wokoło siebie chcąc Zebrać myśli i zdać sobie sprawę, gdzie się znajduje.

Zauważył, że leży na miękkiej otomanie, pokrytej bogatym dywanem, pełnym fantastycznych, różnokolorowych deseni. Ściany, sufit i podłoga olbrzymiej sali ozdobione były nie mniej bogatymi kobiercami. Uderzał brak okien i drzwi. W ścianach nic było żadnego otworu, a jednak powietrze było świeże, a sala silnie oświetlona. Po dokładniejszym przyjrzeniu się dostrzegł, że światło wypływało z dymu, unoszącego się pod sufitem w rodzaju mgły, przez którą przewijały się tęcze promienie, tworzące miły nastrój, pełen harmonii i spokoju.

Na pierwszy rzut oka całość, pełna barw i kontrastów, przypominała wschodnie obrazy, lecz baczna obserwacja sali osłabiała to przekonanie.

Dora i Bob spoczywali na takich samych otomanach i już zaczęły się poruszać, co było niezawodną oznaką ich powrotu do przytomności.

Widok poruszających się towarzyszków wrócił Portosowi zupełną przytomność. Zaczął sobie zdawać sprawę z wypadków, przeżytych w ostatnich dniach.

— Zdaje mi się, że jestem w chińskim pałacu — rzekła Dora, precyzując swe pierwsze wrażenie po przebudzeniu się z hipnotycznego snu.

— Raczej wygląda to na wnętrze pałacu jakiegoś maharadży — zauważył oprzytomniały już Bob.

— Także myślałem, że jest to wnętrze domu wschodnich władców — rzekł Portos — lecz przyglądając się uważnie szczegółom doszedłem do wniosku, że przeczą one temu.

— Gadanie! — dowodził Bob — Tylko na Wschodzie można spotkać takie kombinacje barw i taki przepych kobierców.

— Myślę, że Otavio ma rację! — rzekła Dora, obserwując uważnie dekoracje — Patrz na desenie! Właściwie nie są to wyraźne desenie, a raczej przydymiono plamy w różnych, bardzo umiejętnie dobranych barwach. Czyżby to był jakiś dym świetlany? Nie, w tym nie ma nie wschodniego.

— Dobrze, dobrze! — niecierpliwił się Bob — To nie jest odpowiedni moment do przeprowadzania analiz artystycznych. Co nas w tej chwili może obchodzić, czy to wschodnie, czy jakieś szatańskie ozdoby? Najważniejszym jest, by się dowiedzieć do jakiej dziury nas wsadzili i co dalej z nami się stanie.

— Patrzcie państwo! Pośrodku przymocowany jest gong! — zawołał Portos — i to z prawdziwego brązu!

— Patrzcie, co za dziwny sprzęt! — dodał przyglądając się zawieszonemu przedmiotowi.

Gong nie był wielki, lecz artystycznie ozdobiony ślicznymi deseniami, cyzelowanymi tak delikatnie, że wyglądały jak drobniutka koronka. Pozornie był to niewątpliwy okaz sztuki wschodniej, lecz gdy zaczęło się wnikać w szczegóły, przekonanie to słabło.

Obgadawszy dostatecznie ten obiekt oryginalnej kultury, wytworzonej przez tajemniczych mieszkańców tej nieznannej góry, Portos postanowił przyśpieszyć wypadki i zaproponował, by uderzyć w gong. Dora namyślała się przez chwilę.

— Ha! Zaryzykujemy! Prawda, Bob? Myślę, że oni w tym celu zawiesili gong. Uderz, Otavio! Zobaczymy ci się stanie — powiedziała.

— A no, uderzaj! — zgodził się Bob — Niech się stanie co chce. Mam diabelną, ochotę -wyjść z tej klatki. Co będzie, to będzie!!!

Portos podniósł młotek i silnie uderzył w brązową tar-

czę. Rozległ się doniosły, głęboki i harmonijny dźwięk. W tej chwili zza kotary, która łączyła kobierce i kryła przejście, wyłoniła się wysoka, korpulentna postać Indianina, Albinosa, podobnego do mieszkańców trzęsawisk, otaczających wybrzeża, gdzie ulegli katastrofie.

Przybysz nic był ślepy jak ci, których widzieli na plaży. Przeciwnie, wzrok, którym obrzucił uwieczonych, był baczny i inteligentny. Ubiór Indiana składał się z gęsto plisowanej tuniki, oraz czarnych sandałów z cienkiej skóry. Białe, włosy, opuszczone na indyjski sposób, opasano były niebieską szarfą. Ciało jego było czyste i błyszczało od pokrywającego go jakiegoś olejku, mającego prawdopodobnie zabezpieczać przed nadwyras silnymi w tych okolicach promieniami słońca. Na lewym policzku widniała wstrętna, purpurowa szrama, wypalona chyba celowo gorącym żelazem.

Chwilę obserwował naszych więźniów i znikł za kotarą, by po paru sekundach wrócić z ogromną tacą szklanek i różnych miseczek. Postawił tacę na dywanie i zachęciwszy więźniów ruchem ręki do jedzenia, wysunął się cicho z sali.

— Jedzenie! — zawołała Dora z zadowoleniem — W porę je przysłali, gdyż czuję, że umieram z głodu.

— Tak, jedzenie! — westchnął Boh — Ale ja nie mam wielkiego zaufania do tych, pięknie przyrządzonych potraw!

— Cóż znowu? — odezwał się Portos wzruszając, ramionami — Musimy zjeść cokolwiek. Sam fakt, że nam przynieśli pożywienie, dowodzi, że z tej strony nic nam nie grozi.

— Dlaczego? — zapytała zainteresowana Dora, ogładając i wachając zawartość miseczek, wypełnionych jakąś gęstą, gorącą masą.

— Dlatego, że gdyby nas chcieli zabić... gdyby nam chcieli uczynić coś złego — poprawił się Portos widząc odruch zaniepokojenia u Dory — to by nas nie karmili. Daj-

my więc spokój z różnymi przypuszczeniami i bez ceregie-  
li zabierzmy się do jedzenia!

Łącząc słowa z czynem, podniósł jedną z miseczek i szybko wypróżnił jej zawartość. Towarzysze obserwowali go z ciekawością, połączoną z dużą dozą nieufności. Gdy, jednak zobaczyli, że Otavio zabiera się z zadowoleniem do drugiej porcji, poszli za jego przykładem.

Potrawa miała jakiś dziwny, ale przyjemny smak.

— Złe to nie jest! — dowodził P,ob z pełnymi ustami — Ta masa przypomina sos z mięsa i to w dodatku bardzo smacznie przyrządzonego. Ale do licha ciężkiego! Bardzo oszczędni są ci nasi gospodarze! Przysłali tak mało i podali na spodeczkach, jak dla kotów.

Portos, który po opróżnieniu trzeciej miseczki przestał jeść, uśmiechnął się słysząc ostatnie zdanie Boba.

— To dziwne! — zauważyła Dora — Spróbowałam każdej potrawy i nagle straciłam apetyt. Z początku myślałam, że tego wszystkiego zabraknie i nie uśmierzymy głodu, a teraz, ledwo zaczęłam jeść, już jestem syta.

— To samo uczucie miałem i ja — śmiał się Portos — lecz doszedłem do wniosku, że jedliśmy jakiś ekstrakt, w wysokim stopniu pożywny i silnie skondensowany. Dziwne istoty...

Dora, w tonie ostatnich słów, wypowiedzianych przez Portosa, dostrzegła jakąś nutę troski i niepokoju, nie czekając więc dalszego ciągu przerwała mu.

— Otavio, mów prawdę! Chcę wszystko wiedzieć co o nich myślisz.

Portos zawahał się. Czyż miał wtajemniczać młodą dziewczynę we wszystkie niebezpieczeństwa, z których coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę? Wykazać, że sytuacja ich jest bardzo poważna i niebezpieczna? Komu? Dwojgu ludziom, których dotychczasowe życie było pasmem zbytku. ..

Wiedział, że Bob był z natury tchórzem o słabym charakterze, nacechowanym bezgranicznym egoizmem. W Do-

rze dawno już odkrył szlachetną duszę i silny charakter, pod powłoką pozornej lekkomyślności. Ona go zrozumie i zamiast trwogi i upadku ducha, nabierze sił do stawiania czoła temu co ich spotka.

Spojrzał na towarzyszków, niecierpliwących się jego długim milczeniem i zaczął cichym głosem zwracając się do Dory.

— Dobrze! Będę mówił otwarcie, w tym przekonaniu, że jest to bezwzględnie potrzebne. Musimy być przygotowani na wszelkie możliwe niebezpieczeństwa. Wielu z nich nie umiemy sobie nawet dzisiaj wyobrazić, gdyż wpadliśmy w jakiś fantastyczny, prawie nierealny świat, zupełnie obcy i nam, i światowi, z którego pochodzimy.

— Obcy świat! — drwił Bob. — A cóżeśmy wpadli na księżyc, albo do piekła?

— Proszę cię Bob, nie przerywaj swymi głupimi żartami! — rzekła Dora.

— Tak wyrażając się — ciągnął Portos — chciałem jedynie powiedzieć, że znajdujemy się w jakimś miejscu na ziemi, które jest absolutnie nieznane naszej cywilizacji. Żyjąca tutaj rasa jest nam zupełnie obca.

— W mojej ojczyźnie, w Brazylii, miałem sposobność wędrowania po dziewiczych lasach i nieznanach okolicach. Gdym doszedł do obszarów, nie. oznaczanych na mapach, miałem, pierwszy raz w życiu, sposobność usłyszenia odgłosu tych przeklętych bębnow, jakie słyszeliśmy na trzęsawiskach.

— Jeden, ze spotkanych tam Indian opowiadał nam coś, co traktowałem jako jedną z legend, jakich wiele się tam nasłuchiwałem.

— Opowiadał o jakichś białych Indianach, dziwnych i okrutnych. Według jego opowiadania żyli oni na wysokiej górze, której kontury rysowały się na dalekim horyzoncie, Mówił, że żaden z jego braci nie śmiał zbliżyć się do tej góry, gdyż każdy, kto zapuścił się w tamtą stronę, ginął bez śladu.

— Spełniwszy poleconą mi misję, zajęty innymi sprawami, nie myślałem więcej o tych opowiadaniach i legendach, słyszanych na północy mego kraju. Obecnie wydaje mi się, że jesteśmy na szczycie tej góry, o której krążyły niesamowite legendy, przerażające dzikich Indian mojej ojczyzny. Z tego, cośmy ostatnio widzieli i przeżyli, wnioskuje, że te legendy miały solidne i realne podstawy.

— Lecz — przerwała Dora — jeżeli chodziłeś już po tych okolicach, to je mniej więcej znasz i nie będzie nam trudno wrócić do cywilizowanego świata. Prawda?

— Przeciwnie! Właśnie dlatego, że zdaję sobie sprawę z tego, gdzie jesteśmy, przekonany jestem, że nic łatwo będzie nam się stąd wydostać.

— Pięćset lat badań i poszukiwań nie potrafiło odkryć żyjącej tu rasy. Z ekspedycją, do której należałem, udało się nam dotrzeć do najbardziej na północ wysuniętych terenów Brazylii. Nasza karawana wędrowała całe tygodnie przedzierając się przez nieprzebyte puszcze, przepływając rzeki i bagniska, budując tratwy i wycinając przejścia przez fantastyczne gąszcze podzwrotnikowych lasów.

— Zwalczyliśmy tysiące trudności, spotykanych na każdym kroku. Na szczęście mieliśmy doskonałych przewodników, obznajmionych wspaniale z terenem, których wybraliśmy spośród okolicznych Indian. Sami stąd nie wyjdziemy, gdyby nawet władcy tego pałacu zgodzili się puścić nas wolno.

— Z tego wynika, że oni nas zatrzymują na zawsze jako niewolników? — zapytała Dora z troską w głosie.

— Nie! Nie mamy podstaw do domysłów, jakie są ich intencje wobec nas — odpowiedział pilot, starając się zachować, możliwy spokój. — Jesteśmy traktowani jako więźniowie, czego najlepszym dowodem jest przeprowadzona w czasie naszej nieprzytomności, szczegółowa rewizja. Zabrali nam przecież wszystkie przedmioty, które im się wydawały podejrzane. Przepadł mój scyzoryk, Winchester i wiele innych drobiazgów, a panu, panie

Schmidt skonfiskowali pański zegarek. Nie ulega wątpliwości, że jesteśmy skazani na ich łaskę. Musimy jednak walczyć o nasze życie posiłkując się tym, co nam pozostało, a więc odwagą, spokojem i inteligencją.

Ucichli pogrążeni w myślach, analizując rozpaczliwą sytuację, w jaką wpadli.

Rozmyślenia ich przerwało zjawienie się wysokiego, pięknie zbudowanego Indianina. Był to typ, należący do innej rasy niż panowie, którzy ich tu przywiedli, ale nie należał także do rasy niewolników. W poważnej mierze przypominał dawnych Azteków, z tym, że miał bardziej regularne rysy i jaśniejszą skórę. W oczach jego tało się to samo okrucieństwo, które cechowało tamtych despotów. Strój jego składał się z krótkiej, brązowej tuniki, przytrzymywanej purpurowymi szelkami, skrzyżowanymi na piersiach. Szyje i ramiona miał gołe, ozdobione jedynie szerokimi bransoletami. Z tyłu zwieszał się, w zręcznych fałdach, purpurowy płaszcz. Na głowie miał kask z brązu, spięty dwoma klamrami w formie skrzydeł szarańczy. Uzupełnieniem jego stroju była zwisająca przy boku szpada bez pochwy, wykonana z brązu, oraz czarne, płaskie buciki przymocowane do nogi za pomocą sznurowanych na krzyż tasiemek, sięgających kolana. Całość sprawiała wrażenie uniformu dawnych, rzymskich wojowników.

Wszedł szybko i bacznie przyjrzał się więźniom. Nie spuszczać z nich ostrego spojrzenia, wydał kilka słów komendy, na którą rozsuwając kotarę, weszło natychmiast dwóch niewolników Albinosów. Za kotarą rozciągał się długi, wąski korytarz.

Wyprowadzeni na korytarz więźniowie, zostali natychmiast otoczeni przez grupę żołnierzy, ubranych tak jak oficer, z tą jednak różnicą, że nie mieli płaszczy, a tuniki ich były białe. Wszyscy byli równie rośli i zgrabni, jak ich dowódca.

Minęli szybko długi korytarz, utworzony z bloków granitowych i oświetlony fosforyzującymi gazem. Po chwili do-

szli do drewnianych drzwi, okutych brązowymi sztabami. Dwóch niewolników otworzyło ciężkie skrzydła wrót i snop silnych promieni słonecznych formalnie oślepił naszych rozbitków, przyzwyczajonych do sztucznego oświetlenia.

Z korytarza przeprowadzono ich na wielki, kwadratowy dziedziniec, otoczony wysokimi gmachami, zbudowanymi także z olbrzymich bloków granitowych.

Architektura tych budowli była nadzwyczaj charakterystyczna i dziwna. Frontowe pawilony były wąskie, wysokie i otoczone krętymi pochylniami, wiodącymi aż do szczytu. Góry pawilonów połączone były rodzajem tarasu, w narożnikach którego wznosiły się nadzwyczaj wysokie wieże, całkowicie pozbawione okien, przypominające, na pierwszy rzut oka, strukturę babilońską.

Przez pusty i cichy dziedziniec skierowano więźniów ku frontowemu gmachowi. Gdy doszli doń, zaczęli się wspinać po, zastępującej schody, pochyłości.

Szli długo, lecz zainteresowani rozciągającą się przed nimi panoramą, coraz to szerszą w miarę wspinania się w górę, nie czuli zmęczenia, ani palących promieni słonecznych.

Dziedziniec wydawał się z tej wysokości ciemną studnią, a przecież, będąc na dole, widzieli jego olbrzymie wymiary.

Wieże formowały osobne bloki, lecz były identyczne pod względem kształtu i wysokości. Cała ta wspaniała budowla wznosiła się w centralnym punkcie płaszczyzny, której pozostałe rozległe tereny wykorzystane były jako plantacje i pastwiska, z rozrzuconą wśród nich wielką ilością małych chatek. W oddali płaskowyż urywał się nagle, tworząc przepaść, pokrytą niebieską mgłą, zasłaniającą dalsze widnokręgi.

Pochylnia, którą, wspinali się ku górze pokryta była asfaltem, a boczne ściany tworzyły bloki granitowe, przerywane w równych odstępach małymi drzwiczkami, zaopatrzonymi także granitowymi ozdobami. Przy tych wej-



ściach pełniło służbę po dwóch milczących i nieruchomych niewolników.

Całość tej pochylni była jednostajna i monotonna. Prawdziwą wspaniałością, która zwróciła uwagę więźniów, był boczny parapet, wykuty z kamienia w formie smoka, którego ogon znajdował się na dole, przy wejściu, cielsko w fantastycznych ruchach gięło się wzdłuż całej pochylni, a głowa ginęła na samym wierzchołku gmachu. Było to wprost doskonale dzieło, wspaniale wypracowane w swych najdrobniejszych szczegółach i pięknie harmonizowało z tą cyklopową budową.

Podeszli wreszcie do frontowych drzwi, które niewolnicy natychmiast przed nimi otworzyli. Weszli do holu, udekorowanego tak samo jak sala, w której ocknęli się z hipnotycznego snu.

Na skinienie oficera niewolnicy zatrzymali się i otoczyli więźniów, a dowódca znikł za boczną kotarą. Za chwilę powrócił i powiedział coś do żołnierzy, którzy momentalnie padli na kolana i pochyłili głowy tak, że czołami uderzyli pokornie o posadzkę.

Oficer stał wyprostowany i nieruchomy. Rozsuwająca się kotara odsłoniła tak niesamowite wnętrze salonu, że Dora nie mogła powstrzymać okrzyku zdumienia. Przytuliła się drżąc do Portosa, który wstrząśnięty i zdumiony, silił się, by opanować wrażenie i swym spokojem dodać odwagi towarzyszom.

## R O Z D Z I A Ł VII

Olbrzymia, okrągła sala tworzyła rodzaj namiotu, pokrytego jedwabnym, różnokolorowym, umiejętnie dobranym materiałem. Namiot ten podpierały złote kolumny tworząc półkole, mieniające się od blasku, cudownie szlifowanych, drogocennych kamieni. Wszystko oświetlone było tym dziwnym światłem, które formowało w górze jakby ruchomą tęczę, sprawiającą wrażenie harmonii, spokoju i zadowolenia.

Wrażenie potęgował subtelny zapach jakichś nieznanych perfum.

Pośrodku sali wznosił się tron ze szczerego złota, ozdobiony drogocennymi kamieniami i pokryty wspaniałymi płaskorzeźbami.

Na poduszkach spoczywała młoda, piękna kobieta, której delikatne i harmonijne ciało, miało za jedyne przybranie oślepiająco mieniające się klejnoty, najrozmaitszych barw.

Z dwóch stron tronu, półkolem, na złotych fotelach, siedziało dziesięć kobiet, których nagość na wpół zakryta była misternie zawieszonymi klejnotami. Wszystkie były młode i piękne, o czarnych, długich włosach, spływających w pięknych splotach. Rysy ich twarzy zdradzały wschodnie pochodzenie. Niezależnie od piękności, w oczach wszystkich, widać było błysk okrucieństwa dzikich zwierząt, taki sam, jaki widniał w oczach niedawno poznanych zbrodniczych władców. Niewątpliwie stanowili jedną rasę.

Siedziały w milczeniu i uparcie patrzyły na więźniów, a ci mieli wrażenie, że tracą za chwilę przytomność pod wpływem ich szatańskich spojrzeń.

Pokryci potem i krańcowo zdenerwowani ocknęli się, gdy doszedł do nich głęboki, gardłowy o altowym brzmie-

niu głos kobiety, siedzącej na tronie.

Wypowiedziała jakiś rozkaz, na dźwięk którego więźniowie zostali, chwyceni przez oficerów i rzućeni następnie w środek koła zajmowanego przez kobiety.

Padł drugi rozkaz i po chwili zjawili się dwóch żołnierzy, prowadzących białego człowieka.

Pył to istny szkielet. Drżący i słaby, z twarzą zarośniętą, długą, ciemną, siwiejącą brodą, o długich, również siwiejących włosach, które w nieładzie spadały na pochylone plecy. Pobił wrażenie nędzarza. W oczach jego paliła się gorączka i rozpacz.

Rzucił się na ziemię obok więźniów, gdy tymczasem żołnierze cofnęli się w głębokim ukłonie.

Królowa zwróciła się do leżącego człowieka, a ten, wysłuchawszy jej słów z widocznymi przerażeniem zwrócił głowę w kierunku więźniów i zapytał drżącym głosem:

— Czy mówicie po angielsku?

Portos, który z uwagą obserwował nieszczęśliwca, odpowiedział na jego słowa pytaniem.

— Czy ty jesteś Brazylijczykiem?

— Tak! — zawołał człowiek z błyskiem radości w rozgorączkowanych oczach.

— Królowa pyta kto wy jesteście?

Portos podniósł się z dywanu i chciał pomóc Dorze i Bohowi uczynić to samo, lecz powstrzymał go zrozpaczony głos tłumacza:

— Niech oni leżą! Nie drażnijcie tych...

Portos powstrzymał się, lecz sam stał dumnie wyprostowany. Po chwili odezwał się do tłumacza:

— Powiedz tym szatanom, że należymy do wyższej rasy, że jesteśmy wolni i potężni i nie zniesiemy tego, by traktowano nas jak niewolników.

Widząc jednak wahanie tłumacza dodał:

— Tłumacz!

W czasie, gdy nieznajomy tłumaczył jego słowa, Portos szepnął do Dory:

— Będziemy zgubieni, jeśli oni zauważą u nas lęk i upadek ducha. Przymuś Boba, by się podniósł.

Dora natychmiast spełniła otrzymane polecenie zmuszając Boba do powstania. Królowa, zaczęła znów coś mówić.

— Ona pyta — rzekł tłumacz — jakim sposobom dostaliście się na moczary i skąd przybywacie?

— Powiedz im — odpowiedział Portos — że jesteście ambasadorami rasy o wiele wyższej i potężniejszej niż ich. Mów im, że wodzowie tej rasy, wiedząc o ich istnieniu, przysłali nas, byśmy zawarli z nimi traktat przyjaźni i dlatego przylecieliśmy na skrzydlatym aparacie, który lata jak ptak w powietrzu. Aparat nasz zwyciężony przez cyklon, zmylił wyznaczoną mu drogę i wpadł w moczary. Gdyby nie to wylądowałby tam, gdzie powinien, a więc w państwie waszej królowej. Wy tłumacz im to mądrze i okaż, że wzbudziliśmy w tobie wielki szacunek i uwielbienie.

— Jeśli potrafisz umiejętnie spełnić, moje polecenie, ocalisz nas i siebie.

Tłumacz, który słuchał Portosa z największą uwagą, zrozumiał na koniec grę. Rzucił się do stóp więźniów z czcią i uwielbieniem, a następnie przerywanym od wzruszenia głosem, gestykulując, zaczął tłumaczyć to, co usłyszał od Portosa.

Dora i Bob byli biernymi świadkami tego co się działo.

Korzystając, z przemowy tłumacza Dora zapytała:

— Kim jest ten człowiek?

— To jest mój rodak, Skombinowaliśmy przeprowadzenie pewnego planu. Róbcie podobnie jak ja! Przybierzcie postawy dumne i pewno siebie! Nie traćcie na moment odwagi!

W czasie, gdy tłumacz kończył swój dyskurs, przesadnie urozmaicony gestykulacją, przez zebranych na Sali przeleciał lekki szmer podziwu, który szybko uciekł, pod groźnym spojrzeniem królowej.

Po chwili namysłu królowa zadała nowe pytanie:

— Czym mogą dowieść prawdy swoich słów?

— Niech nam zwróca to, co należy do nas, a damy im żądane dowody! — rzekł Portos.

Królowa skinęła głową na znak zgody i wydała jednemu z oficerów odpowiednie polecenie.

Portos ostentacyjnie przerwał milczenie i rozpoczął swobodną pogawędkę z towarzyszymi nie zwracając uwagi na obecność szatańskich istot, które śledziły ich uważnymi spojrzeniami.

— Nasze sprawy znacznie się polepszyły — rzekł. — Zdaje mi się, że zdołałem wzbudzić w nich niepewność, a to bardzo wiele znaczy. Powiedziałem im, że jesteśmy specjalnie przysłanymi ambasadorami, których zadaniem jest poznać ich i zawrzeć z nimi przyjazne stosunki. Zaraz przyniosą nasze bagaże. Jeżeli zdołam zaimponować im jakąś nieznaną dla nich sztuczkę, to będziemy ocaleni.

— Co ty zrobisz? — zapytała Dora.

— Jeszcze nie wiem, lecz mam nadzieję, że coś wymyślę w odpowiednim momencie.

— Niech ci Bóg dopomaga! — szepnęła wzruszona dziewczyna.

Bob, całkowicie uspokojony i pewny siebie, obserwował z zainteresowaniem naszyjnik królowej.

— Ciekaw jestem, czy te klejnoty są prawdziwe? — zapytał.

— Przypuszczam, że, tak — odrzekł Portos ironicznie — klejnotów i złota nie brakuje tym ludziom.

— Ależ! To przedstawia bajeczny majątek — wykrzyknął Bob z błyskiem chciwości w oczach.

— To prawda, ale są bardziej bajeczne bogactwa.

— Jakie? — zapytał zaintrygowany Bob.

— Nasze życie, które nie będzie warte nawet jednego dolara, jeśli oni zauważą twoją chciwość.

— Bob zbladł na te słowa, gdyż uznał je za obelgę, ale opuścił oczy, by nikt nie mógł dojrzeć ich wyrazu. Nieco później patrzył już całkiem spokojnie na klejnoty, rzucające przepyszne blaski na wszystkie strony.

W tej chwili weszła, grupa żołnierzy, dźwigając wszystkie przedmioty zabrane z samolotu. Cały bagaż ustawili na dywanie przed królową. Nic nie brakowało. Nawet części motoru i zbiorniki z benzyną były nienaruszone.

Portos spojrział z czułością na Winchester. Szukał natchnienia w tym wielkim chaosie myśli, przewijających się przez jego umysł.

Królowa przerwała ciszę żądając, odszukania obiecanych dowodów prawdy słów Portosa.

Młody człowiek przypominał sobie wszystkie wybiegi, jakich używali, dla obrony przed dzikimi murzynami afrykańskimi, członkowie różnych ekspedycji, lecz żaden z nich nie wydawał mu się odpowiednim. Myślał o iskrach prądu elektrycznego, o swoim karabinie... Wszystko wydawało mu się mało efektowne, by mogło przestraszyć te dziwne istoty obdarzone dużą inteligencją.

Nagle zabłysły mu oczy. Dojrzał akumulatory samolotowe, oraz cały zwój izolowanego kabla. Już wiedział co zrobić. Podniósł dumnie głowę, i rzekł z pogardą:

— Dajcie najlepszego ze swoich szermierzy, a zwyciężę go w pojedynku na szpady. Mam tajemniczą władzę, która pozwoli mi na pokonanie każdego.

Przetłumaczona propozycja wzbudziła wśród obecnych wielkie zaciekawienie. Królowa zgodziła się na to widowisko i dała rozkaz jednemu z wojowników o herkulesowej postawie, by stanął do walki.

Jeden z żołnierzy podał Portosowi swój, wykuty z brązu miecz, gdy tymczasem pewny siebie przeciwnik, oparty na rękojeści swego miecza, oczekiwał spokojnie na znak rozpoczęcia walki.

Pilot chwycił akumulator, połączył druty przewodnika do odpowiednich biegunów, zaizolował kawałkiem taśmy rękojeść miecza, połączył kable ze skrzyżowaniem miecza i trzymając drugi koniec izolatora w lewym ręku, stanął w pozycji szermierczej.

Na dany przez królową znak, oficer rzucił się gwał-

townie na Port osa zadając mu tak silny cios, że ramię pilota, odparowujące uderzenie prawic całkowicie odrętwiało. W chwili, gdy zwały się z sobą brązowe ostrza, prąd z akumulatora przepłynął po metalu i poraził oficera, trzymającego w dłoni nie izolowaną rękojeść. Miecz wypadł mu z ręki, a okropny krzyk przerwał cisze. Zapaśnik cofał się w przerażeniu trzymając kurczowo obolałe ramię. Ciemna jego twarz wykrzywiona była strasznym cierpieniem.

Powstał zgiełk i bieganina, którą uspokoił dopiero władczy głos królowej polecającej zaprowadzenie porządku.

Portos, nie mniej od innych wzruszony efektem swego wybiegu, zauważył wyraźne przygasanie światła. Szybko opanował się i już niemal po omacku znalazł Winchester i latarkę elektryczną. Zapanowała kompletna ciemność. Pilot nacisnął guzik swej latarki i bacznie rozglądał się wokół, postanawiając strzelać w wypadku najdrobniejszego niebezpieczeństwa.

Królowa, w całej wspaniałości swej klasycznej urody, Stała obok tronu, otoczona niewiastami, przypominającymi przestraszone pisklęta, garnące się pod opiekuńcze skrzydła kwoki.

Przed kobietami uformował się z wielbicieli kordon ochronny. Nieludzkie twarze sprawiały wrażenie przerażonych dzikich zwierząt, mogących jednak w każdej chwili zaatakować. Oczy wszystkich, błyszczące w ciemnościach, wlepione były w naszych rozbitków. Portos odczuwał siłę tego wzroku i obawiając się niebezpieczeństwa hipnozy, zdawał sobie sprawę, że musi natychmiast przeciwdziałać.

— Zapytaj ich — krzyknął do leżącego tłumacza — czy są dostatecznie przekonani, czy chcą jeszcze innych dowodów naszej potęgi?

Tłumacz wypełnił natychmiast dane mu polecenie.

— Ona pyta skąd otrzymałeś władzę nad piorunami. Powiedz mi coś, żebym mógł ich przestraszyć. Piorun jest. Jedyłą rzeczą, której się boją te okrutne szatany.

— A więc powiedz im, że mamy władzę nad pioruna-

mi i możemy nimi rozporządzać według naszej woli. Zresztą mów co chcesz, byle ich to przekonało! Nie zapomnij jednak dodać, że jesteśmy śmiertelnymi wrogami tych, którzy nas obrażają, lub chcą uczynić z nas igraszkę!

Tłumacz zaczął przemowę, a równocześnie wpadło kilku żołnierzy z pochodniami i okrzykiem pólkolem więźniów.

Mężczyźni powrócili na swe poprzednie miejsca za fotelami dam, objawiając w miarę postępu słów tłumacza coraz większy niepokój.

Królowa rzuciła pytanie.

— Ona chce wiedzieć, jak możecie się komunikować ze swoimi władcami teraz, gdy wasz wóz jest zniszczony?

— Powiedz, że nasi królowie mają magiczne skrzyneczki, za pomocą których mogą widzieć i słyszeć wszystko, co się dzieje. Jeżeli spotka nas coś nieprzyjemnego, przylecą na swych latających wozach i rzucają tyle piorunów, że z tego państwa nic nie zostanie.

Królowa długo namyślała się po otrzymaniu tej odpowiedzi, a cały dwór czekał niespokojnie jej decyzji. Teraz miał rozstrzygnąć się ich los, a Portos wciąż nie miał pewności, czy dostatecznie przekonał szatańskich władców, od czego zależało ich życie. Z niepokojem myślał o losie Dory w wypadku niepomyślnego dla nich obrotu sprawy. Nie widział innych sposobów ratunku, jednak zdając sobie sprawę, że jest pod obstrzałem badawczych spojrzeń, zachował zewnętrzny spokój i pewność siebie.

Wreszcie przemówiła królowa.

— Powiedziała, że jesteście jej gośćmi — zawiadomił tłumacz z udaną radością. — Wszystko co tu jest, należy do was i możecie korzystać z pełnej swobody. Mnie przeznaczyła do tego, bym wam służył jako tłumacz i przewodnik.



— Jesteśmy ocaleni! — powiedział Portos po angielsku, starając się ukryć radość. — Bądźcie jednak spokojni i opanowani! Oni nie powinni zauważyć, że jesteśmy zadowoleni. Muszą być przekonani, że nigdy nie doznawaliśmy najmniejszego uczucia obawy.

Portos nie mógł powstrzymać uśmiechu widząc minę Dory, siłacej się na zachowanie powagi.

— Powiedz im, że dziękujemy za gościnność — zwrócił się do tłumacza — i przyjmujemy ją. Żądamy jednak zwrotu wszystkich naszych rzeczy i przetransportowania ich do przeznaczonych dla nas apartamentów.

Mgliste światło, wydobywające się spoza złotych kolumn, przygasłe pod wpływem wyładowania elektrycznego, powstałego podczas pojedynku, zastąpione zostało światłem opalowym, które stopniowo stawało się coraz mocniejsze, aż wreszcie zabłysło wspaniałymi kolorami tęczy, odbijającymi się od klejnotów zdobiących salę.

Żołnierze z pochodniami wyszli. Inni zabrali bagaże, z wyjątkiem Winchestera, który Portos zaciskał w swych rękach.

W tej chwili tłumacz podawał do wiadomości nowe polecenia królowej:

— Rozkazuję, by gościa zostali zaprowadzeni do przeznaczonych dla nich apartamentów, oraz żeby zjawili się na bankiecie, jaki na ich cześć wyprawię.

— Podziękuj królowej! — rzekł Portos składając głęboki ukłon i cofnął się tyłem, do drzwi, gdzie stanął, czekając na towarzyszków, którzy pochylając głowy w ukłonie pośpieszyli za nim.

W korytarzu przeszli między dwoma szeregami milczących żołnierzy i zamiast do drzwi, skierowani zostali do jakiegoś przejścia, wiodącego ukośnie ku górze.

W milczeniu pięli się na Wyższe piętra i dopiero wtedy, gdy zostali sami z przewodnikiem, jakby odżyli i zaczęli mówić o doznanych wrażeniach.

— Ach, Otavio, byłeś fenomenalny ! — zawołała Dora

tacji, nie wiem co by z nami teraz było.

— Rzeczywiście, twoja trzeźwość jest godna podziwu — przyznał Bob głosem, w którym wyczuwało się wciąż wzrastające uczucie nienawiści.

— Eh! Tak znów nie było, panno Doro! — zaprzeczył Portos — Zaczęłem grę, musiałem więc ją prowadzić do końca. Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo. Udało się nam i tyle.

Chcąc jednak zmienić temat rozmowy zapytał przewodnika :

— Słuchaj, skąd ty się tu wziąłeś i jak się nazywasz?

— Na imię mi Józef, a historia moja jest zbyt długa, by ją teraz opowiadać. Mówmy po angielsku. Ja dobrze nie mówię, ale rozumiem wszystko.

— Doskonale, nie będę potrzebował tłumaczyć twych słów towarzyszom. Czy jeszcze daleko?

— Nie, zostały jeszcze dwa zakręty i będziemy na miejscu.

— Czy oni tutaj nie używają schodów? — zapytała Dora.

— Nie, pani, wszędzie są, takie same pochylnie jak ta.

— Oh! — odrzekła Dora głęboko wzdychając — jeśli wejście jest takie uciążliwe, cóż dopiero jak wypadnie schodzić!

— To rzecz przyzwyczajenia — zaśmiał się Portos. — Gorzej by było, gdyby używali drabin. Prawda panno Doro?

— Masz rację, ale... chciałabym cię prosić, byś nie traktował mnie tak ceremonialnie. Właściwie to ja powinnam mieć respekt dla ciebie, gdyż teraz ty jesteś dowódcą naszej grupy. Prawda, Bob ?

— Pewnie... Naturalnie... sepleniał Bob przez zaciśnięte zęby.

Był wściekły, kipiał ze złości, ale nie miał odwagi protestować.

— Dziękuję Doro — rzekł Portos z pewnym wzruszeniem w głosie — uczynię wszystko co tylko będę mógł, byśmy się stąd wydostali. Twoja wiara we mnie doda mi

odwagi.

— Jesteśmy na miejscu! — przerwał Józef, zatrzymując się przed drzwiami zakrytymi gęstą, grubą kotarą.

Weszli do komnaty, tak samo przybranej i oświetlonej, jak ta, w której obudzili się po podróży. Bagaż ich, porządnie ułożony, leżał na środku, na dywanie. Dwóch Indian stało z boku w oczekiwaniu na rozkazy.

Na polecenie Józefa odchyłili z dwóch bocznych ścian kotary, i ukazały się dwa mniejsze pokoje, urządzone z tym samym przepychem i wygodą.

— To są sypialnie! — wyjaśnił Józef — Ta mniejsza przeznaczona jest dla pani, a panowie zajmą drugą. Ja też tu będę spać. Niech państwo rozdziela swe bagaże, bym mógł kazać służącym zanieść je do odpowiednich pokojów.

— To wszystko bardzo pięknie! — zauważyła Dora, odłączając swoje rzeczy — Ale czy ci ludzie się nie myją? Wiele dałabym za to, by móc się wykapać.

Józef uśmiechnął się i skierował się ku trzeciej ścianie. Odsunął kotarę. *Z ust* całej trójki wyrwały się okrzyki podziwu.

Ukazała się wielka sala ze ścianami upiększonymi błyszczącymi jak lustra brązami. Środek zajmował wielki, okrągły basen, wypełniony kryształową wodą, lekko zabarwioną zielonkawym odbiciem ścian. Woda była ciepła i bieżąca pod wpływem ruchu wachlarzowato ułożonych tłoków. Niezależnie od tego woda wydawała subtelny zapach jakichś nieznanych perfum. Podłoga składała się z szachownic gładkich bloków, ślicznie wyglądających w łagodnych blaskach unoszącej się w górze świetlanej mgły, która dodawała uroku temu cudownemu zakątkowi. Grube, miękkie flanele zabezpieczały nogi od kontaktu z wodą.

Po chwili przyglądania się tym estetycznym urządzeniom, Portos zapytał o mydło i ręczniki.

— Tych rzeczy oni tutaj nie znają objaśnił Józef - oni mają swój specjalny rytuał kąpielowy. Fachowcami wykwalifikowanymi do ceremonii kąpielowych są niewolni-

cy, eunuchowie. Zamiast mydła — nacierają ciało jakąś pachnącą pomadą, która nie wydaje piany. Następnie kąpiący się wchodzi do wody, gdzie pomada ulega rozpuczeniu, pozostawiając ciało zupełnie czyste. Po kąpieli niewolnicy robią masaż na mokrym ciele, używając do tego jakichś wzmacniających olejków. Oni tutaj mają fryzjerów i cyrulików, a wszystko spośród ludzi, należących do kasty niewolników. Przypuszczam, że pani zwolni całą tę hałastę ze służby?

Dziewczyna wzdrygnęła się ze wstrętem i rzekła:

— Dzięki Bogu mam wszystko, czego mi potrzeba do kąpieli, zgodnej z naszymi zwyczajami. No, ja pójdę rozpakować rzeczy i przygotować się do kąpieli, a wy, moi panowie, tymczasem zdążycie się ogolić. Dobrze?

Bob, zgodnie z radą Dory, udał się do sypialni, a Portos pozostał zamyślony obserwując wytryskującą z rur wodę.

— Powiedz mi jedno, Józefie! Jak ta woda może dojść na taką wysokość?

— Czy pan pamięta podziemne jezioro! Właśnie stamtąd przyływa woda.

— Ale jak? Na to trzeba potężnych maszyn, które byłyby w stanie doprowadzić, wodę aż tutaj i to w tak wielkich ilościach.

— Żeby to były maszyny!... westchnął Józef z wyrazem bólu na twarzy — Tam na dole, w tym piekle, całe generacje pracują dniem i nocą, by wpompować wodę na tę wieżę, gdzie wbudowane są olbrzymie zbiorniki, które mają wystarczać nie tylko na użytek tego przeklętego pałacu, ale także na irygacje pól. Cała płaszczyna góry nie posiada ani jednej kropli wody, a pola jej potrzebują. Poza tym każdy z tych szatańskich „panów” posiada w swoim apartamencie basen podobny do tego.

— Lecz jak i kiedy mogli oni dojść do tego? — zapytał zdumiony Portos.

— Kiedy indziej pokażę panu instalacje składające się

z obręczy, łańcuchów, metalowych beczek i innych rzeczy, które...

— Cóż znowu za moda, Otavio! — przerwała Dora wchodząc nagle ubrana w szlafroku — Jeszcze gawędzisz? Bob napewno już się ogolił. Odłóż rozmowę na inną porę i wychodź, niech ja sama porozkoszuję się tą wodą!

— Niech się pani nie śpieszy! — rzekł Józef, zasuważając kotarę — Ów zapowiadziany bankiet nie prędko się zacznie.

Ogoliwszy się, młodzi ludzie z najwyższą rozkoszą wykapali się, a następnie przygotowywali się, by wziąć udział w bankiecie. Wszyscy odrzucili fantastyczne stroje, przyniesione im przez niewolników i ubrali się we własne, wyjęte z bagaży. Dora założyła wizytową suknię. Portos ubrał się po sportowemu, w koszulę, bryczesy i długie buty, a Bob, który nie miał sportowego ubrania, wystroił się w smoking, co naraziło go na nieco dotkliwych żartów ze strony Dory.

— Józefie — zapytał Portos — dlaczego nie skorzystasz z mojej żyletki i nie ogolisz się?

— Jestem niewolnikiem i jako takiemu nie wolno mi używać wody. Czasem, gdy schodzę na dół, do grot, wolno mi się wykapać w podziemnym jeziorze.

— Przecież to jest nonsens! — zawołała oburzona Dora — Teraz jesteś z nami i powinieneś korzystać ze swobody.

— Błagam panią! Proszę mi nie utrudniać mojej sytuacji, która i tak jest bardzo ciężka. Niech zostanę tak, jak jestem. Mój los jest taki, że nie mam pojęcia jakim sposobem ja dotychczas żyję. Później, po upływie pewnego czasu możecie ich prosić, by oddali mnie wam, jako specjalnego dla was niewolnika. Wtedy będziecie mogli poprawić moją sytuację. Tutaj najdrobniejszy objaw nieposłuszeństwa karany jest śmiercią w najokrutniejszych mękach. Teraz ja należę do nich i muszę ich ślepo słuchać.

— Obecnie chciałbym was poinformować, jak macie

postępować. Będziecie brali udział w biesiadzie całkiem innej od tego, co możecie sobie wyobrazić. Wszyscy członkowie tej przekłętej rasy będą obecni. Wierzcie mi, że są to bezduszne, monstrialne twory. Jedyłą ich przyjemnością jest to, co ekscytuje i podnieca ich zwyrodniałe instynkty. Dlatego więc musicie przygotować się do asystowania w scenach naprawdę ohydnych i nie okazywać wzburzenia. Jeśli chcecie zachować pozycją jaką macie dziś, bądźcie niewzruszeni, cokolwiek będzie się dziać! Tu litość uważana jest za uczucie poniżające i zasługujące na pogardę. Panno Doro, niech pani pamięta, że od pani panowania nad sobą zależy życie pani i jej towarzyszków! Tu rządzą kobiety, zimne i niewrażliwe jak kamienie. Niech więc pani postępuje tak, jakby pani. była przewodniczką waszej grupy. To mówiąc przerwał, usłyszawszy dźwięk gongu, początkowo bardzo słaby, stopniowo potężniejszy, aż wreszcie tak donośny, jakby rozlegający się w ich pokoju.

Słuchacze zadrżeli oglądając się wokół w poszukiwaniu źródła tego potężnego głosu. Wówczas Józef podniósł kotarę i wskazał im przytwierdzony do ściany aparat.

Oto sygnał! — powiedział. — Wołają nas! Jeszcze jedna uwaga: wiem, że nie jesteście po ostatnich przeżyciach skłonni do śmiechu, tym niemniej, ostrzegam was, byście pod żadnym pozorem nie śmieli się. Śmiech jest tu uważany za nieprzyzwoitość. Teraz chodźmy i nie zapominajcie o mych radach!

Cicho i w skupieniu szli za przewodnikiem przez labirynty korytarzy i pochylni.

Portos szedł ostatni trzymając mocno swój karabin.

Sala bankietowa urządzona była z tym samym przepychem co i sala przyjęć. To samo bogactwo kolorów i fantastycznych, błyszczących dekoracji. Dziesiątki złotych kolumn wyrzucało oświetlający dym, który igrał i migotał tysiędami barw, będących refleksami różnorodnych klejnotów.

Na środku sali stał olbrzymi, okrągły stół, otoczony fotelikami, pokrytymi jedwabnymi, purpurowymi podusz-

kami, bogato ozdobionymi złotymi festonami. Zarówno stół jak i foteliki wykonane były ze szczerego złota. Przed każdym krzesłem stał szczerozłoty podnózek, bogato pokryty rzeźbami.

Średnica stołu sięgała około dziesięcin metrów. W środkowej części stół skłaniał się nieznacznie, w formie lejka i kończył się centrycznie rozmieszczonym otworem, otoczonym wzdłuż swego obwodu czerwonym, jedwabnym sznurkiem.

Przedstawiciele obojga płci tajemniczej rasy władców siedzieli już na fotelikach wokół stołu. Moc służby i wojskowych stała nieruchomo za biesiadnikami. Królowa zajmowała honorowe miejsce przy stole, mając za swymi plecami olbrzymi gong.

Józef wszedł na salę poprzedzając grono powierzonych jego opiece towarzyszy, wkraczających na salę pewnym krokiem z wystudiowaną godnością.

Wszystkie oczy zwróciły się z wyrazem nieposkromionej ciekawości ku wchodzącym.

Tęgi, olbrzymiego wzrostu oficer, zbliżył się do gości wskazując gestem przeznaczone dla nich miejsca. Usiedli, a Józef stanął za ich fotelami, gotów do pełnienia swych obowiązków tłumacza.

Na dany przez królową znak zabrzmiał gong i za chwilę zjawiała się gromada niewolników, niosących tace, pełne złotych miseczek i kielichów.

Zebrani władcy jedli, prowadząc swymi gardłowymi głosami ciche rozmowy. Baczne i uporczywe spojrzenia wlepione w naszych rozbitków dowodziły, że oni byli tematem zainteresowań.

Obserwując te piękne sylwetki władców, tak doskonale fizycznie, dostrzegało się jednak jakąś powolność i ociężałość ruchów, dziwnie harmonizującą z ich twarzami, pozbawionymi jakiegokolwiek wyrazu.

Portos, widząc że on i jego towarzysze są przedmiotem ogólnej uwagi, uznał za stosowne okazać obojętność

na te spojrzenia.

— Rozmawiajmy — rzekł do towarzyszków — musimy udawać, że oni nas nic nie obchodzą i, że jesteśmy dalecy od wszelkiego rodzaju obaw. Jesteście bardzo bladzi, pamiętajcie, że najgorsze już minęło, a na wszelki wypadek ma na kolanach nabity Winchester.

Józef, który uważnie śledził otoczenie, silił się, by usłyszeć cokolwiek z ich rozmowy. Po chwili dyskretnie zawiadomił swych nowych przyjaciół:

— Dziwią się, żeście nie spróbowali niczego z podanego jedzenia. Możecie jeść bez obawy. Są to skondesowane, pożywne ekstrakty. Warto także spróbować wina. Otrząśnijcie się z przygnębienia i starajcie się ich naśladować.

Poszli za jego radą i rzeczywiście, kilka łyków wyborowego wina wpłynęło dodatnio na ich animusz i samopoczucie. Opuściło ich przygnębienie, a nawet zaczęło ich towszystko bawić. Dora zaczęła podrwiwać z otoczenia, z ich zabawnych gustów i sposobu zachowania. Mówiła to jednak z całym spokojem i nadzwyczaj poważnie, zgodnie ze wskazówkami Józefa.

Bob, który miał skłonności do nadużywania trunków, wtórował żartom Dory, lecz robił to mniej dyskretnie, czym zmusił Portosa do zwrócenia mu uwagi, powstrzymującej jego zapędy i zalecającej, tak potrzebny w tej sytuacji, spokój.

Pilot, był czujny i uważny. Brał żywy udział w rozmowach swych towarzyszków, jednak ani na moment, nie spus-

szał z oka tego, co się wokół nieb działo. Miał żywo w pamięci to, co powiedział mu Józef. Był gotów w wypadku jakiejś niespodzianki skoncentrować cały swój umysł i siłę woli dla obrony.

Jedni ze służby napełniali kielichy, w miarę jak były opróżniono, inni zbierali puste naczynia, inni znów zaczęli wnosić na salę i ustawiać przed każdym z zaproszonych na ucztę maleńkie, drewniane, pięknie rzeźbiono stoliczki, na



których poustawiano były jakieś dziwne, maleńkie naczynka z żarem, złote skrzyneczki, wysadzone drogocennymi kamieniami, złote szczypeczki i fajki, z jednego końca podługowate i szerokie, z drugiego cienkie i delikatne, podobne do używanych w niektórych rejonach Chin.

Niewolnicy, na klęczkach rzucając wiernopoddańcze spojrzenia na swych władców, rozkładali i przygotowywali te dziwne przybory. Najpierw rozgrzali końce długich igieł, by następnie zanurzyć je w przechowywanym w skrzyneczkach proszku. Z kolei, przenosili igłę nad rozpalone węgielki, by roztopić osadzony na igłach proszek. Czynności te powtarzali tak długo, aż na końcach igieł uformowały się, pod wpływem gorąca, małe kropelki.

— To jest opium! — szepnął Józef — Przyjmijcie, gdy wam ofiarują! Palcie dużo, byście byli niepoczytalni, a w ten sposób unikniecie świadomego przyglądania się temu, co teraz nastąpi.

Kielichy krążyły coraz częściej, rozmowa stawała się coraz gwarniejsze, twarze biesiadników straciły swą świeżość i piękność, a w miejsce bezwyrazistości zajmowało, stopniowo nasilające się zdziczenie i okrutność.

Niewolnicy podali przygotowane fajki. Jasne światło ustąpiło miejsca czerwonemu, które sprawiało dość ponure wrażenie.

Na dany znak weszło dwóch niewolników i przesunawszy się przez specjalnie otwartą, część pierścienia, jaki tworzył stół, stanęło przed królową.

Byli to dwaj niemi Indianie. Przypominali raczej goryle, niż ludzi. Obaj byli prawie nadzy, gdyż jedyny ich strój stanowiły krótkie, sfałdowane spódniczki, zawieszzone na otaczających ich na wysokości bioder metalowych obręczach. Broni nie posiadali. Ich wspaniałe mięśnie kołysały się łagodnie pod powłoką, nadzwyczajnie białej skóry, błyszczącej od oliwy. Maleńkie czerwone oczy, otoczone białymi rzeszami, rzucały błyski okrucieństwa, dodając jeszcze dzikości i tak zezwierzęcałym twarzom.

Dora i Bob, wstrząśnięci zjawieniem się dzikusów, nerwowo palili fajki z opium i wkrótce stali się ofiarami nieznanego narkotyku. Wpadli w stan podświadomości. Przed oczyma zaczęły im się przesuwac jakieś fantastyczne widziadła, nie mające nic wspólnego z tym, co działo się na sali.

Portos postanowił widzieć wszystko i czuwać nad Dorą w wypadku jakiegoś niebezpieczeństwa. Pił więc wino drobnymi łykami i patrzył z zaciekawieniem na rozpoczynające się przedstawienie.

Potwory stały na uniesionej nieco arenie, czekając rozkazu. Kobiety i mężczyźni, z równym zainteresowaniem i wyraźnym podnieceniem, obserwowali muskularną budowę zapaśników.

Zabrzmią gong. Albinosi rozłączyli się stanęli na przeciwnych końcach areny. Na drugi sygnał gongu zaczęli powoli zbliżać się ku sobie. Mięśnie im nabrzmiały, a z ust wydobywał się przytłumiony ryk. Nagle zatrzymali się i gotowi do skoku, zaczęli się wzajemnie pilnie badać strasznym wzrokiem. Każdy dopatrywał się słabych stron przeciwnika.

Przygłuszone ryki stawały się, coraz groźniejsze i gwałtowniejsze.

W pewnym momencie jeden z zapaśników rzucił się prawdziwie tygrysim skokiem ku przeciwnikowi i chwycił go, żelaznym uściskiem, pod kolana. Napadnięty, wspaniałym ciosem powalił napastnika, a następnie, całym swym ciężarem, spotęgowanym, siłą rozpędu, rzucił się na leżącego. Powalony, kocim ruchem, usunął się od ciosu, wymierzonego weń całym ciałem przeciwnika, zerwał się z ziemi i zaatakował swego wroga w dosyć niewygodnej dla niego pozycji. Walka potoczyła się dalej.

Portos zainteresował się widowiskiem. Był wspaniałym znawcą walk zapaśniczych, więc szybko zdał sobie sprawę z faktu, że ma przed sobą niezwykle wyszkolonych mistrzów, o wiele przewyższających swych kolegów po fachu z

cywilizowanego świata.

Walka przybrała dramatyczny charakter. Pierwszy gracz wykorzystując ruch przeciwnika, zmieniającego pozycję udał, że chce mu wymierzyć silny cios w głowę, a gdy nieprzyjaciel odpierał to uderzenie rękoma, trzasnął go w ramię tak silnie, że dał się słyszeć głuchy trzask łamanej kości, a równocześnie rozległ się niesamowity ryk z bólu. Ranny nie ustępował. Zdrowym ramieniem chwycił przeciwnika za metalową obręcz na biodrach, przyciągnął do siebie i z całą furją zwierzęcej zemsty zatopił zęby w jego gardle. Napadnięty odrzucił wroga silnym uderzeniem kolana w brzuch i odskoczył, zalany krwią, tryskającą z rozszarpanego gardła.

Za chwilę zwarli się na nowo. Pogryziony użył teraz swych zębów, wyszarpując przeciwnikowi pół policzka.

To, co teraz się działo, nie miało już nic wspólnego z zapaśnictwem sportowym. Były to obecnie dwa dzikie zwierzęta, splątane z sobą w makabrycznych uściskach walki na śmierć i życie.

Biesiadnicy śledzili z największym zainteresowaniem najdrobniejsze szczegóły barbarzyńskiej walki. Kobiety wydawały okrzyki zachwyty w momentach najbardziej zdziwiających, dając tym dowód, że pod powłoką ślicznych ciał kryją się u nich prawdziwie zbrodnicze natury.

Roztrzęsiony nerwowo Portos chwycił kielich wina i wypił go jednym duszkiem. Zadowolony był, że Dora i Bob, oszołomieni działaniem opium, nie mieli dość przytomności, by rozumieć co się działo na sali.

Młody człowiek drżał z gniewu i oburzenia. Nie mógł wprost zrozumieć, jak biesiadnicy mogą napawać się widokiem tak potwornych scen. Przecież nie byli oni zwierzętami, pozbawionymi kompletnie poczucia estetyki, posiadali wysokie, jak na ich możliwości, osiągnięcia kulturalne cywilizacyjne, a nie raziło ich brutalne morderstwo.

Ruchy zapaśników stopniowo słabły, aż wreszcie jeden z nich przestał reagować i zaczął konać. Zwycięzca chciał

dźwignąć się opierając się na rękę, ale w pokaleczonym jego ciele zabrakło sił. — Runął obok swej ofiary.

W tej chwili wbiegli żołnierze. Czterech, z metalowymi bakami, zajęło się zapaśnikami. Wywlekli martwe ciała pogodzonych śmiercią, przeciwników i ustąpili miejsca innym, którzy zmyli szybko strugi krwi. Wszystko wróciło do dawnego porządku, nie pozostawiając śladów dopiero co zakończonej walki.

Zebrane towarzystwo przeżywszy chwile rozkosznych wrażeń, powróciło do wina i opium, które nie robiło na nich żadnego wrażenia.

Portos ścisnął kolbę nabitej broni i całą siłą swego charakteru powstrzymywał się, by nie wybuchnąć buntem przeciwko temu, co tutaj się działo. O jednym nie wiedział. To co minęło, było zaledwie łagodnym i niewinnym wstępem do dalszych numerów programu.

Zbladł, widząc żołnierzy, wprowadzających na arenę drugą parę Indian. Był to też Albinosi, należący jednak do plemienia ślepych mieszkańców podziemnych grot. Sylwetki ich zastosowały niebywałą siłę. Ubrani byli tak, jak ich poprzednicy. Portos ze zgrozą spostrzegł, że są oni z sobą złączeni łańcuchami kajdan. Lewa ręka jednego skuta była z prawicą drugiego, oddzieloną kilkunasto-centymetrowym łańcuchem. Obaj trzymali w swobodnych dłoniach małe sztylety. Na ich pomarszczonych twarzach widać było całą mękę, jaką musieli znosić, zanim dobroczynna śmierć nie uczyni ich obojętnymi na wszystko.

Portos czuł, że nie zdoła spokojnie patrzeć na tę dantejską scenę. Przypomniały mu się opisy walk gladiatorów rzymskich za Nerona... Nie! To było co innego! Motłoch upajał się widokiem krwi. To byli nieokrzesani nędzarze, w których głód rozbudzał dzikie instynkty. Zupełnie inna psychika niż tutaj. Strojni, nasyceni i inteligentni, torturują swoje ofiary i w ekstazie patrzą na lejącą się krew i ból, śledząc z ciekawością przebieg śmiertelnej walki.

— Na miłość Boską! Uspokuj się pan! — błagał prze-

straszony Józef — Oni już zauważyli twoje zdenerwowanie. Uważają je za słabość z twojej strony. Ich pogarda przyniesie w konsekwencji niechybną śmierć nam wszystkim.

Portos spostrzegł, że rzeczywiście ich grupa stała się ZNÓW przedmiotem obserwacji. Z nadludzkim wysiłkiem zdołał się opanować i przybrać maskę obojętności. Patrząc chłodno na królowę, która o czymś mówiła nie, spuszczając z niego wzroku, zwrócił się do Józefa:

— Słuchaj ! Czy oni tutaj znają tak zwane zakłady?

— Tak! To jest ich najmilsza rozrywka. Ta ohydna rzeźnia jest właśnie na to przeznaczona.

— Powiedz więc królowej, że w tej walce ja chcę zrobić z nią zakład.

— Boże mój! Co chcesz uczynić?

— Mam plan, który pozwoli mi zakończyć to haniebne widowisko, a ponadto ugruntuje naszą, nieco zachwianą pozycję. Tłumacz ! Śpiesz się, byś zdążył zanim się zacznie to barbarzyństwo!

Rzeczywiście mało było czasu, gdyż królowa szykowa-ła się dodania sygnału, rozpoczynającego walkę.

Józef szybko podniósł rękę i korzystając z ciszy przedstawił królowej treść słów Portosa. Wywołało to szmer podziwu i pospieszno rozmowy.

— Królowa pyta — powiedział Józef — na czym polega twój zakład?

— Powiedz jej, by pozwoliła rozbroić niewolnika posiadającego broń w lewym ręku i by mu zezwolono trzymać uzbrojone ramię przeciwnika. Ja trzymam zakład, że rozbrojony będzie żył, a jego przeciwnik umrze.

Dziwna propozycja stała się natychmiast powodom okrzyków, z jednej strony niezadowolenia, z drugiej — gorących aplauzów. Wszystko zostało przerwane rozkazującym gestem królowej.

— Ona pyta się, jakie są twoje warunki?

— Żeby ta walka była ostatnią w programie.

— Cóż znowu? Oni się na to nie zgoda! Przecież mó-

wilem ci, że to dopiero początek. Dzisiejsze widowisko jest specjalnie uroczyste, więc muszą dziś zginać, w najbardziej wyszukanych mękach, dziesiątki istot.

— A więc powiedz im, że jeśli wygram zakład mają, zostać przerwane dzisiejsze walki, a wszystkie przeznaczone do nich ofiary mają mi być dane, jako moi prywatni niewolnicy. Poza tym, ty musisz być także moim niewolnikiem. Możesz uzasadnić te moje warunki tym, że chcę robić pewne doświadczenia walk w moim prywatnym apartamencie, lub też torturować ich dla mej osobistej przyjemności. Jeśli chcesz jakoś usprawiedliwiać to mów, że mi nie zależy na ocaleniu tych nieszczęśliwców.

Warunki podane przez Portosa wywołały nowy wybuch niezadowolenia i komentarzy. Całe szatańskie zgromadzenie trzęsło się z oburzenia na bezczelne wejście w grę śmiałego intruza.

Nagle głosy ścieliły i uwaga zebranych zwróciła się na poufną rozmowę prowadzoną między królową i jedną z jej sąsiadek. Ta ostatnia tłumaczyła coś królowej, o coś ją prosiła, a w gestach królowej widać było wahanie i przeczenie.

Wszyscy, z coraz większą ciekawością, obserwowali, chcąc przewidzieć wyniki konferencji. Józef słuchał rozmowy i w pewnym momencie wydał przytłumiony okrzyk, lecz zanim zdążył wytłumaczyć sprawę Portosowi, królowa już przystała na żądania towarzyszki i zaczęła wydawać rozkazy.

— Boże mój! — szeptał Józef — Nie przyjmuj ich warunków! Ona mówi, że zgadza się na twą propozycję, lecz żąda, jeśli przegrasz, byś stał się, dobrowolnym i na zawsze, niewolnikiem — małżonkiem tej czarownicy, która siedzi obok niej. Niech pan się na to nie godzi, błagam! Ten warunek jest, gorszym, niż powolna śmierć. Wierz mi, że to jest straszne! Nie ryzykuj!

Portos zawahał się. Nie wiedział na czym polega niebezpieczeństwo, lecz wzruszyła go rozpacz Józefa. Nie miał

jednak wyjścia, gdyż wiedział, że jeśli się nie zgodzi, stanie się przedmiotem drwin, co z kolei strasznie podważyłoby pozycję zarówno jego, jak i towarzyszków.

— Zgadzam się! — wykrzyknął Portos.

— Ależ panie Portos!!!...

— Możesz mi zaufać, tłumacz spokojnie.

Zakomunikowana szybka odpowiedź krańcowo podnieciła obecnych. Wszyscy zaczęli się jak najwygodniej usadowiać, by móc jak najdokładniej obserwować walkę.

— Ona stawia jeszcze jeden warunek!

— Jaki? — zapytał niespokojnie Portos.

— By pan nie zbliżał się do walczących i nie używał piorunów.

— Dobrze! — zgodził się Portos z wyraźną ulgą.

Na dany znak żołnierze rozbili jedną z ofiar, wytłumaczyli zapaśnikom nowe zasady walki i cofnęli się w milczeniu.

Zabrział gong.

Przeciwnicy natężyli mięśnie z nadzieją zwycięstwa. Aczkolwiek ślepi, starali się odgadnąć wzajemne zamiary. Muskły ich były tak naprężone, że można się było obawiać, by nie pękły ścięgna. Drżeli z wysiłku, by móc skorzystać z momentu i zadać decydujący cios. Uzbrojony Indianin starał się chwycić ramię przeciwnika, a następnie zadać mu cios w piersi. Bezbronny nie mogąc odwrócić korpusu ściągniętego łańcuchem, skoncentrował całą siłę, by przeciwstawić ją zabójczym planom przeciwnika. Ciała ich zaczerwieśniały i zwały się kroplistym potem. Oddechy stały się głuche i przerywane. Mijały minuty, a walka stawała się coraz bardziej namiętna i dzika, gdy nagle jeden z przeciwników zaczął wyraźnie słabnąć. Sztylet uzbrojonego powoli i nieuchronnie zbliżał się do gardła ofiary, by zadać ostateczny cios. Widzowie wpadli w entuzjazm. Już byli pewni zwycięstwa, a z nim poniżenia bezczelnego cudzoziemca.

Portos czekał cudu. Miał nadzieję, że jakaś niewidzial-

na siła pomoże zwyciężyć jego protegowanemu. Niestety, po krótkiej chwili zobaczył że jest to niemożliwe. Czuł, że musi się wmieszać, by ocalić samego siebie. Obejrzał się i stwierdziwszy że nikt na niego nie zwraca uwagi, chwycił bez namysłu Winchester i wypalił. Niedoszły zwycięzca padł z roztrzaskaną czaszką. Powstało zamieszanie, zgiełk, bieganina, krzyki, rozkazy, a jednocześnie zdumienie powodowane nowym wyczynem tajemniczych gości.

Portos stał gotów do odparcia ewentualnego napadu. Józefowi zaś krzyknął:

— Przekonaj ich prędko, że ja wygrałem zakład. Nie zbliżałem się do walczących i nie używałem piorunów.

Józef wskoczył na arenę i zaczął mówić, żywo gestykulując. Starał się, by go słyszano w ogólnym zamieszaniu, pośród którego nikt nikogo nie rozumiał. Gong, uderzany przez samą królową, brzmiał nieustannie, nawołując do spokoju. Wreszcie ucichło na tyle, że Józef mógł wytłumaczyć zgromadzonemu, że Portos zwyciężył.

Udało mu się, gdyż wszystkie spojrzenia, pełne szacunku i trwogi, zwróciły się ku pilotowi.

Królowa, po krótkiej konferencji ze swymi przybocznymi doradcami, ogłosiła wreszcie zwycięstwo Portosa.

Zadowolony z obrotu sprawy zwycięzca, zażądał natychmiastowego odprowadzenia go wraz z towarzyszami do ich apartamentów, gdzie chce jak najprędzej zbadać swych niewolników.

W wyniku żądania Portosa zjawiała się na sali służba, niosąca pięknie udekorowane palankiny, w których umieszczono bardzo wygodnie Dorę i Boba, wciąż pozostających w stanie silnego odurzenia narkotykiem.

— Mój Boże! — zawołał Józef, gdy znaleźli się sami w swym apartamencie — Pan ryzykował wiele. Nawet myśleć nie chcę, co by było, gdyby pan chybił!

— No, ale wszystko dobrze się skończyło — odrzekł Portos. — Wyszliśmy z tej piekielnej sali cali i zdrowi, i więcej o tym nie myślmymy. Martwię się stanem Dory i Bo-



ba, czy...

— Niech pan będzie spokojny! — przerwał Józef — Mam przy sobie wspaniały preparat, przeciwdziałający skutkom nadużycia opium. Jak go zażyją, poczują natychmiastową ulgę, a nazajutrz obudzą się zdrowi i w dobrych humorach. Dam panu nieco tego lekarstwa na wszelki wypadek, a niezależnie od tego, dam panu wspaniały środek nasenny, by mógł pan spokojnie odpocząć po dzisiejszych przeżyciach. Zanim pan jednak zaśnie, chciałbym się dowiedzieć, jak i skąd tu przybyliście. Wiem, żeście przylecieli samolotem i na moczarach ulegli katastrofie, lecz chciałbym wiedzieć kim jesteście i co was zagnało w te, nikomu nieznanne, okolice.

Portos w krótkich słowach opowiedział Józefowi o ich przygodach, poczym obaj zajęli się Dorą i Bobem. Ulokowawszy ich wygodnie do nocnego spoczynku, sami położyli się, zadowoleni, że będą mogli spokojnie spędzić noc.

## ROZDZIAŁ IX

Portos, wyczerpany wypadkami ostatniego wieczora, spał dłużej niż jego przyjaciele, którzy już zdążyli powstawać. Prawdopodobnie pod wpływem zażytego lekarstwa byli pełni spokoju i optymizmu.

Portos otworzył oczy i ujrzał miłą sylwetkę Dory, siedzącą obok jego łóżka i tkliwie patrzącą na niego. I jemu udzielił się ten pogodny nastrój. Krzyżujące się niespodziewanie ich spojrzenia wyjawiały obojgu wiele subtelności, kryjących się w ich sercach. Oboje poczuli się lekko zmieszani.

— Otavio — rzekła na koniec Dora — Józef opowiadał mi o wczorajszych wypadkach. Chciałabym wyrazić ci cały podziw i wdzięczność, jakie czuję, ale wierz mi, że brak mi słów.

— Daj spokój, Doro! — przerwał Portos z pewnym zakłopotaniem, ujmując ją za rękę. — Robiłem to, co było moim obowiązkiem dla naszego dobra. Józef na pewno znacznie przesadził w swym opowiadaniu o wczorajszych przygodach.

— Halo! Dzień dobry! — zwrócił się Portos do Boba i Józefa, którzy pochłonięci rozmową weszli właśnie do pokoju.

— Dzień dobry — mruknął Bob, nie ukrywając nurtującej go zazdrości na widok uśmiechniętej, trzymającej się za rękę pary. -- No Józefie! Co ty za plotki rozsiewasz? — zażartował pilot nie zwracając uwagi na minę Boba — Bądźcie łaskawi zostawić mnie teraz samego! Za chwilę zjawię się ubrany.

Zostawszy sam, rażno wyskoczył z łóżka i zaczął się szybko ubierać. Niedługo, ogolony i odświeżony kąpielą, wszedł do wspólnej sali. Niemal równocześnie niewolnicy

wnieśli śniadanie.

Siedli do stołu i z prawdziwą przyjemnością zaczęli spożywać dania, które przestały wydawać się im dziwnymi.

Portos i Bob nasyciwszy się zapalili papierosy.

— Chcesz zapalić, Józefie? — zapytał Portos.

— Dziękuję. Odzwyczaiłem, się i wolę nie przyzwyczajać się na nowo. Ale — dodał — zapomniałem wam powiedzieć, że królowa rozkazała, bym wam pokazał pałac i okolicę. Możemy iść, kiedy tylko zechcecie. Zobaczycie interesujące i niezwykle rzeczy.

— Mamy na to dość czasu! — rzekł Portos — Przedtym chcielibyśmy, byś nam opowiedział o twym życiu zaznajamiając nas jednocześnie jak najobszerniej ze wszystkim co dotyczy tego miejsca i jego mieszkańców. Mów o wszystkim możliwie drobiazgowo, byśmy znali każdy szczegół, jaki może nam się przydać do ewentualnej ucieczki.

— Dobrze, więc słuchajcie.

— Jak wam już powiedziałem, jestem Brazylijczykiem. W dobrych czasach byłem inżynierem. Żyłem spokojnie i dostatnio w stanie Minas Gerais. Pracowałem w poważnym towarzystwie nafciarskim, gdzie dobrze zarabiałem. W formie nagrody za pewne zasługi położone dla firmy, zostałem wysłany do Stanów Zjednoczonych w celu doskonalenia się w zakresie eksploatacji szybów. Niewątpliwie był to początek świetnej kariery, którego ja nic umiałem wyzyskać. Ze Stanów Zjednoczonych wysłano mnie na praktykę do Ameryki Środkowej i tam miałem okazję poznania całego szeregu poszukiwaczy złota i diamentów. Teraz dopiero, pod wpływem tych ludzi, obudził się we mnie instynkt awanturniczy, który musiał być utajonym rysem mego charakteru. Porzuciłem pracę i łącząc się z grupą poszukiwaczy, pojechałem na Alaskę w poszukiwaniu szczęścia. Po paru latach wróciłem do Brazylii. Zamiast szukać posady, która dałaby mnie odpowiednie dochody, rzuciłem się w nowe awantury. Spaczony awanturniczym

życiem, uważałem, że nie nadaje się do żadnej pracy, w której musiałbym podlegać jakimkolwiek przełożonym. Zebrałem więc grupę podobnych do mnie ludzi i zacząłem eksploatować brazylijskie rzeki od Tibany w Paranie, aż do Purus w Amazonas. Czasami dobrze nam się powodziło, innym razem źle, a czas płynął. W Manaus poznałem się z dwoma poszukiwaczami, którzy wracali właśnie z wyprawy do źródeł Amazonki. Ludzie ci znajdowali się w krańcowej nędzy. W chwilach dobrego humoru opowiadali mi nadzwyczaj interesujące historie o odkryciach bogatych żył złota, których jednak nie mogli eksploatować, gdyż były pilnowane przez jakieś nieznane i potężne plemiona indyjskie. Opowiadali więc o białych Indianach, o zatrutych strzałach, o niedostępnych górach i innych groźnych rzeczach, których ja, niestety, nie brałem na serio. Czułem, że awantury i nieznane wrażenia, jakich oni doznali w swej wędrówce opętały mnie całkowicie. Gdy więc zaczęli zapewniać, że są w stanie zaprowadzić mnie do tych okolic, połączyłem się z nimi i wzięłem na siebie wszystkie koszty, związane z ponowną wyprawą. W ten sposób przybyliśmy do mokradeł, otaczających tę górę. Moi towarzysze wskazali rzeczywiście bardzo bogatą żyłę złota i to stało się naszą tragedią. Wszyscy uczestnicy karawany rzucili się jak szaleni na olbrzymie złomy złota, zapominając o elementarnych zasadach bezpieczeństwa. Na próżno usiłowałem ich przekonać i powstrzymać w celu zorganizowania, na wszelki wypadek, zbrojnego oporu. Gdzie tam! Rzucili broń i dali się opanować gorączce złota do tego stopnia, że już nie było rady. Wtedy właśnie zostaliśmy zaatakowani przez silny oddział niemych Indian, strażników rozległych moczarów, będących najdalej wysuniętymi niewolnikami „Władców Przestrzeni”, którą to nazwę nosi diabelska rasa, panująca nad tymi obszarami.

Józef westchnął głęboko i ciągnął dalej swe opowiadanie.

— Większa część towarzyszków mojej ekspedycji zgi-

nęła od zatrutych strzał, pozostali przy życiu dostali się do niewoli. Przeprowadzono nas tutaj, i... na pierwszym bankiecie, podobnym do wczorajszego, wszyscy moi towarzysze zginęli.

To mówiąc ukrył twarz w dłoniach, przypomniawszy sobie straszną śmierć nieszczęśliwców.

— A jakim, cudem ty się ocaliłeś? — zapytał Portos, odgadując jakby myśli Dory i Doba.

— Ocalenie moje było w praktyce gorsze od śmierci — odrzekł Józef opanowany strasznymi wspomnieniami. — Minęło już pięć lat od tych strasznych chwil... Dziś widzicie we mnie gasnącego starca... A wówczas byłem trzydziestoletnim, odważnym młodzieńcem.

— Ależ ty wyglądasz na...

Józef nie pozwolił Bobowi dokończyć zdania i rzekł:

Tak, chłopcze, mam dopiero 35 lat, ale proszę nic zapominać, że żyłem w piekle. Podczas tego makabrycznego bankietu nie zginęłam, gdyż byłem silniejszy od mych towarzyszków i jako takiego przeznaczono mnie do walki z niewolnikiem, atletą. Znałem doskonale boks, więc z łatwością pokonałem przeciwnika w początkowej fazie walki. Wówczas jedna z tych pięknych, zwyrodniałych kobiet, poprosiła królowej, bym został jej oddany jako kochanek - niewolnik; nawiasem mówiąc była to taka sama propozycja, z jaką pan spotkał się wczoraj. Królowa się zgodziła i ja się zgodziłem, bom myślał jedynie o ocaleniu życia. Nie, wiedziałem naturalnie co mnie czeka. Dziś mogę śmiało powiedzieć, że śmierć byłaby lepszą.

— Dobrze! — zapytał Bob — Ale na czym polegała groza położenia?

— Są to szczegóły, od których włosy jeżą się na głowie — odpowiedział Józef poważnie. — Chciałbym jednak oszczędzić tego opowiadania ze względu na pannę Dorę. Ta kobieta była okrutną sadystką. Kiedy postanowiła się zabawić, to myślałem, że zwariuję. Na szczęście, wypadek pozbawił życia moją dręczycielkę. Byłem wtedy wycieńczo-

ny i niezdolny do walk na bankietach; przeznaczono mnie więc do robót podziemnych, jako dozorcę ślepych niewolników. Żyłem tam przez ostatnie lata jak najnikczemniejszy z niewolników.

— Teraz jednak znalazłeś przyjaciół, którzy cię nie opuszczą — wtrąciła z tkliwością Dora.

— Dziękuję pani. Oby Bóg nam dopomógł do wyjścia stąd! Ale to będzie bardzo trudne.

— To zobaczymy później — przerwał Portos. — Teraz powiedz mi cokolwiek o nich. Żyjąc tyle lat między nimi i rozumiejąc ich język, zapewne zebrałeś wiele interesujących danych. Co oni za jedni? Skąd przybyli?

— Rzeczywiście przez te pięć lat mego tutaj pobytu miałem sposobność zebrać wiele nadzwyczajnych wiadomości o tej rasie, lecz uprzedzam, że wchodzi tu w grę rzeczy, w które trudno uwierzyć. Wszystko to razem jest bardziej podobne do bajek, wymyślonych przez jakiś zboczony umysł, niż do prawdy. Ja sam czasami mam wrażenie, że śnię. W każdym razie opowiem wszystko co wiem. Zanim zacznę, muszę nadmienić, że wszystkie te dane, które podam w opowiadaniu zdobyłem w okresie, gdy byłem małżonkiem - niewolnikiem tej wiedzy. Słyszałem wtedy wiele rozmów, najwięcej jednak wiadomości dostarczyła mi biblioteka, której nie omieszkałem całkowicie poznać.

— Jak to? Więc oni mają bibliotekę? — zawołał Portos.

— I jeszcze jaką! Posiadają wielowiekowe pergaminy, których odczytanie kosztowało mnie bardzo dużo czasu i wysiłków. Jak wynika z tych dokumentów, mniej więcej 1500 lat temu, do tutejszych plaż przybił chiński statek handlowy, płynący w poszukiwaniu pereł na niezliczonych wyspach Pacyfiku. Porwani silną burzą, zbłądzili na oceanie i po długich wysiłkach zdołali dopłynąć do wschodnich brzegów tego kontynentu. Tych, którzy przeżyli katastrofę, odnalezione przezemnie dokumenty, nazywają sześćdziesięcioma synami nieba. Dotarłszy do lądu opuścili statek, zabierając z niego wszystko, co się dało i uformowawszy

karawanę poszli w nieznaną puszcze. W liczbie uratowanych było kilku znawców astronomii, którzy posługując się czymś w rodzaju kompasu, a właściwie osadzoną na ośce igłą magnetyczną skierowali pochód ku południowi...

— Igła magnetyczna?! — przerwał niedowierzająco Portos.

— Jak to? — uśmiechnął się Józef, — Czy pan zapomniał, że busola jest wynalazkiem chińskim? Przecież Chiny w tym czasie posiadały wysoką kulturę i cywilizację. Ale wróćmy do mojej historii!

— Po długiej i uciążliwej podróży obfitującej w walki nie tylko z przyrodą, ale także z dzikimi plemionami indyjskimi przybyli do rozległej doliny, w której zaatakowała ich niespodzianie chmara Indian. Pierwszy atak odparli dzięki rzucaniu wybuchowych rakiet, co było chińską specjalnością, lecz wkrótce Indianie ponowili natarcie, tym razem z daleko większą siłą. Zdawało się, że koniec starcia będzie smutny dla rozbitków, gdy nagle przybyła niespodziewana pomoc w postaci białych rycerzy, którzy zaatakowali Indian z taką furją, że szala zwycięstwa przechyliła się w jednym momencie na ich korzyść. Połączone siły rozbitków i ich przypadkowych wybawców rozpoczęły pościg za dziesiątkowanymi Indianami.

W pościgu tym dotarli do indyjskiej wioski, zdobyli ją, a mieszkańców zamienili w swych niewolników.

Synowie Nieba byli oczarowani odwagą i umiejętnością walki, wykazaną przez tych jasnowłosych, brodatych wielkoludów o niebieskich oczach.

Umocniwszy władzę na zdobytych ziemiach, zorganizowali tam swe życie. Trwało to kilka lat, w czasie których: zacieśniła się przyjaźń między dwoma zwycięskimi grupami. Wkrótce zaczęli się nawzajem rozumieć, dowiedzieli się skąd jedni i drudzy przybyli, można powiedzieć, że zaplanował w tym nowym państwie ład i porządek.

Synowie Nieba byli bez wątpienia bardziej inteligentni i posiadali większą wiedzę, jednak ich wybawcy przewyż-

szali ich zarówno fizycznie, jak pod względem umiejętności walki.

Z tego, co zdołałem ustalić na podstawie dokumentów, biorąc pod uwagę zwyczaje, rodzaj używanej broni itp., mogę przypuszczać, że była to banda awanturników skandynawskich, lecz sąd ten może być mylnym z uwagi na fakt, że dokumenty pisane były przez Synów Nieba, a podstawą ich były ustne opowiadania, jasnowłosych analfabetów. O tych wielkoludach istnieje następujący ustęp w czytanych przeze mnie pergaminach. Postaram się go powtórzyć niemal dosłownie.

— Odbyli oni niezmiernie długą podróż po pokrytych lodem morzach, aż wreszcie dotarli do ziemi, na której panowało przejmujące zimno. Porwani namiętnością do awantur i przygód opłynęli tę nieznaną, zamarzną ziemię i dotarli do okolic, gdzie klimat uległ raptownej zmianie. Znaleźli się w rejonie takiego gorąca, jakiego nie doświadczali nigdy w swoim kraju. Oczarowani, ciągnęli dalej tę fantastyczną podróż wykorzystując jasne, księżycowe noce, a dni spędzając na odpoczynkach, na które zatrzymywali się przeważnie na przybrzeżnych plażach. Minęło wiele zmian księżyca. Przeżyli niezliczone przygody, aż wreszcie znaleźli się na brzegach spokojnych wód, które jak się później okazało, były wodami olbrzymiej rzeki o niowidocznych brzegach. Minęło znów wiele księżycowych nocy, a oni wciąż płynęli pod prąd niekończącej się rzeki. Po pewnym czasie zauważyli, że brzegi coraz bardziej zbliżają się ku sobie.

Tu Józef przerwał, prosząc słuchaczy o wybaczenie, iż w takiej formie opowiada, ale chce być jak najściślejszym w opowiadaniu przeczytanych dokumentów, by słuchacze mogli urobić sobie własną opinię co do pochodzenia tych ludzi.

— Doskonale! — powiedział Portos. — Zdajemy sobie sprawę z tego i prosimy cię, byś w tej samej formie kontynuował. Wniosek, jaki wyciągam z tego opowiadania, da



się następująco streścić:

— Skandynawscy awanturnicy, których potomków świat zna pod nazwą Wikingów, przepłynęli północny Atlantyk i dobili do brzegów Kanady: Popłynęli następnie na południe, aż do Florydy i okrążywszy Antyle dotarli do Ameryki Południowej, gdzie wpłynęli w ujście Amazonki.

--- Tak! — rzekł Józef — Ja w ten sam sposób zrozumiałem te dokumenty. Słuchajcie więc dalej:

— Zauważywszy zwięzanie się koryta rzeki, którym płynęli, popełnili ci awanturnicy błąd, którego konsekwencje, aczkolwiek dostarczyły im wielu fantastycznych przygód, pozbawiły ich w rezultacie możliwości powrotu do rodzinnej ziemi. Otóż dopłynąwszy do dogodnego miejsca postanowili odrestaurować galere, będącą już w dość opkałanym stanie. Przybili do brzegu i przed zabraniem się do pracy zorganizowali wycieczkę w głąb lądu, by poznać tajemniczą okolicę. Wycieczka ta była ich zgubą. Obładowani upolowaną zwierzyną, wracali na galere, lecz niestety zasiali ją zajętą przez Indian, obchodzących na jej pokładzie święto zmarłych, w ich pojęciu, przybyszów. Wywiązała się walka, w której nasi awanturnicy pokonali Indian, lecz niestety w czasie tej walki wybuchł na statku pożar, który go doszczętnie zniszczył. Awanturnicy, zmuszeni koniecznością, udali się z powrotem w puszcze i skierowali się ku rysującym się na widnokręgu góróm. Wtedy właśnie przybyli przypadkowo do miejsca, gdzie toczyła się walka Synów Nieba z Indianami.

— Od tego czasu rozpoczyna się wspólna historia tych dwóch grup, które stały się początkiem rasy Władców Przestrzeni.

— Pokonani przez nich Indianie mieli pewną kulturę, dzięki której stali się po upływie krótkiego czasu, spokojnymi i posłusznymi poddanymi, tym bardziej, że panowie chronili ich od napadów innych, okrutnych Indian górskich, którzy od czasu do czasu napadali na wioski i osady w celu złapania niewolników.

— Od jeńców dowiedzieli się, że na dalekiej górskiej przestrzeni żyje inny, dziwny, potężny szczep rządzący się matriarchalnie. Jakkolwiek nie zdarzyło się, by porwani niewolnicy wrócili do swych rodzin, to jednak krążyły opowiadania o straszliwych historiach, będących losem tych nieszczęśliwców. Władcy Przestrzeni postanowili zbadać tę zagadkę, podnieceni bajkami o fantastycznych bogactwach państwa, pozostającego pod władzą okrutnych kobiet, które miejscowi Indianie nazywali Boginiami Zła.

— Długie lata trwały przygotowania do tej ryzykowniej wyprawy. Przygotowano specjalne maszyny wojenne i formowano, oraz szkolono niezliczone zastępy wojowników, Władcy Przestrzeni stanęli na czele tej doborowej armii. Sami otoczyli się dotychczas nieznanym przepychem, przygotowali przebogate stroje, oraz zorganizowali haremy złożone, z najpiękniejszych dziewczic, wybranych spośród Indianek. Potomkowie tych haremowych dziewczic stanowią dziś tutejszą arystokrację i są bardzo dumni ze swego pochodzenia.

— Ataki, górali na państwo Władców Przestrzeni stawały się coraz rzadsze, gdyż w miarę powiększania się i szkolenia wojska traciły one swą rację bytu z uwagi na niemożliwość zaskoczenia, a z tym beznadziejność zabrania niewolników, na których im najwięcej zależało.

— Boginie Zła, rozgniewane nieudanymi polowaniami swych łowców niewolników, postanowiły osobiście zaatakować państwo Władców, Przestrzeni. Niestety decyzja ta zapadła w okresie, gdy wojska Władców Przestrzeni były już kompletnie gotowe do wyprawy. Wywiązała się wielka bitwa, nazywana w dokumentach bitwą nowej ery. Kobiecte wojska, złożone z najpiękniejszych a zarazem najokrutniejszych niewiast, wspierane przez indyjskich górali, zaatakowały przeciwnika. Walczyły bohatercko, lecz pomimo swych wysiłków nie mogły sprostać z dawna przygotowywanej i zbrojonej potędze. Z bezpardonowej walki ani jedna Bogini Zła nie uszła z życiem. Niewolników nie brano, a zresztą

i one wołały zginąć, niż stać się niewolnicami. Ranne po-  
pełniały samobójstwa.

— Po skończonej walce zwycięzcy podziwiali młode i  
piękne ciała poległych kobiet, przybrane precudnymi  
klejnotami. Cera tych kobiet była alabastrowo biała, figury  
zgrabne, kształtne głowy, o czołach przykrytych falami  
miękkich, kasztanowatych włosów, tylko oczy ich miały  
jakiś zwierzęcy wyraz, tchnęły nieugiętym okrucieństwem,  
które nie zgasło wraz z ich życiem.

Z dokumentów nie mogłem niestety dowiedzieć się ni-  
czego o pochodzeniu tych amazonek, powtarzam więc  
legandy, głoszące, że kobiety te były ostatnimi potomkami  
nieznanej, lecz potężnej rasy, zamieszkującej w zamierz-  
chłych czasach ziemie otoczone zewsząd wodą, które na  
rozkaz Boga *Zła*, po jego zwycięstwie nad Bogiem *Dobra*,  
znikły z powierzchni globu, zalane bezmiarem otaczających  
je wód.

— Czyżby to była Atlantyda? — szepnął zamyślony  
Portos.

— To samo przewijało się i mnie. przez głowę, panie  
Portos. Uważani, że wszystkie hipotezy, nawet najśmielsze,  
są zupełnie możliwe wobec otaczającej nas tajemniczości.

— A później co się stało? — przerwała Dora, niecierpli-  
wie czekająca końca historii.

— Po skończonej bitwie Władcy Przestrzeni uwięzili po-  
zostałych przy życiu górali i zmusili ich do pełnienia obo-  
wiązków przewodników w czasie wyprawy na stolicę Bo-  
giń *Zła*.

Ruszyli z całym wojskiem, posławszy uprzednio kilku  
górali, by zawiadomili swe władczynię o wyniku bitwy, oraz  
powiedzieli iw, że mają się poddać bez zastrzeżeń, nadcią-  
gającym wojskom. Boginie *Zła*, usłyszawszy to, postano-  
wiły wysłać swe ambasadorki, by omówiły one warunki po-  
koju ze zwycięskimi wodzami.

Władcy Przestrzeni, oczarowani nadzwyczajną uroda  
ambasaderek i pociągnięci przepychem ich klejnotów, zgo-

dzili się na ich propozycję, polegającą na połączeniu się z nimi w celu stworzenia jednego potężnego narodu. Ugoda została zawarta i na jej mocy zwycięzcy weszli w te mury.

— Jak to? — zawołał Bob. — Więc w tych czasach istniały już te wieże?

— Tak, panie Bob! To są bardzo stare budowle, których początków nie można określić nawet w przybliżeniu.

Wkraczających do miasta Władców Przestrzeni powitały Boginie Zła i oprowadzając po swym królestwie, pokazały nieprzebrane bogactwa drogich kamieni i niewyczerpane kopalnie złota.

— Chcesz powiedzieć, że tutaj naprawdę istnieją kopalnie złota? — zapytał Bob z wielkim zainteresowaniem.

— Tak, złota jest. tutaj taka ilość, że stało się ono rzeczą, powszednią. Gdyby chcieli, mogliby porobić złote chodniki. Wracając do Władców Przestrzeni, wypada zaznaczyć, że byli oni awanturnikami z przekonaniu. Zachwycali się bogactwami, pociągała ich perspektywa władania nimi, a poza tym, wkroczywszy w obręb państwa kobiet, doszli do wniosku, że dysponują one jeszcze wielką potęgą i zajęcie ich siedziby w drodze walki mogłoby przedstawiać poważne trudności. Nie zwlekając więc przyjęli warunki, co w dokumentach uwiecznione zostało pod nazwą Związku Ras. Na specjalnym zebraniu zapoznano ich z systemami życia społecznego i rodzinnego tych potwornych kobiet. One rządziły, toczyły walki, bawiły się i... żyły. Mężczyźni byli warstwą niewolniczą, umieszczoną w haremach, gdzie podlegali pewnym regulaminom do chwili, gdy któryś z nich wybrany został na krótkotrwałego kochanka którejś z władczyń. Z chwilą, gdy kończyła się, z jakichkolwiek powodów, jego rola, ginął w najwyszukańszych torturach.

— Co za monstrialny naród -- szepnęła. Dora.

— Boginie Zła zaproponowały Władcom Przestrzeni, by od dnia ugody formować nową rasę przez połączenie ich krwi z krwią zwycięzców. Ponieważ po walce „Nowej Ery” liczba pań poważnie się zmniejszyła, ofiarowały one

równy podział władzy nad państwem i jego bogactwami, żądając jedynie, by Władcy Przestrzeni porzucili swe indyjskie kobiety, w zamian za co zobowiązały się pozabijać wszystkich mężczyzn w swych haremach. Umowa została wprowadzona w życie i wytworzona w ten sposób rasa będąca ucieleśnieniem zła mieszkającego w fizycznie harmonijnych i pięknych ciałach rządzi od dziesiątków stuleci w tym nieznanym świecie zakątku.

— Powiedziałem wszystko co wiem, a obecnie, jeśli macie chęć, możemy wybrać się na wycieczkę.

## ROZDZIAŁ X

Mijali długie korytarze, pełne nieoczekiwanych zakrętów, słowem istny labirynt.. Posuwając się naprzód komentowali z wielkim ożywieniem, opowiedzianą przez Józefa historię, zadając mu co chwilę jakieś dodatkowe pytanie.

Józefie — zapytał Portos — w jaki sposób zdołałeś nauczyć się ich języka, a nawet odczytać znalezione dokumenty ?

— W jakim języku i jakim alfabetem są one napisane? — dodała zaciekawiona Dora.

— Rzeczywiście, może się to wydawać czymś bardzo poważnym. Niewątpliwie kto inny nie opanowałby w tak krótkim czasie języka i pisma, ale ja, dzięki moim młodzieńczym zainteresowaniom, nie miałem wielkich trudności. Będąc w gimnazjum, uczyłem się z wielkim zainteresowaniem łaciny i greki. Opanowałem je doskonale. Później, jako akademik, studiowałem z amatorstwa egiptologię, kładąc szczególny nacisk na poznanie hieroglifów. Poza tym, w okresie moich wędrówek po Alasce, los zmusił mnie do spędzenia jednej zimy we wspólnej chacie z dwoma Chińczykami, co umożliwiło mi poznać nieco język chiński, a nawet w pewnym stopniu opanować ich skomplikowane pismo. To wszystko pozwoliło mi stosunkowo szybko uporać się z trudnościami, tym bardziej, że ich dokumenty napisane są egipskimi hieroglifami, wyrażonymi chińskim sposobem.

— Czy jesteś tego pewien, że są to egipskie hieroglify? — zapytał Portos.

— Co do tego nie mam najmniejszej wątpliwości.

— Niemożliwe ! — wykrzyknął Bob — Jaki związek mogła mieć egipska kultura z tą tajemniczą, południowo-amerykańską rasą ?

— Wydaje mi się — rzekł Portos — że tym związkiem jest wspólne pochodzenie.

— Wspólne pochodzenie?! — powtórzył Bob.

— Tak! — potwierdził pilot — Wspólną ich kolebką była Atlantyda.

— Ależ Otavio! — wtrąciła Dora. — Przecież doskonale wiesz, że Atlantyda jest właściwie bajecznym mitem. Do dzisiejszego dnia nie zdołano dowieść prawdziwości tej hipotezy.

— Nie zdołano do dziś znaleźć żadnych dowodów w świecie cywilizowanym — wtrącił Józef. — Tutaj jednak są to dowody, o których pani mówi. Są one wszędzie i w bardzo wielkich ilościach. Niedługo zobaczycie rzeczy, których istnienie może przekonać największych sceptyków. No, ale dotarliśmy już do windy.

Rzeczywiście stanęli przed kończącymi korytarz bardzo solidnie rzeźbionymi, drewnianymi drzwiami. Józef nacisnął guzik i drzwi momentalnie się otworzyły, a równocześnie dał się słyszeć zdaleka odgłos wybuchu. Za chwilę poruszyły się grube sznury zwisające po bokach szybu windy.

— Chce skorzystać z windy — tłumaczył Józef — powoduje się naciśnięciem guzika wybuch tam na dole, który jest dla ślepych niewolników sygnałem nakazującym wprowadzenie jej w ruch. — A oto ona.

Przed samym otworem drzwi ukazała się ciężka platforma, którą już znali, gdyż korzystali z niej w czasie transportu z plaży.

— Niedługo przybędziemy na dno tego piekła. Zobaczycie tam wiele bardzo nieprzyjemnych rzeczy, ale także wiele fantastycznych i oszałamiających.

Winda zatrzymała się. Za chwilę byli już na plaży, oboje znanego im podziemnego jeziora. Nie się tu nie zmieniło. Ta sama plaża, pokryta gęsto kałużami czarnej wody, ta sama bieganina ślepych Albinosów i to samo słabe oświetlenie, rzucane przez pochodnie.

Zwrócili się w kierunku gotowej do drogi galery. Ślepi wiosłarze, z wiosłami w rękach, oczekiwali rozkazu ruszenia. Józef chwycił ster i rozkazał płynąć.

— Upłynie nieco czasu, zanim dopłyniemy do naszego celu, skorzystam więc z tego, by wam nieco opowiedzieć o tych nieszczęśliwych ślepcach. Jeśli chcecie, to opowiem wam także o niemych olbrzymach, których poznaliście na mokradłach.

— Tak, bylimy przez nich uwięzieni — rzekł Portos — ale skąd ty o tym wiesz?

— Oni formują pierwszą linię obronną w tym państwie. Ja z moimi towarzyszami też wpadliśmy w ich ręce. No, ale wracam do opowiadania.

— Po umowie Bogiń Zła z Władcami Przestrzeni dzielni Indianie, którzy zostali przy życiu, zaczęli cierpieć niesamowite prześladowania ze strony szatańskich amazonek. Była to zemsta za wskazanie zwycięzcom drogi do tej twierdzy.

— Na sąsiadujących płaszczyznach, ciągnących się niemal bez końca, żył gatunek olbrzymich małp podzwrotnikowych, nieznanych naszym zoologom. Przypuszczam, że przywędrowały one z tej samej ziemi, z której wywodziły się Boginie Zła. Stada tych zwierząt chodowane są z wielką troskliwością w specjalnym obszarze puszczy. Obdarzone są one większą inteligencją niż szympansy. Są mocniejsze od goryli. Charakterystyczną ich cechą jest ich biała skóra nie pokryta włosami. Boginie Zła kazały uwięzić wszystkie dziewice górskiego plemienia i rzucić je na pastwę tych okropnych zwierząt. Żołnierzom powyrywano języki i wolnych Indian zmieniono w niemych niewolników. Od tego czasu następne pokolenia rodzą się bez języków i służą jako niewolnicy, strażnicy tego rozległego podgórze. Nie mogą się buntować, gdyż ich rodziny służą jako zakładnicy i za najmniejszym objawem buntu strażników ich córki i żony są im odbierane i rzucone na pastwę dzikich małp. Tak więc to plemię, dawniej wolne i dumne, zaczęło



dziczyć, aż doszło do stanu w jakim mieliście możność go oglądać.

— Nie do uwierzenia! — szepnął blady ze wzruszenia Portos spoglądając na drżącą konwulsyjnie Dorę, niezdolną wymówić słowa.

— Co się tyczy ślepych niewolników, którzy pracują w podziemnych grotach, to niestety, bardzo mało wiem o nich. Dokumenty wspominają, jakoby to plemie żyło już w tych podziemiach w okresie, gdy zjawili się tutaj Władcy Przestrzeni. Wszyscy są Albinosami i wszyscy rodzą się ślepcami. Nikt nie troszczy się o ich wygodę sami muszą się starać o pokarm dla siebie. Jedzą pewne rodzaje ślimaków i ryb, których tutaj są wielkie ilości. Ich stałym obowiązkiem jest pompowanie wody, wiosłowanie, oraz podnoszenie i opuszczanie windy. Najmniejsza nieuwaga, lub niedbalstwo, karane są niebywałymi torturami.

Józef przerwał, by dać polecenie stojącemu na brzegu ślepcowi. Natychmiast po otrzymaniu rozkazu niewolnik rzucił rakiety sygnałową. Odpowiedzią była identyczna rakietka, rzucona gdzieś w dali. Józef, szybkim ruchem steru, zwrócił galerę w kierunku tej drugiej rakietki.

— Czy to jezioro jest bardzo duże? — zapytał Portos, śledząc ruchy Józefa.

— Olbrzymie! Przypuszczam, że to jest wewnątrz całego płaskowyzu, natomiast otaczające go moczary są zewnętrzными wylewami tych bezmiernych wód.

— Chcesz przez to powiedzieć, że góra formująca płaskowyz jest zupełnie pusta?

— Właśnie tak jest. Nawet jest pewne miejsce na zboczu skał, które woda tak silnie podmyła, że w obawie o bezpieczeństwo, zmuszeni byli pobudować tamy i zmienić kierunek biegu wody. Tamy te będziecie mogli zobaczyć z bliska, są tuż obok kopalni złota, do której właśnie zdążamy.

— A jeśli żeglarz zgubi się w tym obszarze wód? — zapytał Portos.

— Proszę tu spojrzeć — odpowiedział Józef.

Portos spojrział na dziwny przedmiot umieszczony na tyle statku. Była to przezroczysta, kryształowa kula, napełniona do połowy niebieskawym płynem, którego powierzchnia stanowiła fosforyzujące koło, w środku którego umieszczony był wspaniały, po brzegach szlifowany rubin, rzucający bogate purpurowe blaski. Józef skręcił ster i łódź opisała koło.

— Busola! — zawołał Portos widząc, że niezależnie od pozycji łodzi rubin wskazywał stale ten sam kierunek.

— Tak! odpowiedział Józef, nadając galerze poprzedni kurs — To jest busola magnetyczna z tym, że rubin wskazuje zawsze południe.

Wkrótce galera zbliżyła się do portu, ciągnącego się wgłąb cichych i spokojnych wód jeziora.

Dziesiątki płaskich łodzi, przymocowanych do granitowych bloków, napełniano ładunkiem, noszonym przez niezliczoną ilość robotników, poruszających się bez przerwy tam i z powrotem, niczem mrówki wokół mrowiska. Światło licznych pochodni, porozmieszczanych we wszystkich zakątkach, przenikało wgłąb licznych galerii otwartej góry.

Po chwili przybili do mola i z zainteresowaniem zaczęli przyglądać się pracy. Bob, zaintrygowany błyskiem ładowanego materiału, przybliżył się do jednej z łodzi i wziął dość dużą bryłę kopaliny, by dokładniej ją obejrzeć.

— Nie trać czasu na badanie! — uśmiechnął się Józef pogardliwie — To jest najczystsze złoto.

— Złoto! — zawołał Bob — Złoto! powtórzył jak oszalały biegnąc, by pokazać drogocenną bryłę swym towarzyszom.

Dora i Portos oglądali z zainteresowaniem nieforemną bryłę, która przedstawiała wielki majątek, a Józef stał na uboczu, nie okazując najmniejszego zainteresowania.

— Nie traćcie czasu! — rzekł — Chodźmy.

To mówiąc, zwrócił się ku najbliższej gromadzie, a za nim poszli Dora i Portos.

A wreszcie i Bob zaczął się wlec za nimi, dźwigając z sobą ciężki blok metalu, z którym przez chciwość nie mógł się rozstać.

Weszli wgłąb długiego tunelu, wypełnionego dymem z pochodni, który pomieszany z odorem ciał niewolników, stawał się niemożliwy do wytrzymania.

Nagle zatrzymali się oszołomieni niespodziewanym widokiem. Rozszerzająca się galeria przedstawiała typowy wygląd kopalni węgla, z tą jedynie różnicą, że ściany, zamiast czerni, miały barwę żółto-błyszczącą. Górnicy pracowali nad łamaniem brył złota na przestrzeni całej długości tunelu.

Bob, porzuciwszy dźwiganą dotychczas bryłę, rzucił się z histerycznym krzykiem na masywną złotą ścianę i czepił się jej gorączkowymi ruchami. Wyglądał na opętanego.

Dla Dory i Portosa widok ten był nie mniej sensacyjny, ale panowali nad sobą i pomagali Józefowi uspokoić Boba. Niestety! Zmuszeni byli użyć siły, by oderwać go od cennej ściany, a następnie długo tłumaczyć niewłaściwość takiego zachowania.

Chłopcze! To co widziałeś, to jeszcze drobiazg! — mówił Józef — Takich kopalń są tutaj dziesiątki. Jeśli się nie opamiętasz, to zwariujesz. Nie zapominaj o tym, że jeśli przeniesionoby te kopalnie do cywilizowanego świata, złoto straciłoby swą wartość, było by tańsze od ołowiu. Tu wydobywa się złoto dla pokrywania ścian, do wyrobu mebli, kolumn i innych rzeczy, służących do ozdoby; lecz szpada z brązu jest więcej warta niż cała łódź, załadowana złotem.

— No dobrze! Ale jeśli złoto jest tutaj w takiej pogardzie, to po co ta cała praca w kopalni? Przecież transport jego też musi być uciążliwy! Dlaczego nie używają granitu? — zapytał Portos.

— Dlatego, że złoto, będąc metalem miękkim i stosunkowo łatwo topliwym, jest materiałem łatwiejszym do obróbki, a przytym wygląda ładniej, niż zwykły metal.

Tak rozmawiając, wrócili do portu. Bob uspokoił się, ale wciąż z wielkim zajęciem obserwował ładowane statki.

Chodźmy dalej! — rzekł Józef.

— Jeszcze moment — prosił Portos, obserwujący od pewnego czasu robotników.

— Ci ludzie są według mnie Indianami.

— Ma pan rację. To są Inkasi.

— Inkasi! — powtórzyła zdziwiona Dora, patrząc na te rzędy brązowych, silnych ludzi, przykutych łańcuchami do pasów, wzdłuż których mogli się poruszać, niosąc ładunek i wracając po nowy. Bez wytchnienia nosili olbrzymie bryły złota rzucając, od czasu do czasu, nagle i przejmujące spojrzenia w kierunku zwiedzających.

— Tak, Inkasi! — potwierdził Józef — Lecz chodźmy stąd prędko, gdyż strażnicy już zauważyli nasze zainteresowania się więźniami, a jest rozkaz zabicia każdego, kto usiłowałby wejść w kontakt z tymi nieszczęśliwcami — To mówiąc Józef skierował towarzyszków do galery, a sam spoglądał spod oka na ugrupowanych w groźnej postawie strażników.

— Uciekajmy! — nakłaniał do pośpiechu. — Później będę wam o nich opowiadał.

— Obiecałeś pokazać nam niebezpieczne miejsca tych grot! — zaprotestował Portos.

— Wszystko co tutaj widzisz to jest jedna wielka kopalnia — odrzekł Józef. Wyobraź sobie ogromny ser, cały w dziurach. Setki lat dziurawia, wykuwając wciąż te niekończące się galerie, w miarę postępowania śladem niekończących się, żył złota. Opuszczone galerie nigdy nie są u-macniane, a więc tworzą istną gąbkę z granitu, wśród którego ciągną się żyły złota. Całe fragmenty wyeksploatowanych już kompletnie galerii są poprostu koronkowo przezrocyste. Musicie sobie wyobrazić, jak to jest niebezpieczne.

W dawnych czasach używano, podobno, prochu do wysadzania ścian, ale zarzucono ten system w obawie, że wybuch może być niebezpieczny dla całego płaskowyzu.

Zdaje mi się, że jedna z opuszczonych galerii posiada wielkie zapasy tych, niegdyś używanych, materiałów wybuchowych.

— Wytłumacz nam teraz — prosiła Dora — skąd się wzięli tutaj Inkasi ?

— To znów inna historia tej dziwnej ziemi. Gdy wypłyniemy na powierzchnię zobaczycie sąsiednie płaskowzgórze, zupełnie podobne do tego, które już znacie.

— Głęboka przepaść dzieli te dwie góry, stanowiąc naturalną przeszkodę niemal nie do przebycia. Jest zaledwie jedno wąskie i niebezpieczne przejście ze skały granitowej, której jednak nie można przeniknąć. Przed wiekami ten drugi płaskowyż zamieszkiwali Inkasi. Ziemię tego szczepu, posiadającego dość wysoką kulturę i cywilizację, ciągnęły się ku północy. Pełno tam było porządnie urządzonych osad i wsi. Ten płaskowyż, będący najwyższym miejscem w ich posiadaniu, z różnych względów nie bardzo nadający się do zamieszkania, przeznaczony został na wybudowanie olbrzymiej świątyni ku czci Doga Słońca. Przez długie stulecia władcy sąsiadujących gór żyli w całkowitej separacji, szanując dzielącą ich terytoria granicę. Taki stan utrzymał się aż do okresu, w którym przybyli tutaj Władcy Przestrzeni. Ci ostatni, po zaznajomieniu się z okolicą i przyzwyczajeniu się do nowych warunków, rozpoczęli napady na sąsiadów, którzy dzielnie je odpierali.

— W tym okresie Władcy Przestrzeni mieli jedyną możliwość przeciśnięcia się na sąsiednią górę, właśnie przez to wąskie przejście, o którym wam wspominałem. Przejście to było jednak ufortyfikowane przez samą naturę, a biorąc pod uwagę dzielność i odwagę obrońców, możecie sobie wyobrazić ilość poległych napastników. Mimo tego napady powtarzały się, gdyż wybujała ambicja Władców Przestrzeni nie mogła znieść istnienia wolnego narodu, nie uznającego w swych zuchwalstwie wyższości swego sąsiada.

— Władcy Przestrzeni, widząc bezcelowość tego rodzaju ataków, wpadli na myśl przedłużenia tunelu kopalni złota

aż do końca góry, by w ten sposób dostać się na dno przepaści, wypełnione moczarami. Znając geologiczny skład tych dwóch, jednego pochodzenia gór, byli przekonani, że sąsiednia też jest pełna grot i galerii, którymi będzie można dostać się na wierzchołek.

— Żołnierze Władców Przestrzeni przebyli moczary, a później, po długich poszukiwaniach zdołali znaleźć galerię, która zawiodła ich na szczyt. Znając drogę, przygotowali się odpowiednio i niespodziewanie zaatakowali spokojnych sąsiadów, pałac przy tym świątynię. Inkowie bronili się jak lwy i wreszcie nadludzkim wysiłkiem zdołali wygnać napastników z góry, a w tytanicznych walkach podziemnych zdołali wyrzucić najeźdźców poza błota rozdzielające dwie góry.

Inkasi zniszczyli natychmiast fatalną galerię i od tego czasu brzegi moczarów są wiecznie strzeżone zarówno przez jedną jak i drugą strono. Walki między nimi wciąż trwają i jak widzieliście, pochwyceni niewolnicy traktowani są z wielką surowością. Żle odżywiani, zmuszani do pracy w najokropniejszych warunkach higienicznych, nie wytrzymują długo. Ich ciała rzucają się na moczary, jako żer dla krokodyli. Słyszałem, że obrońcy płaskowzgórza tworzą obecnie osobny szczep. Ci, którzy przeżyli napad, przysięgli w imieniu najdalszych pokoleń, że będą jedynie żyć w celu zemsty. Dlatego właśnie widzicie, tu tyłu żołnierzy, których zadaniem jest zwracanie drobiazgowej uwagi na wszystko. Niezliczone wysiłki zniszczenia tego szczepu okazały się daremnymi. Władcy Przestrzeni są zawsze pełni niepokoju i lękają się nienawiści Inkasów.

Józef, ucichł, a wśród jego towarzyszków zapanowała głęboka zaduma.

— Opowiadasz te rzeczy tak realnie, że czuje się dreszcze słuchając tego wszystkiego — rzekła Dora.

— Słuchając tych opowiadań i patrząc na to, co się wokół nas dzieje — rzekł Portos — mam wrażenie, że my jesteśmy w piekle.

— Boże mój! — załkała Dora, opanowana nagle rozpaczą, — Jakże my będziemy mogli wyjść z tego przekłętą tego miejsca? Co mój biedny ojciec sobie myśli?!

— Odwagi, Doro! — pośpieszył uspokoić ją Portos, otaczając ją delikatnie ramieniem. — Odwagi! Zobaczysz, że wszystko się skończy dobrze i niedługo ujrzysz ojca.

Młoda dziewczyna płakała jak dziecko ukrywszy twarz na piersiach Portosa, a Bob obserwował tę scenę pełen zazdrości.

Józef, zaniepokojony tym niespodziewanym nerwowym wybuchem Dory, przyszedł pilotowi z pomocą:

— Na, miłość Boską! Niech pani uspokoi się. Za chwilę wpłyniemy do portu. Jeśli któryś z Władców zobaczy panią w tym stanie, to będzie nasz koniec. Ja już wam mówiłem, że oni nienawidzą wszelkiej słabości i karają ją torturami i śmiercią.

— Nie bądź głupia! — przerwał brutalnie Bob — Wszyscy możemy cierpieć przez twoje głupie histerie! Przestań nareszcie do diabła!

Strofowana ze wszystkich stron biedna dziewczyna zdołała się opanować i po chwili nieco wymuszony uśmiech zagrościł na mokrej od łez twarzyczce.

— Wybaczcie mi — mówiła, drżącym głosem. — To była dziecinada z mej strony, lecz nie byłam w stanie powstrzymać się.

Zbliżali się do brzegu, a każdy z nieb pochłonięty był swymi myślami.

Portos przeżywał jeszcze chwilę, gdy główka Dory tuliła się z taką ufnością do jego piersi. Dora, zawstydzona, przysięgała sobie w duszy odwagę i opanowanie. Bob nie przestawał myśleć o złocie, a równocześnie, pożerany zazdrością, snuł najperfidniejsze plany zemsty.

Józef bacznie go obserwował, chcąc zrozumieć przyczyny jego groźnych spojrzeń.

Barka zatrzymała się, w porcie. Wysiedli.

Przepowiednia Józefa spełniła się. Na ladzie oczekiwali ich jeden z Władców, który, zauważywszy ich, skierował się natychmiast ku Józefowi i zaczął coś wykrzykiwać mocno podnieconym głosem. Otrzymawszy od Józefa pełną uszanowania odpowiedź, odszedł poważnie, rzucając przejmujące spojrzenie na Dorę.

Gdy zbrodniczy Władca już był daleko, Józef wytłumaczył towarzyszom powód zajścia :

— Byliśmy śledzeni. Mówił mi, że królowa jest niezadowolona z naszego wejścia do wnętrza galerii, a tym samym ze zbliżenia się do Inkasów. Zagroził mi torturami na wypadek powtórzenia się tego przestępstwa.

— Ale skąd oni się o tym dowiedzieli? — zapytała zdziwiona. Dora.

— Istnieją tutaj tuby akustyczne, które przenoszą, głosy na dużą odległość. Niestety nie byłem w stanie zbadać ich i nie bardzo się orientuję gdzie one są i ile ich jest.

— Musimy być w przyszłości bardzo ostrożni i musimy unikać wszystkiego, co ich gniewa — rzekł Portos.

— Ma pan całkowitą rację — przytaknął Józef. — No, a teraz zobaczmy maszynę windy i pompy wodne.

— Ostatnie słowa Józef wypowiedział z wyraźną nutą ironii.

Skierowali się ku niezliczonym otworom, będącym wyłotami grot. Józef nakazał jednemu ze ślepych niewolników wzięcie pochodni. Weszli do wąskiej, źle oświetlonej groty, która pełna była ślepych niewolników, zajętych jednostajną pracą. Między niewolnikami kręciły się uzbrojone w długie baty postacie dozorców. Czerwone pręgi na ciałach niewolników wymownie świadczyły, że dozorczy chętnie korzystają ze swych uprawnień, stosując chłostę za najmniejsze opóźnienie, lub uchybienie w pracy.

Na środku groty znajdowała się olbrzymia studnia pełna wody, a obok niej wznosiła się dziwna instalacja, złożona z dwumetrowej wysokości walca, mającego około



pięćdziesięciu metrów obwodu. Walec ten ustawiony był pionowo i obracał się dokoła swej osi, umocowanej poziomo. Wnętrze jego było wyposażone w wielką ilość beleczek przymocowanych w ten sposób, że tworzyły one coś na podobieństwo szczebli, przylegających całą swą długością do wewnętrznej powierzchni pobocznic walca. Po tych szczebłach maszerowali, jednostajnym krokiem, niewolnicy w liczbie około stu, uformowani w piątki. Ciężarem swych ciał wprawiali w obrót cały walec, odgrywając taką rolę, jaką odgrywała woda, spadająca na koło młyńskie. Cały szereg kół zębatach przenosił uzyskaną w ten sposób energię nad studnię, by wykorzystać ją dla czerpania wody i podnoszenia jej w specjalnych wiadrach, zamocowanych na linach, na szczyt płaskowyżu.

Tego rodzaju maszyn było kilkadziesiąt. Wszystkie wiadra koncentrowały się nad jedną olbrzymią studnią. Dziesiątki niemych niewolników zajętych było stałym napełnianie podsuwających się wiader.

Cała maszyna wykonana była z metalu bardzo podobnego do brązu, a liny splecione były z jakichś bardzo mocnych włókien roślinnych.

— Oto macie pompy wodne! — rzekł z goryczą Józef — Te maszyny podnoszą wodę aż na szczyt płaskowyżu, a ściślej mówiąc, na szczyt wznoszących się tam wież, gdzie znajdują się główne zbiorniki wody. W dalszym ciągu wodą z tych zbiorników przepływa, specjalnymi rurami, do niżej położonych zbiorników pomocniczych, wybudowanych w różnych punktach płaskowyżu, by z kolei być używaną do nawadniania pól. Dla zaspokojenia potrzeb mieszkańców zamczyska, woda spływa bezpośrednio z głównego zbiornika. Takich studni jest tu w podziemiach kilkadziesiąt, a każda z nich zaopatruje w wodę przynajmniej kilkanaście maszyn zupełnie podobnych do tej. Wyjdźmy z tych podziemi, w których wyraz „Nadzieja” wykreślony jest ze słownika i zastąpiony wyrazem „Piekło”.

— Praca Danaid! — zauważył wzruszony Portos —

— Nic przejmujcie się tak bardzo — powiedział Józef widząc przygnębione miny towarzyszków. — Należy pamiętać, że ci nieszczęśliwcy niczemu się nie dziwią, gdyż nigdy nie zaznali innego życia.

— Ta winda — ciągnął dalej Józef — też funkcjonuje kosztem wysiłku niewolników. Konstrukcja jej jest jednak o wiele prostsza od pompy. To mówiąc przeprowadził ich obok oddziału, pracującego przy pompach i podszedł do innego, mającego za zadanie obsługiwanie windy.

Na urządzenie windy składał się olbrzymi bęben zakończony na swych płaskich bokach potężnymi korbami, oraz przymocowana, do niego grubymi linami platforma windy. Liny od bębna biegły ku górze. Ponad najwyższym poziomem, jaki mogła osiągnąć winda, przeciągnięte były prawdopodobnie przez jakieś bloki, a następnie szły ku dołowi, gdzie były zamocowane do dachu windy. Tak więc, w miarę nawijania liny na bęben, winda wędrowała, ku górze, by obniżyć się później przy przeciwnych obrotach bębna z nawiniętą liną. Pracę tę wykonywało sześciu atletycznie zbudowanych, ślepych niewolników.

— A co by się stało, gdyby niewolnicy wypuścili z rąk korby bębna? — zapytała Dora.

— Nic — odpowiedział spokojnie Józef. — Obracające się u góry koła są zabezpieczone specjalnymi automatycznymi urządzeniami, które zapewniają całkowite bezpieczeństwo, ale w takim wypadku drogo zapłaciliby za nieuwagę niewolnicy pracujący przy bębnie.

Weszli do windy, która natychmiast zaczęła się wznosić.

— To jest jedyny szyb, łączący podnóże z wierzchołkiem płaszczyzny — tłumaczył Józef. — Takie zabezpieczenie jest konieczne, wobec grożącego stale niebezpieczeństwa ze strony Inkasów. W razie opanowania przez nich dołu, wystarczy przecięcie lin windy, by dostanie się na górę było niemożliwe. No, ale czas wrócić do naszych apartamentów na odpoczynek! Musicie być zmęczeni i głodni.

Posilimy się i po krótkim odpoczynku pójdziemy na dalsze zwiedzanie szatańskiego królestwa.

— Chciałbym wiedzieć jeszcze jedną rzecz — rzekł Portos, gdy przechodzili wewnętrznym korytarzem wieży.

— Co takiego? — zapytał Józef.

— W jaki sposób wytapiają oni metal, by uzyskać brąz?

— Bardzo proste! Cała ta odlewnia znajduje się na dole. Nie prowadziłem was tam w przekonaniu, że nie ma na co patrzeć. Otóż wykorzystali oni bardzo umiejętnie naturalny, boczny tunel i urządzili w nim piec do topienia metali. Węgla kamiennego jest tutaj pod dostatkiem. Nie brak także potrzebnych metali. Samo stopienie jest więc już zupełnie prostą sprawą.

— Zdaje się — westchnęła Dora — że tu skoncentrowane są wszystkie bogactwa i wszystkie nieszczęścia ludzkie. Z wielkim apetytem posilili się, a następnie wyciągnięci na wygodnych otomanach, odpoczywali, omawiając przeżyte wypadki i dzieląc się wrażeniami doznanymi w czasie wycieczki. Rozmowę ich przerwało wejście, żołnierzy, który zatrzymawszy się koło kotary zaczął coś mówić do Józefa.

— Ten dowódca gwardii i równocześnie dozorca niewolników ocalonych przez pana w czasie biesiady — tłumaczył Józef — chce wiedzieć, co pan ma za rozkazy odnośnie tych nieszczęśliwców.

— Zapytaj go — rzekł po chwilowym namyśle Portos — gdzie oni są.

— Są zamknięci w sąsiednich komnatach do pańskiej dyspozycji — przetłumaczył Józef słowa żołnierza.

— Co byście powiedzieli na to, gdybyśmy poszli zobaczyć tych biedaków?

Wszyscy chętnie przystali na propozycję i za chwilę szli z żołnierzem, którego Józef poinformował o życzeniu Portosa.

Bezpośrednio za pierwszym załamaniem korytarza za-

trzymali się przed masywnymi drzwiami, strzeżonymi przez kilkunastu żołnierzy. Po otwarciu drzwi weszli, w towarzystwie straży, do obszernej sali o granitowych ścianach, zupełnie pozbawionej mebli i źle oświetlonej słabymi błyskami fosforyzującego dymu.

Na kamiennej posadzce leżeli niewolnicy, pochodzący z różnych ras i szczepów, nie należących do tego kraju. Niektórzy z nich spoglądali ciekawie na wchodzących, reszta leżała bez ruchu. Przykry odgłos pobrzękujących kajdan towarzyszył każdemu ich ruchowi.

— Panie Portos, dowódca oddziału pyta się, czy trzeba dać wodę i pożywienie niewolnikom, czy też każe ich pan zaraz pozabijać?

Portos zatrzasnął się z oburzenia.

— Jakto?! Więc ci nieszczęśliwcy zostali tu zamknięci bez żywności?!

— Widzieliście już tyle rzeczy — powiedział Józef — że nic nie powinno was dziwić. Ci ludzie od przedwczoraj nic nie jedli i nie pili.

— A więc rozkazuję, by natychmiast przyniesiono jedzenie! — zawołał w uniesieniu Portos.

Józef tłumaczył coś długo naczelnikowi straży, a następnie rzekł do Portosa:

— Zmieniłem nieco twój rozkaz. Powinien pan opanować swoje uniesienie. Powiedziałem dowódcy, że pan jest rozgniewany, że oni osłabili pańskich niewolników, bo pan chciał porobić doświadczenia nowych tortur, które wyciągają wielkiej wytrzymałości torturowanego. Zaraz przyniosą pożywienie. Teraz będzie im lepiej.

Rzeczywiście za chwilę weszła cała gromada służby niosąc wiadra z wodą i miski pełne jedzenia. Rozdzielili je sprawnie między skazańców, którzy nie spodziewali się już więcej w życiu oglądać pożywienia.

Portos i towarzysze z ciekawością obserwowali te atletyczne, postacie, których twarze i budowa zdradzały olbrzymie różnice pochodzenia, począwszy od niemych pół-

ludzi do metysów włącznie.

Nagle Dora zaczęła nieznacznie wskazywać towarzyszom jednego niewolnika, siedzącego samotnie w kącie sali. Był to Inkas, który udając, że je starał się porozumieć z gośćmi za pomocą wymownych spojrzeń.

— To jest Inkas — rzekł Józef, wskazując coś w innym końcu sali. — On chce się z nami porozumieć. Nie zwracajcie na niego uwagi, by uniknąć podejrzeń straży, która nas obserwuje! Później znajdziemy sposób porozumienia się z nim.

— Ale co my zrobimy z tymi niewolnikami? — spytała Dora.

— Pomyślmy nad tym — odrzekł Józef. — Nie możemy ich puścić wolno, bo to obraziło by Władców Przestrzeni, którzy przekonani są, że będziemy ich torturować. Wszystko dobrze, ale musimy starać się nawiązać porozumienie z Inkasem.

— Mam myśl! — powiedział nagle Portos — Wybierzmy parę ofiar, by zrobić pewne doświadczenia. Najlepiej samych ślepych niewolników, a między nimi, niby przypadkowo, umieścimy Inkasa. Pozostałych polecimy odprowadzić do jakiegoś kolwiek innego więzienia.

— Bardzo dobrze! — przyznała Dora — Przekonana jestem, że będą tam dobrze odżywiani w oczekiwaniu na mające ich czekać tortury.

— Faktycznie! — rzekł Józef — Myśl jest dobra i całkowicie Wykonalna. Niczego się nie domyślą. Próbujmy!

Józef zwrócił się do dowódcy straży i wytłumaczył mu rozkaz Portosa. Oficer, niczego nie podejrzewając, zgodził się natychmiast na wykonanie polecenia. Pięć wybranych ofiar związano silnie postronkami i odrzucono w odległy kąt sali. Pozostałych wyprowadzono z komnaty.

Przed odejściem, dowódca powiedział Józefowi, że istnieje inna komunikacja między więzieniem, a zajmowanymi przez nich apartamentami.

— Ukryte drzwi otwierają się z boku naszego pokoju

— tłumaczył Józef. — Oficer proponuje, byśmy z nim poszli, a on pokaże nam sposób dostania się do więzienia z naszych pokojów.

Dowódca zatarasował starannie drzwi więzienia i udał się z naszymi towarzyszami do ich pokojów. Wszedłszy do środka skierował się ku łazience, gdzie nacisnął jakiś ukryty guzik, zwalniając jakąś sprężynę. Woda z szumem zaczęła uciekać z basenu, a gdy uszła całkowicie, usunął się granitowy blok, pozostawiając otwarte przejście do sali więziennej.

Gdy Portos nauczył się manewrować odpowiednią sprężyną dla otwarcia przejścia, oficer oddalił się, składając przed tym sprężysty ukłon.

Po wyjściu oficera wszyscy przeszli do sali więziennej i skierowali się ku inkasowi; powstrzymała ich jednak trwaga Józefa:

— Ostrożnie! Możemy być obserwowani z jakiegoś punktu. Chodźmy spokojnie i nie okazujmy żadnego zainteresowania i pośpiechu. Panie Bob, niech pan pozostanie przy sekretnym wejściu do naszego apartamentu i uważa, czy ktoś niespodziewanie tam nie wejdzie, a ja postaram się porozumieć z Inkasem. Wy nie okazujcie zainteresowania.

Inkas spojrział na białych ludzi, lecz szybko spuścił oczy widząc, że oni zaczęli obserwować pozostałych niewolników.

Józef szukał sposobów porozumienia się z Inkasem. W miejscowym narzeczu nie chciał mówić w obawie, by nie być podsłuchanym przez ewentualnych szpiegów. Niepewność jego przerwał sam Inkas, rzucając łamaną hiszpańszczyzną pytanie:

— Czy umiecie mówić po hiszpańsku?

Wszyscy troje zadrżeli z emocji.

— Mówisz po hiszpańsku? — zapytał Portos, znający doskonale ten język na równi z Józefem.

— Tak. Jestem synem, naczelnika Inkasów. Podróżo-

wałem i znam dobrze białych ludzi. Ja jestem waszym przyjacielem. Czy wy też jesteście w niewoli?

— Tak! — rzekł Portos — Jesteśmy zabląkanymi, których wzięto do niewoli. Jesteś wśród przyjaciół.

— Nazywam się Quipelt i wy mnie tak nazywajcie. Quipelt zna różne tajemnice, pomoże wam w ucieczce i zemście.

— Udaliśmy, żeśmy wybrali cię jako ofiarę przeznaczoną do tortur po to, byśmy mogli porozumieć się z tobą — zaczął tłumaczyć Józef.

— Quipelt wie o tym. Quipelt rozumie język Władców Przestrzeni, nauczył się go od niewolników.

— Dobrze, więc zostawimy cię tak jak jesteś, a w nocy wrócimy, by z tobą porozmawiać. Teraz grozi nam niebezpieczeństwo, jeśli dłużej z tobą pozostaniemy.

Zostawili niewolników, wycofali się z więzienia, zamknęli sekretne drzwi i dopiero teraz dali upust przepelniającemu ich uniesieniu.

— Za wszelką cenę musimy ocalić tego Indianina — rzekł Portos. — On jest jednym z bardzo ważnych punktów w łańcuchu prowadzącym do naszego ocalenia.

Bob, pilnujący drzwi, nie słyszał w ogóle rozmowy swych towarzyszków z Inkasem. Chciał się czegoś dowiedzieć, ale niestety wszyscy zaczęli tłumaczyć mu jednocześnie i przerywali jeden drugiemu. Ody wreszcie uspokoili się i chcieli mu wszystko opowiedzieć, zjawił się przysłany przez królową żołnierz z zaproszeniem, by zechcieli uczestniczyć przy odżywianiu świętych, białych małp.

Józef, przetłumaczywszy słowa żołnierza, wyjaśniał:

— To zaproszenie jest wielką łaską i uprzejmością ze strony królowej. Tylko Władcy Przestrzeni mogą korzystać z tego przywileju. Zawsze pragnąłem zobaczyć z bliska te monstrualne bestie, o których słyszałem tyle fantastycznych opowiadań.

— Czy znów się nie spotkamy z jakimiś wstrząsającymi scenami? — zapytał Portos powodowany obawą o Dorę.

— Wiem co pana niepokoi, panie Portos. Niech pan będzie spokojny. Ofiary z niewolników składane są tylko raz do roku, w oznaczonym dniu.

Uspokojeni słowami Józefa przyjęli zaproszenie królowej i niezadługo ruszyli na uroczystość.

Portos, przechodząc przez długie korytarze, zwrócił uwagę na panujący w nich mały ruch i zapytał Józefa o powód.

— Bardzo proste. Na pierwszy rzut oka wydaje się to dziwnym ze względu na, duże zadudnienie wież. Wszystkie sale i oddzielne apartamenty połączone są między sobą. Tę wieżę zamieszkują jedynie Władcy Przestrzeni. W następnych dwóch mieszkają, wojskowi, a ostatnią zajmują niewolnicy. Ta ostatnia wieża ma pomieszczenia przeznaczone na piwnice, rzeźnię, pralnie, kuchnie, słowem wszystko, co potrzebne jest dla tego miasta. Jest ona jedyną wieżą, posiadającą wyjście na płaszczyznę i dlatego korytarze są prawie puste. Władcy Przestrzeni chodzą wewnętrznymi przejściami, a ponadto mają osobiste windy, wobec czego nie potrzebują korzystać z korytarzy, które służą małym grupom służby i rzadkim patrolom strażników.

Przewodnik zatrzymał się przed długim szeregiem drzwi i unosząc na jednych z nich kotarę zaprosił ich gestem do wejścia.

Znaleźli się w ogromnej sali, udekorowanej zupełnie inaczej niż wszystkie widziane dotychczas. Po środku urządzona była wspaniała fontanna, z której artystycznym wachlarzem wytryskała zabarwiona woda. Wokół fontanny porozmieszczane były jakieś dziwne kwiaty, tworząc aspekt pięknego ogrodu. Władcy spoczywali na miękkich otomanach, prowadząc z sobą przyciszono rozmowy, a służba, poruszająca się bezszelestnie, roznosiła im wino i podawała opium.

Goście minęli ten zaimprovizowany ogród, przeprowadzani bezwyrazistymi spojrzeniami spoczywających Władców. Mała winda uniosła ich na wyższe piętro, gdzie mija-



li znów pewną liczbę sal, podobnych do pierwszej. Wreszcie zbliżyli się do zasłony, która rozsunała się na dźwięk gongu, uderzonego przez żołnierza przewodnika. Żołnierz wpuścił ich do środka, a sam zatrzymał się w pewnym oddaleniu z wyraźnymi oznakami lęku i szacunku.

Teraz znaleźli się w całkiem odmiennej sali. Była bardzo wysoka. Ściany miała przybrane białym jedwabiem, który w bogatych fałdach spływał do samej podłogi. W głębi wznosił się olbrzymi ołtarz, a na nim ustawiona była statua monstrualnego bożka, wykuta w szczerym złocie. Kształty tej dziwacznej figury bardziej przypominały małpę, niż człowieka.

Przed ołtarzem stała natchniona, nieruchoma królowa, otoczona grupą dygnitarzy obojga płci. Wydawało się, że hipnotyzuje otoczenie swą nadludzką pięknnością.

Nasi goście stanęli niezdecydowani przy wejściu. Królowa zaczęła coś mówić. W miarę jej słów coraz większy niepokój odmalowywał się na twarzy Józefa. Gdy wreszcie skończyła, Józef skłonił się głęboko i z udaną obojętnością zaczął tłumaczyć jej słowa:

— Ona proponuje wam bardzo poważną rzecz. Naturalnie nie mogłem tego przewidzieć, gdyż nigdy tu nie byłem i nie wyobrażałem sobie nawet, jak wyglądają ich ceremonie. Postarajcie się ukryć objawy waszego uczucia, gdy wam powiem o co chodzi. Jesteśmy wewnątrz świątyni Bogini Zła. Przed nami, na ołtarzu, wznosi się najważniejszy symbol ich religii. Jesteście zaproszeni w celu poznania żywych wcieleń tego boga w postaci białych małp. Królowa oświadczyła, że Wielka Rada doszła do przekonania, że wy jesteście rasą wyższą od Władców Przestrzeni i z tego powodu ofiarowuje wam najwyższą godność w postaci przynależności do tego kraju. Chce byćście żyli z nimi przez okres sześciu miesięcy, łącząc swą krew z krwią Bogiń Zła. Będziecie najwyższymi dostojnikami w państwie i będziecie korzystać z uprawnień i honorów, przysługujących tej pozycji. Po upływie tego czasu będziecie mogli

powrócić do waszego kraju, lub pozostać tutaj, zależnie od waszej woli. Odpowiedzi nie potrzeba dawać natychmiast. Macie na to trzy dni, w czasie których każde z was spędzi jedną noc w towarzystwie najwyższego kapłana, który pokaże wam bogactwa, jakie osiągniecie zgadzając się na, te warunki. Podczas tych wizyt u kapłana nie potrzebujecie tłumacza, gdyż on mówi wszystkimi językami. Pan Bob jest wybrany jako pierwsza osoba, mająca spędzić noc w tej oto świątyni.

— Ja?! — wykrzyknął Bob, blednąc z przerażenia.

— Spokojnie! — rzekł Józef — Wydaje mi się, że przed upływem tych trzech dni nie grozi nikomu żadne niebezpieczeństwo. Ja osobiście bardzo chciałbym poznać tego kapłana, o którego istnieniu nie wiedziałem.

— A jeżeli nie przyjmiemy propozycji? — zapytał Portos.

— Tego nie wiem. O tym królowa nic nie mówiła. Odpowiedź musi być dana czwartego dnia, to znaczy wtedy, gdy panna Dora skończy nocną konferencję z kapłanem. Uprzedzam was, że istnieje jeszcze jedna ceremonia, której nie możecie uniknąć, ale macie jeszcze trzy dni czasu, by wyjść z tego piekła. Teraz trzeba dać odpowiedź królowej. Bowiem jej w waszym imieniu, że bardzo dziękujecie jej za tak zaszczytną propozycję i chcecie poddać się doświadczeniom. Innego lekarstwa na to wszystko ja nie widzę.

Józef zwrócił się do królowej i z głębokim ukłonem zawiadomił ją o rzekomej odpowiedzi towarzyszków.

Królowa przyjęła odpowiedź bardzo poważnie, z pochyloną głową, a następnie zwróciła się ku ołtarzowi i podniosła ramiona. Bo paru chwilach zbliżyła się do ołtarza, przy którym, z boku ukryty był gong. Natychmiast ściemniło się i w panującym półcieniu rozchyliły się kotary, odsłaniając olbrzymią klatkę, okutą metalowymi sztabami. Rozległ się okropny ryk, który zagłuszył okrzyk przerażenia Bory.

W klatce zamknięte było olbrzymie zwierzę, sięgające trzech metrów wysokości. Na pierwszy rzut oka sprawiało wrażenie białego człowieka — olbrzyma, lecz wrażenie to nikło wobec nieproporcjonalności członków, przypominających małpę.

Nogi zwierzęcia były długie i silne, mniej więcej proporcjonalne do korpusu, stopy zupełnie ludzkie, lecz ramiona o olbrzymich mięśniach były tak długie, że palce sięgały ziemi. Głowa, jak zwykle u małp, była nieproporcjonalnie mała i osadzona wprost na ramionach, zupełnie bez szyi. Pysk tej bestii był najohydniejszy. Przypominał żywo ludzką twarz, ale jakąś dziwną, pomarszczoną, o wielkiej paszczy i silnie wywiniętych wargach, wykrzywionych jakimś piekielnym uśmiechem. Zza tych warg wychylały się długie, ostre zęby. Małe czerwone oczy błyszczały nieprzyjemnie, wyrażając jakąś niesamowitą przebiegłość i spryt do zła. Biała skóra pozbawiona była całkowicie owłosienia. Kończyny zaopatrzone były groźnymi, potężnymi szponami.

Na ryk tej małpy powychodziły z głębi wspaniale przystrojonych przegród klatki inne zwierzęta tego samego gatunku, by zgromadzić się przy kracie w oczekiwaniu na żer.

Władcy Przestrzeni upadli z najwyższym uszanowaniem na twarze przed tymi potworami, a następnie podnieśli się, by skierować się do bocznej części ołtarza, skąd zaczęli wyciągać olbrzymie kawały mięsa, które na długich, złotych żerdziach podawali zwierzętom. To, chwytając jeszcze mięso i szły z nim w głąb klatki. Niektóre w swej żarłoczności porywały wraz z mięsem złote pręty, a rozłoszczone gięły je, łamały i rzucały nimi w kraty klatki.

Po zakończonym karmieniu opadła jedwabna zasłona i silne światło zalało znów świątynię. Władcy Przesetrzeni zajęli swe dawne miejsca przy ołtarzu, a goście usiłowali odzyskać spokój po doznanych przeżyciach.

Po chwili odezwała się królowa i Józef zaczął natych-

miast tłumaczyć jej słowa.

— Mówi, że dostąpiliście najwyższego honoru, jakim jest możność oglądania tych żywych bóstw. Obecnie możemy się oddalić z wyjątkiem pana Boba, który będzie przedstawiony najwyższemu kapłanowi.

Widząc niezdecydowanie Boba Józef dodał:

— Nie wahaj się! Nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Jeśli będziesz opierał się ze strachu, lub w ogóle okażesz obawę, zginiesz. Dobrze wiesz jak oni odnoszą się do słabych. Odwagi, chłopcze! Jutro przyniesiesz nam wiadomości, które nas wszystkich będą mocno interesowały!

Towarzysze pożegnali podtrzymanego na duchu Boba i skierowali się do wyjścia.

Ten sam żołnierz odprowadził, ich do apartamentów.

Józef okazywał wyraźne zakłopotanie.

— Przyznaję, że jestem przygnębiony — powiedział gdy weszli do swych pokojów. — Nie przewidywałem tej całej historii.

— Toś ty nic nie wiedział o ich ceremoniach?

— W pismach, które przeglądałem, nie znalazłem nic o tych sprawach, a oni nigdy nic nie mówili o religii. Świątynię widziałem dziś pierwszy raz.

— To jest dzika i wstrętna religia — zaopiniowała Dora odczuwająca jeszcze dreszcze na wspomnienie tych ohydnych małp. — Przecież ona przeczy całkowicie kulturze jaką oni posiadają.

— Przecież ich strona moralna jest też monstrualna — zauważył Portos. — Rozwinęli się jedynie materialnie. Kult ich musi być zabytkiem bardzo odległych czasów, a te małpy są prawdopodobnie ostatnimi okazami jakiegoś przedhistorycznego gatunku, którego istnienie łoży poza zakresem wiedzy naszych zoologów.

— No, dopiero mieliby tutaj używanie ci mędracy! — zadrwił Józef — Ale jeśli uda nam się stąd zwać to nasza nauka zyska dużo z faktów, zebranych przez nas. Jeśli zdołamy odczytać rękopisy, powstałe przed epoką zmian

rasowych, to świat przeżyje pewną rewolucję pojęć prehistorycznych dziejach.

— Ale czyś nie mówił, że zdołałeś odcyfrować te dokumenty ?

— Tak, zdołałem, ale tylko aktualne i stare, pochodzące od chińskich kupców; jeśli natomiast chodzi o dokumenty, mówiące o pochodzeniu Bogiń Zła, to ich nie rozumieją nawet oni.

— My tak tutaj gawędzimy, a tymczasem Bobowi może grozić jakieś niebezpieczeństwo — zauważyła Dora. — Czy on tam czasem nie cierpi ?

— Jestem przekonany, że nic — upewniał Józef.

— Mnie się też wydaje, że tymczasem nie ma żadnego niebezpieczeństwa — dodał Portos. — Dowie się jakie są intencje arcykapłana, możliwe nawet, że znajdzie jakiś sposób na wydostanie się z tej pułapki.

— Słuchajcie! — wtrąciła Dora — Po upływie danego nam terminu powiedzmy, że nic nie możemy postanowić bez zgody naszego narodu. Przecież ty, Otavio, mówiłeś im, że posiadamy aparat, za pomocą którego możemy się komunikować z naszym królem.

— Prawda, Doro? To jest doskonały wybieg, który powinien dać rezultat. Będziemy mogli zwlekać kilka dni z odpowiedzią i w tym czasie szukać sposobu wyrwania się stąd. Jak ci się wydaje, Józefie? Hej! O czym ty myślisz?

— Hm, Oh! Przepraszam. Myślałem o tym arcykapłanie. To dziwne, że ja nigdy o nim nie słyszałem. No. ale jutro, po powrocie Boba, wszystkiego się dowiemy. Może porozmawialibyśmy teraz z Inkasem?

— Prawda! — przypomniała sobie Dora.

— Przypuszczam, że teraz możemy to zrobić bez najmniejszej obawy — ciągnął dalej Józef. — Po tym co się stało dzisiaj w świątyni obserwacja ich na pewno znacznie osłabła. Poczekajcie w łazience, a ja przyprowadzę Inkasa.

Wszedł do więzienia, a towarzysze pozostali oczekując jego powrotu. Zamiast tego usłyszeli po chwili głos Jó-

zefa, wzywający Portosa do więzienia.

Portos, nic zwlekając, wszedł do celi i zbliżył się do grupy więźniów, poczym spojrzał we wskazanym przez Józefa kierunku. Teraz dopiero spostrzegł, że jeden z więźniów leżał martwy.

— Wezwałem pana, gdyż chciałem panie Dorze zaoszczędzić tego widoku. Inkas mówi, że więzień zmarł z powodu złego traktowania go w poprzednim więzieniu. Przyszło mi na myśl, że należy wykorzystać ten wypadek. Ten zmarły biedak powinien się nam jeszcze przysłużyć.

— Co przez to myślisz?

— Wytłumaczę to po hiszpańsku, by Inkas także rozumiał, ale przed tym musimy go rozwiązać, żeby się niepotrzebnie nie męczył.

Portos zdejmował Inkasowi kajdany, a Józef zaznajał ich ze swym planem :

— To, co wam proponuję, nie należy do przyjemności, ale według mnie jest to konieczność. Królowa i jej otoczenie są przekonani, że pan zażądał wydania mu niewolników, by móc przeprowadzać na nich próby nowych tortur. Od wczoraj łamałem sobie głowę, jak zdołamy utrzymać ich w tym przekonaniu. Obecnie los przyszedł nam z pomocą. Ten nieszczęśliwiec leży martwy... Pewne ślady porobione na jego trupie przez Inkasa pozwolą nam utrzymać Władców Przestrzeni w ich przeświadczeniu.

Józef mówił to wszystko z wyraźnymi oznakami zdemotywowania, wzburzenia i wstrętu, jakie przepełniały jego prawą duszę. Inkas słuchał spokojnie, wpatrzony w twarz Portosa, na której malowała się wewnętrzna walka, wreszcie rzekł:

— Quipelt porobi znaki wielkiego bólu. Pozostałych Indian zwolnijcie.

— Widzę, że nie ma innej rady — rzekł Portos, a zwracając się do Inkasa dodał: — Pośpiesz się, a później rozwiąż postronki na pozostałych niewolnikach.

Będziemy czekać na ciebie tam — rzekł wskazując na

przejście do ich mieszkania.

Gdy wychodzili, Józef podał Inkasowi nóż.

Dora oczekiwała ich z niecierpliwością, zaniepokojona ich długą nieobecnością.

Portos powiedział jej o śmierci niewolnika, oraz o uwolnieniu z więzów Inkasa, który obecnie rozwiązuje pozostałych niewolników. O wprowadzeniu w czyn planu Józefa naturalnie nie wspomniał.

Za chwilę w tajemniczym przejściu zjawiała się rosła postać Indianina. Zbliżył się lekkimi krokami, głęboko skłonił się Dorze i stanął nieruchomo, jakby w oczekiwaniu rozkazów. Nóż Józefa zatknięty miał z tyłu pasa, podtrzymującego jego tunikę.

— Jakie jest twoje imię? — zapytała Dora dość poprawną hiszpańszczyzną.

— Quipelt.

— Jesteś synem naczelnika Inkasów?

— Tak pani.

— Dostałeś się do niewoli walcząc z wojskiem Władców.

— Nie! Quipelt znalazł wejście ukryte i szukał groty, która kryje proch, kruszący kamienie. Quipelt tam został uwięziony — to mówiąc uskazał ręką na dół.

— Hm. Wzięli cię za szpiega, — domyślał się Józef. — Chciałeś znaleźć galerię w której nagromadzony jest proch?

— Tak. Quipelt znalazł grootę z prochem i szukał ognia, by go zapalić. Wtedy złapali Quipelta.

— Jalcto?! — zawołał Portos — Chciałeś zapalić proch? Czy nie wiedziałeś o tym, że sam byś pierwszy zginął?

Indianin dumnie się wyprostował i rzekł:

— Tak. Quipelt by umarł, ale nieprzyjaciele też by zmarli. Naród Quipelta żyłby wolny i szczęśliwy.

— Przecież to jest bohater! — zawołała Dora — Chciał poświęcić życie, by zniszczyć odwiecznego wroga swego narodu.

— Kto powiedział ci gdzie się znajduje magazyn prochu? — zapytał Józef.

— Żołnierze Władców Przestrzeni, których bracia Quipelta wzięli do niewoli.

— A jak znalazłeś wejście do tej groty? — indagował dalej Józef.

— Quipelt szedł moczarami. Szedł długo. Raz gonili go żołnierze, ale Quipelt uciekł, bo znalazł rzekę, która płynęła z góry. Tą rzeką Quipelt uciekł i wybrnął z jeziora.

— Czy potrafiłbyś znaleźć to przejście?

— Tak. Quipelt potrafi.

--- To jest cudowna wiadomość — ucieszył się Józef — to wyjście nie jest znane Władcom Przestrzeni. Pa nam ono możliwość spróbowania ucieczki. Teraz jest bardzo ważne, byśmy się nie rozłączali z Quipeltem.

— Myślałem o tym — rzekł Portos — i zdaje mi się, że znalazłem sposób. Cała trudność polega na tym, by Quipelt nie był poznany. Jeśli, przez nieuwagę straży, udało mu się udawać niemego niewolnika, to jestem przekonany, że nie uniknąłby śmierci, gdyby rozpoznano go obecnie. Takiemu wrogowi jak on nie darują życia. Moja myśl polega na tym, że ty, Józefie, powiesz jutro naczelnikowi gwardii, że tymczasowo przerywamy nasze eksperymenty i, że ma on zaprowadzić pozostałych więźniów do więzienia, w którym przebywają zabrani poprzednio. Tam mają pozostać do naszej dyspozycji. Mają być dobrze traktowani i karmieni, żeby zachowali siły. Powiesz mu także, że jednego z nich zatrzymujemy do swych posług osobistych i wytłumaszyc, że w naszym kraju istnieje zwyczaj, zabraniający niewolnikowi pokazywać komukolwiek, nawet własnemu panu, swe ciało. Dlatego więc nasz niewolnik będzie chodził zakryty od stóp po czubek głowy.

— Cudownie, Otavio! — zawołała Dora.

— Doskonały projekt! — chwalił rozweselony Józef

— W ten sposób będziemy mogli chodzić razem. Czyś zrozumiał wszystko, Quipelt?



— Tak. Quipelt będzie zakrytym służącym.

— A więc kwestia załatwiona. Nie potrzebujesz wracać do więzienia — zakończyła Dora. — Będziesz spał tu, w ogólnej sali. Ten kawałek jedwabiu, którym pokryta jest otomana, posłuży jutro do przybrania cię. Zrobi się tylko otwory na oczy i gotowe.

— Nie bardzo, panno Doro — zaśmiał się Józef. -- Trzeba jeszcze zrobić otwór na usta, gdyż nie możemy pozwolić, by się nasz przyjaciel udusił. Dobrze! Teraz zamknę sekretne przejście i pójdziemy spać. Śpiąc, nie będziemy się niecierpliwic z powodu nieobecności pana Doba.

## ROZDZIAŁ XII

Na drugi dzień rano Dora, wychodząc ze swej sypialni, zobaczyła Portosa przygotowującego przebranie dla Quipelta. Zaśmiała się, widząc jak biedak męczył się, niezręcznie operując igłą i nożyczkami.

— Zostaw to, Otavio. Za chwilę wrócę i pokażę ci jaka to łatwa robota.

— Och! Dziękuję ci — odrzekł Fortos. — Słowo daję, że dotychczas myślałem, że szycie jest najłatwiejszą sztuką w świecie.

— Rozciągnij na podłodze te żalosne resztki przykrycia. Zobaczę, czy uda się zrobić coś z tego, co tak genialnie pocięłeś nożyczkami..

Portos posłusznie wykonywał polecenie, gdy tymczasem młoda dziewczyna znikła w łazience. Za chwilę wróciła w szlafroczku, świeża i lekka po wspaniałej, porannej kąpieli. Zabrała się natychmiast do pracy, by jak najszybciej przygotować ubranie dla nowego służącego.

— Przebacz mi Doro, lecz nie chcąc tracić czasu dobrałem się do twojej walizeczki i wyjęłam stamtąd nożyczki, nici i igłę.

— Patrzcie państwo, tyle przestępstw popełnił i w dodatku, o mały włos, nie pozbawił nas możliwości przebrania Quipelta. Dobrze, tym razem wybaczam, ale na przyszłość nie wtrącaj się do rzeczy, które do ciebie nie należą.

— Przysięgam! Wasza Wysokość, że nigdy więcej nie popełnię takiej zbrodni — żartował Portos, szczęśliwy, że widzi ją wesolą. — W najmniejszych drobiazgach będę się ciebie radził, gdyż teraz, bardziej niż kiedykolwiek, nie chcę ci się sprzeciwiać, licząc na to, że przyjąwszy grzeczne zaproszenie tego ludu, za dwa dni zostaniesz wspania-

łą królową i swą pozycją podniesiesz moją pokorną osobę.

Dora, usłyszawszy ostatni żart spochmurniała i odpowiedziała poważnie:

— Nie żartuj w ten sposób, Otavio. My tu się śmiejemy i zapominamy o Bobie. Jaką okropną noc musiał on tam spędzić? . . .

— Cóż znowu! Jestem przekonany, że nic złego mu się nie stało. Odwagi, Doro! Teraz poza pomocą dzielnego Józefa mamy Quipelta. Możesz być pewna, że nasza ucieczka jest kwestią najbliższych dni.

— Oby cię Bóg wysłuchał, Otavio.

Dziewczyna skończyła pracę i przymierzyła na Inkasie skombinowany strój. Okryty całkowicie ciemnym jedwabiem, wyglądał teraz jak karnawałowa maska.

Przegląd dał zadawalający wynik, gdyż przy wszelkich wykonywanych ruchach nie widać było nigdzie brązowej cery, która mogłaby łatwo zdradzić jego pochodzenie.

— Ozy dobrze widzisz, Quipelt? — zapytała Dora.

— Tak.

— Nie zapomnij, że jesteś niemy m niewolnikiem — ostrzegwał go Portos.

— Tak, Quipelt będzie na wszystko patrzył, a mówić będzie bardzo cicho wtedy, gdy nieprzyjaciel będzie daleko.

— Bardzo dobrze — pochwaliła go Dora. — Ale, gdzie jest Józef?

— Wyszedł, by wytłumaczyć dowódcy straży to, co wczoraj obmyśliliśmy. On nie zabawi długo i na pewno wróci razem z Bobem.

— Dobrze, więc skorzystajmy z tego czasu, by ukończyć toaletę, a jak tylko nadejdą kaź podać śniadanie.

Z tymi słowami Dora znikła za kotarą swego pokoju. Portos, poleciwszy Inkasowi skryć się w łazience, poszedł

także zmienić ubranie. Gdy wrócił, zastał nerwowo krzątającego się Józefa z wyraźną, troską, malującą się na jego twarzy.

— Sam przyszedłeś?

— Bob dzisiaj nie wróci.

— Jak to?! Co się stało?!

— Przyszło zawiadomienie od królowej.

— Co?! Co to znaczy?!

— Rano, gdy wyszedłem, rozmawiałem z dowódcą straży. Opowiedziałem mu wszystko cośmy uplanowali, wzbudzając wielkie zaciekawienie zarówno między żołnierzami, jak i służbą. Z przejęciem opowiadałem fantastyczne szczegóły okrucieństwa gości, co, rzecz jasna, zaraz doniesiono przełożonym. Wezwali mnie i kazali powtórzyć całą historię, a nawet posłali po trupa rzekomej ofiary. Gdy zapytano mnie kto kierował przebiegiem tortur odpowiedziałem, że... Proszę mi wybaczyć, ale uważałem to za konieczność... Odpowiedziałem, że panna Dora. Dostojnik był zachwycony waszą doskonałością w torturowaniu i posłał trupa do królowej, z którą później rozmawiałem. Gdy wychodziłem, królowa rzekła, że jest bardzo rada, że jej goście tak dobrze się bawili. Zgodziła się, byśmy według naszego życzenia wybrali sobie niewolnika do posług i nic zdziwiła się, że ma on być okryty. Kazała, bym was zaprosił na zewnętrzny spacer, byście poznali płaskowyż i wreszcie kazała mi zakomunikować, że pan Schmidt bardzo dobrze spędził noc, ale wróci dopiero jutro wieczorem, ponieważ królowa, po rytualnej ceremonii arcykapłana, postanowiła spędzić z nim dzień i noc w szczęśliwym odosobnieniu, by on, z własnej woli, spróbował uroku przyszłego życia, jeśli naturalnie zgodzi się na postawioną w świątyni propozycję.

— Co ty o tym sądzisz? — rzekł Portos po chwili namysłu.

— Doprawdy trudno mi coś o tym powiedzieć. Wprowadza to mnie w kłopot, gdyż nie wiem obecnie jak postępować.

— Czy sądzisz, że Bob jest w niebezpieczeństwie?

Józef wzruszył ramionami:

— Przypuszczam, że nie, ale diabli wiedzą, jakie oni mają zwyczaje religijne.

— Bobrze więc! — zdecydował po dłuższym namyśle Portos — Fakt, że my jesteśmy niespokojni o Boba nie jest racją, byśmy niepokoiili Dorę. Powiemy jej, że Bob, powodowany ciekawością, zażądał, by mu z bliska pokazano to szczęśliwe życie, jakie tak wspaniałomyślnie nam obiecują.

— Bardzo dobrze, panie Portos. Uważam, że ma pan rację. Co do mnie, jestem niemal pewny, że naszemu przyjacielowi nie grozi żadne niebezpieczeństwo, tym bardziej, że powiedziano mi, że pozostał tam z własnej woli.

— Doskonale, zrób więc wesołą minę i każ podać śniadanie. — Zwracając się następnie ku pokojowi zajmowanemu przez młodą dziewczynę zawołał żartobliwie:

— Halo! Wasza Wysokość! Czy już uwolniłaś swych paziów? A może rozkażesz nam znosić cierpienia głodu jako oznakę hołdu dla swej urody?

— Rycerz powinien cierpliwie czekać aż dama ukończy swą toaletę — odpowiedziała Dora tym samym żartobliwym tonem, a po chwili dodała już poważnie: — Czy jest tam Bob?

— Bob kazał powiedzieć, że przedkłada towarzystwo pięknych Bogiń Zła — odpowiedział wesoło Portos.

Dora rozsunęła kotarę i zapytała wyraźnie zakłopotana :

— Jak to?!

— Nie przerażaj się, Doro, — uspakajał ją młodzieniec z uśmiechem. — Bob przysłał nam wiadomość, że czuje się doskonale i korzysta ze sposobności, by z bliska poznać prywatne życie tych dziwnych ludzi. Kazał powiedzieć, że wróci jutro i prosił, byśmy byli o niego spokojni.

Ale! Oto nasze śniadanie. Przybyło na czas, bo jestem naprawdę głodny.

Przerwawszy w ten sposób niebezpieczną rozmowę, młody człowiek podbiegł do Józefa, by pomóc mu przygotować stół do śniadania.

W czasie jedzenia Józef opisywał Porze szczegółowo swe poranne rozmowy z Władcami Przestrzeni, starając się zabawić Dorę komicznymi epizodami i starannie omijając wszystko, co dotyczyło spreparowanego przez Inkasa nieboszczyka.

Dziewczyna była jednak wciąż zaniepokojona i w pewnym momencie znów zapytała o Boba.

Portos, śmiał się swobodnie.

— Widzisz Józefie, ona wbiła sobie w głowę, że Bobowi grozi jakieś niebezpieczeństwo. Nie może biedaczka pozbyć się tej, natrętnej myśli. Nie nasz nie będzie kosztowało, jeśli jej w tym pomożemy. Powtórz polecenie dane ci przez Boba.

Józef zrozumiał intencje pilota i uśmiechnął się.

— Niech pani się uspokoi, panno Doro! Pan Schmidt bardzo dobrze spędził noc i zapragnął poznać nieco ich prywatne życie. Na pewno nie przyjąłby zaproszenia, gdyby ono było niebezpiecznym. Prosił, byśmy nic troszczyli się o niego. Kto wie, czy nie obmyśla jakiegoś planu naszej ucieczki?

Dora, widząc spokój, malujący się na twarzach przyjaciół, przekonała się o bezpodstawności swych obaw.

— Czekajmy do jutra! To jest bardzo poważna próba dla mej cierpliwości i ciekawości, lecz postaram się wytrwać. Co będziemy dzisiaj robić?

— Przede wszystkim nakarmimy naszego przyjaciela Quipelta — odpowiedział Portos zapraszając Inkasa do stołu — a następnie, przyjmując zaproszenie królowej, pójdziemy zwiedzać okolicę wieży. Z pewnością znasz dobrze te pola, Józefie?

— Tak. Nieraz przechodziłem przez cały płaskowyż.

Dzisiaj pójdziemy w palankinach niesionych przez niewolników. To jest najlepszy sposób wędrowki przy tym palącym słońcu.

— Ale, Józefie, powiedz mi dlaczego w tym kraju nie słyszy się wogóle muzyki? — rzekł Portos — Ci ludzie, którzy przywiązują tyle wagi do barw, perfum, dekoracji, nie słuchają nigdy muzyki.

— Faktycznie. Oni nie znają muzyki. Jest to jedna z charakterystycznych cech tego narodu. Ich słuch nie jest w stanie pochwycić żadnej melodii. Ten defekt zastępuje przejmujące, hipnotyczne spojrzenia i wspaniałe rozwinięte powonienie. Dlaczego, to nie jestem w stanie objaśnić.

Portos, widząc, że Inkas przestał jeść, zmienił temat.

— Nasz zamaskowany sługa skończył śniadanie. Możemy ruszać.

— Tak — dodał Józef. — Wszystko z pewnością jest już gotowe. Kazałem przygotować duży palankin, byśmy mogli wszyscy się w nim pomieścić. Będziemy niesieni przez cały oddział głuchoniemych niewolników, będziemy więc mogli swobodnie rozmawiać z Quipeltem. Cały dzień spędzimy poza obrębem wieży i poznamy szczegółowo wszystkie zakątki tego miniaturowego i tajemniczego kraju.

Wyszli na korytarz, gdzie ich oczekiwał dowódca straży, by przeprowadzić ich do oczekujących niewolników.

Wkrótce znaleźli się na głównym ganku, otaczającym wieżę. Olbrzymi palankin, obramowany cienkimi kotarami, zwisającymi ze złotych sznurów, pełen jedwabnych poduszek stał gotów do użytku wycieczkowiczów. Oddział niewolników, zgrupowany wokół palankinu, oczekiwał rozkazów.

Usiedli wygodnie na miękkich poduszkach i w chwilę później posuwali się łagodnie, bez żadnych wstrząsów, wzdłuż szerokiej drogi, wyłożonej ogromnymi, gładkimi blokami granitu.

Dora z zaciękwawieniem obserwowała ludzi dźwigających palankin. Na ich twarzach wypalone były piętna, świadczące, że należeli do grupy niewolników-służących.

— Mówiłeś, że oni są głusi, prawda? — zapytała Józefa — Dlaczego więc mają wypalone znaki przynależności do służby wewnętrznej?

— Tak. Oni byli służbą wewnętrzną, ale tutaj za najmniejsze uchybienie służba jest srogo karana. Ściskają im skronie, wrywają języki i z uprzywilejowanego służącego wewnętrznego robią pokornego niewolnika zewnętrznego.

Dora była wprost przerażona.

— Co za straszliwa, barbarzyńska kara!

— To jest najłagodniejsza kara jaką wymierzają Władcy Przestrzeni. Tutaj wszystko musi funkcjonować bez zarzutu. Wyraz nieposłuszeństwo nie istnieje w ich słowniku. Wszelkie inne uchybienia karane są tak, że włosy stają na głowie z przerażenia. Niech pani nie zapomina, że zadawanie cierpień sprawia przyjemność tutejszym władcom.

Patrzcie na tę chmurę ptactwa — rzekł Portos, by zmienić temat. — Wygląda jak zielony obłok.

— O, jakie to piękne! — zawołała zainteresowana Dora — Ależ tego są miliony! Co to za ptaki, Józefie?

— To są wędrowne papugi. W pewnym, określonym czasie zbierają się całymi chmurami jak to, które widzicie i emigrują na wschód, a po pewnym okresie wracają.

Zainteresowany Portos zapytał:

— Więc mówisz, że one powtarzają te swoje przeloty w stałych okresach?

— Tak, dwa razy do roku. Pierwszy raz w okresie deszczów, a później w, środku lata.

— Czy nikt nie wie dokąd one lecą?

— Nie, ale jedno jest pewne, że lecą daleko, gdyż przylatują kompletnie wyczerpane, zupełnie bez sił. Wtedy chwytane są całymi tysiącami i zamykane w olbrzymich klatkach. Następnie, w miarę potrzeby, zabijają je, gdyż



ich mięso jest z uwagi na smak i odżywczość, ulubionym pokarmem Władców Przestrzeni. Około południa przybędziemy do rejonu, gdzie mieszkają Indianie — ptasznicy, a wtedy przyjrzyście się tym lotnikom.

— Czy obecnie zanosi się na jakieś ruchy migracyjne tych ptaków? — pytał z wielkim "zainteresowaniem" Portos.

— Tak, jesteśmy obecnie w okresie ich odlotu.

— A więc, gdy wypuszczą ptaki z klatek, to powinny one dołączyć do odlatujących?

— Niewątpliwie dołączą i razem odlecą; ale z klatek się ich nie wypuszcza.

— Czemu tak się interesujesz tymi ptakami? — rzekła Dora. — Wydajesz mi się ciekawskim chłopczykiem, który potrafi zanudzić ciągłymi pytaniami.

Portos uśmiechnął się.

— Widzisz Doro, przysłała mi do głowy doskonała myśl. Zaczę ją wprowadzać w czyn, a jak będę miał wszystko gotowe, to wam wytłumaczę.

Powiedziawszy to, wsunął się w kąć palankinu i zajął się sprawą, która w tej chwili wydawała się co najmniej najnieodpowiedniejszą; wyciągnął notes i zaczął wypełniać drobnym pismem jego małe karteczki.

Dora i Józef, widząc, że niczego się od niego nie dowiedzą, zwrócili swą uwagę na otaczający ich krajobraz.

Szeroka droga, którą się posuwali przecinała wielki płaskowyż pocięty na małe kwadraty uprawnych pól, na których plantowano różnego gatunku rośliny. Ziemia uprawiana była bardzo starannie i niemniej troskliwie nawadniana. za pomocą bardzo skomplikowanego systemu sztucznej irygacji. Poszczególne plantacje oddzielone były od siebie ścieżkami, które łączyły się z sobą i z główną drogą tworząc bardzo wygodną sieć drogową.

Wszystko wskazywało na doskonale zorganizowany system, obliczony na jak największą wydajność pracy.

Na środku każdej plantacji, produkującej jeden tylko gatunek roślin, stały zgrupowane szalasy, tworząc wioskę,

której mieszkańcy byli specjalistami od uprawiania danej rośliny.

W miarę posuwania się dalej, Józef udzielał szczegółowych objaśnień.

— Ta okolica zamieszкана jest przez Indian, którzy od wielu pokoleń zajmują się rolnictwem. Całe życie tych pokoleń upływało na ulepszaniu metod uprawy rozmaitych roślin, co pozwoliło im stać się wybitnymi specjalistami w tym dziale pracy. Poza tym warto zaznaczyć, że oni są najszcześniejszymi niewolnikami, choćby dlatego, że nigdy nie widzą Władców Przestrzeni, którzy tutaj nie przychodzą.

Wieśniacy pracujący na sąsiadujących z drogą polach, na widok palankinu padali na twarze i podnosili się dopiero wtedy, gdy palankin znacznie się oddalił. Padając wyciągali ramiona ku przodowi, a twarze kryli w ziemi.

— Pochodzenie tych ludzi jest tak odległe w czasie jak pochodzenie ślepców z podziemnych grot — tłumaczył Józef. — Kto wie, czy nie przybyli tutaj razem z Boginiami Zła. Warto zauważyć, że stanowią oni zupełnie czystą rasę. Będzie pani mogła przyjrzeć się im, gdy przybędzie my do rejonu ptaszników.

— A więc wszyscy mieszkańcy zewnętrzni stanowią jedną i tą samą grupę rasową?

— Tak, pochodzeniowo jest to jedna grupa. Tutaj dzielą się oni na ptaszników, pasterzy, rolników i rzemieślników, co wpływa na zróżniczkowanie trybu życia w zależności od zawodu.

— A co to jest to co oni mają na głowach?

— Te błyszczące kaski służą im jako ochrona przed promieniami słonecznymi. Niezależnie od tych hełmów tropikalnych nacierają oni włosy błotem, które po wyschnięciu doskonale chroni głowę od słońca.

— A ten laszek? — zapytała Dora wskazując ręką na pokrytą krzakami okolicę.

— To, proszę pani, są morwy i jeżyny. Ta okolica przeznaczona jest na hodowlę jedwabników.

— Jedwabników?!

— Tak. Jedwabników. Nie tylko jedwabie, ale wszelkiego rodzaju materiały wykonywane są przez miejscowych rzemieślników. To oddalone pole jest plantacją bawełny, a to zielone w głębi — to nic innego jak najzwyklejsze konopie, tam dalej widać len...

— Co za wspaniała organizacja! — rzekła z podziwem Dora — Ale patrz na te piękne kwiaty. Zupełnie przypominają maki.

— To są maki, panno Doro. One służą do wyrobu opinia.

— A ta wieża?

— To jest olbrzymi zbiornik wody. Woda do tego zbiornika dochodzi rurami z centralnego depozytu, który zaopatrzone jest bezpośrednio z pomp w podziemiach.

Czas płynął bardzo szybko w wygodnej podróży, u przyjemnianej interesującymi opowiadaniem Józefa. Zbliżali się do rejonu ptaszników.

— Tu obejrzymy papugi, którymi tak zainteresował się pan Portos i zjemy obiad — powiedział Józef.

— Co? To już południe? — zawołała zdziwiona Dora

— Otawio, skończ tę tajemniczą pracę i powiedz nam wreszcie po co ta cała pisanina.

— A to już przybyliśmy? Cudownie! — rzekł Portos — Jeszcze trochę cierpliwości Doro. Niedługo wszystko ci powiem.

Zatrzymali się na małym placu, okolonym bardzo pierwotnie urządzonej szalazami, przeznaczonymi na mieszkania. Dalej wznosiły się nieco większe budy, pełne klatek. Porozrzucone wokół narzędzia świadczyły, że przed chwilą musiano przerwać pracę.

Z jednego z szalazów wyszła na spotkanie palankinu mała grupka Indian. Gdy zbliżyli się na pewną odległość natychmiast padli na twarze.

Goście opuścili palankin i usiedli w cieniu jednego z szałasów, by wypocząć nieco po przebytej drodze. Józef zbliżył się do leżących ptaszników i coś im powiedział. Natychmiast jeden z nich wstał i zbliżył się ku gościom.

Był to piękny typ Indianina. Wysoki, muskularny, o ładnej brązowej cerze i błyszczących czarnych oczach, robił wrażenie przynależności do jakiegoś inteligentnego szczepu. Prosty, zgrabny nos i lekko wysunięta dolna szczęka nadawały mu rysu męskości i stanowczości. Długie i lśniące włosy przewiązane miał barwną wstążką.

— To jest naczelnik ptaszników — rzekł Józef. — Wita was i powiada, że cała okolica zostaje wam oddana do dyspozycji. Za chwilę każe on przygotować jeden z szałasów, byśmy mogli wygodnie spocząć i zjeść obiad.

— Bardzo dobrze ! — rzekł Otavio — Lecz przed tym zapytaj, czy wypuszczone teraz ptaki napewno dołączyłyby do odlatujących.

Józef był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem, ale bez namysłu spełnił otrzymane polecenie. Dora zaś śmiejąc się mówiła:

— To już jest nadużycie, Otavio.

Portos uśmiechnął się i nic, nie odpowiedział, a usłyszawszy potwierdzającą odpowiedź Józefa, podszedł ku klatkom i zaczął je badać z tajemniczą miną.

Za chwilę weszli do miłego cienia, przygotowanego dla nich namiotu i zaczęli przyspasabiać się do obiadu. Portos kazał przynieść jedną klatkę z papugami, co jeszcze bardziej podnieciło ciekawość Dory.

Po obiedzie młodzieniec poprosił Dorę, by dała mu szpulkę nici, skrzętnie przechowywaną w nieodłącznej walizeczce.

— Znacie na pewno przysłowie, że ten się śmieje dobrze, kto się śmieje ostatni — zaczął Portos. — Otóż wyście się śmieli dotychczas, a ja będę mógł się śmiać wtedy, gdy mój pomysł da rezultaty. Słuchajcie więc tego, co napisałem :

— Dora Camber i Robert Schmidt z Kantonn, oraz Otavio Portos — Brazylijczyk, zagubieni na płaszczyźnie, zamieszkaney przez białych Indian, na terenach między Brazylią a Peru. Wypadek lotniczy spowodowany cyklonem. Wszyscy są zdrowi, lecz uwięzieni przez nieznaną i niebezpieczną naród. Potrzebny natychmiastowy ratunek samolotami. Piloci muszą znaleźć płaskowyż z wielkimi plantacjami.

— Napisałem to w dwóch językach, portugalskim i hiszpańskim i aż w pięćdziesięciu egzemplarzach, a teraz chce przywiązać każdą kartkę do nóżki jednej papugi, by następnie wypuścić te papugi na wolność. Niech lecą ze swymi towarzyszkami. Może będziemy mieli szczęście, że któryś z tych papierków trafi do ludzkich rąk. Radio i telegraf dokonają reszty. Czy zrozumieliście teraz moje zainteresowanie tymi ptaszkami.

— Ależ to wspaniała, myśl! — wykrzyknęła Dora.

— Rzeczywiście dobry pomysł — rzekł Józef. — A ja już byłem trochę zły na pana za te pytania.

Zabrali się szybko do pracy. W godzinę później pięćdziesiąt ptaków z kartkami u nóżek wzbilo się w górę, napędzając szczebiotem przestworza. Połączyły się z latającymi stadami, kierującymi się na wschód i uniosły z sobą nadzieje wyzwolenia dla czworga przyjaciół.

Nasi towarzysze przestali się, obecnie interesować plantacjami i urządzeniami pól, koncentrując całe swe rozmowy około domysłów, czy ptaki te trafią do rejonów zamieszkałych, czy ktokolwiek przeczyta zawiadomienie itd.

Snując takie domysły, przeplatane często pobożnymi życzeniami, przybyli do krańca płaskowyżu.

U ich stóp rozciągała się olbrzymia przepaść, na której dnie widać było kilka namiotów. Quilpet wskazał ręką na sąsiedni płaskowyż mówiąc, że to jest jego ojczyzna. Zdawała się być blisko, a jednak kontury jej ginęły w niebieskawej mgle.

Z trudem oderwali oczy od tego widoku na niedostępne

dla nich przestrzenie, wolne od władzy i wpływów zdegenerowanych demonów.

Powrotną drogę odbywali szybciej, gdyż Portos musiał się przygotować do spędzenia nocy u arcykapłana.

## ROZDZIAŁ XIII

Było już późno, gdy Portos znalazł się w obrębie świątyni Bogini Zła. Spotkał tam to samo towarzystwo, które zebrane było poprzedniej nocy. Jeszcze raz musiał uczestniczyć we wstrętnym obrzędzie karmienia małp. Gdy zasłonięto kurtynę odgradzającą klatki ze zwierzętami wystąpiło pięć pięknych kobiet, które wykonywując jakiś dziwny taniec, w rytmicznych płasach, zbliżyły się do niego. Po chwili znalazł się otoczony przez te tancerki. Gdziekolwiek rzucił okiem wzrok jego spotykał niepokalanie białe i czyste ciała kobiece, pociągające swymi nie zaprzeczalnymi wdziękami potęgowanymi namiętnymi i kuszącymi ruchami tańca.

Poczuł szalony pociąg do tych kusicielek, ale w tej chwili przypomniał sobie Dorę i całkowicie opanował swą słabość. Ominął zacieśniającą się obręcz kusicielek, oddalił się od nich zdecydowanymi krokami i patrząc stale w pełne zdumienia oczy królowej, zatrzymał się przed nią, przyjąwszy swobodną, ale pełną szacunku postawę. Widział, że wszyscy na sali byli zdziwieni jego zachowaniem.

Królowa, chcąc uniknąć spojrzeń młodzieńca, odwróciła się poważnie ku ołtarzowi i utkwivszy wzrok w postaci bóstwa, przestała się pozornie nim zajmować.

Światło stawało się coraz bledsze i swe niebieskie blaski zaczęło zmieniać na czerwone. Królowa poruszyła się i znikła za fałdami kotary, zwieszającej się obok ołtarza.

Ciemności z każdą chwilą pogłębiały się i za chwilę Portos nie widział już pogrążonego w ekstazie towarzystwa. Był gotów do przeciwdziałania jakiegokolwiek niespodziance, mogącej go spotkać w tych ciemnościach.

Za chwilę rozległ się głos gongu i w kwadratowym przejścia jakie uchyliło się w pozornie jednolitej ścianie,

zabłysło światło. Silne blaski tego światła ślizgały się po posadzce i przecinały swym ostrzem ciemności, zalegające wciąż świątynię. Portos znalazł się w kręgu światła. Niebawem w tym kręgu znalazła się i królowa, która odszedłszy od ołtarza stanęła z twarzą zwróconą ku Portosowi.

Znów zabrzmiał gong, a po nim przeraźliwy ryk przestraszonych małp.

Oczy Portosa przywykły wkrótce do oślepiającego blasku. Spojrzał więc wokół i ze zdziwieniem zobaczył, że wszyscy leżeli na ziemi, tylko on i królowa stali oświetleni.

Królowa, majestatycznym ruchem, wskazała Portosowi wejście. Nie wahając się usłuchał i stanowczymi krokami skierował się do tajemniczych drzwi.

Gdy tylko minął je usłyszał ich cichy trzask i znalazł się sam w małej nieumeblowanej salce, której podłogę stanowiły ogromne, polerowane bloki złota.

Oświetlenie było bardzo jasne. Pilot z zainteresowaniem przyglądał się gołym ścianom, szukając na nich śladu drzwi, lecz nie znalazł nawet tych, którymi wszedł. Znikły, wspaniale ukryte w spojeniach złotych bloków.

— Czyżby to była jakaś zasadzka? — pomyślał — Czy jestem uwięziony?

Zaniepokoił się naraz losem Boba.

Z zadumy wyrwał go jakiś szmer. Boczna ściana rozsunała się otwierając wąskie przejście. Wszedł ostrożnie i zatrzymał się z drugiej strony, wydając mimo woli stłumiony okrzyk zdziwienia.

Znalazł się w obszernym pokoju, umeblowanym zbyt kownie, ale na sposób przyjęty w świecie, z którego pochodził.

Podłogę pokrywały grube dywany, meble poustawiane były z gustem, olbrzymie szafy wypełnione były jakimiś dokumentami i rękopisami, cały szereg drobnych dzieł sztuki poumieszczony był artystycznie na biurku, stolikach i etażerkach, efektowne kandelabry rzucały miłe światło na ten pokój, który robił wrażenie bogatego wnętrza pra-



cowni jakiegoś uczonego z Nowego Jorku, Londynu czy Paryża.

Za szerokim biurkiem, ustawionym na środku sali i pokrytym rulonami i zeszytami pergaminów, siedział, wsparty na poręczy fotela, człowiek, który od razu zwrócił na siebie całą uwagę pilota. Był to starzec o długiej siwej brodzie i rzadkich siwych włosach, spadających mu na ramiona. Pomarszczona, bardzo wyrazista twarz należała, bez najmniejszej wątpliwości, do człowieka białej rasy.

Jasne, przejmujące oczy, na wpół ukryte pod gęstymi brwiami patrzyły badawczo na młodzieńca, jak gdyby chciały przeniknąć do jego duszy. Białe, delikatne ręce, pokryte siatką drobnych żyłek, wysuwające się z szerokich rękawów szlafroka, spoczywały na bocznych oparciach fotela.

Portos poddawał się tej milczącej obserwacji z właściwą sobie powagą.

Wreszcie blade usta starca drgnęły niedostrzegalnym niemal uśmiechem i błysk sympatii zajaśniał w jego oczach.

— Siadaj! — rzekł po angielsku.

Portos posłuchał i siadł na fotelu stojącym obok biurka. Po tylu niebywałych wydarzeniach nie dziwił się już niczemu, lecz niezmiernie ciekawym był dalszych wypadków. Czekał więc cicho i z uwagą na słowa starca.

— Czy jesteś Anglikiem?

— Nie, panie, jestem Brazylijczykiem.

— Przede wszystkim muszę spełnić obietnicę daną królowej — rzekł starzec. — Wykażę ci korzyści, jakie osiągniesz, gdy zgodzisz się na jej propozycję. Później, zależnie od tego, co postanowisz, pogadamy z sobą. Mamy dosyć czasu na to.

To mówiąc wyciągnął delikatną, starczą rękę w kierunku małego gongu, umieszczonego obok biurka. Rozległ się przyjemny, łagodny ton, na głos którego rozsunała się kotara, zakrywająca drzwi i w głębokich ukłonach wszedł niewolnik, by stanąć za zajmowanym przez starca fotelem.

Na dany znak popchnął ciężki mebel, który, na swych dość dużych kołach, potoczył się cicho w kierunku sąsiedniej sali.

Teraz dopiero Portos zorientował się, że jest to typ fotela używanego przez kaleków, a starzec jest sparaliżowany.

Po wejściu do sali starzec dał służącemu znak i ten znów w głębokich ukłonach bezszelestnie oddalił się. Zostali sami.

— Bądź łaskaw popchnąć moje krzesło do tego kamienia — poprosił starzec wskazując punkt na przeciwległej ścianie.

Portos, bez słowa sprzeciwu, wykonał dane mu polecenie. My byli już przy wskazanej ścianie, starzec nacisnął swą drżącą ręką wystający nieco kamień i w tej chwili dał się słyszeć odgłos usuwającego się głazu, za którym kryło się tajemne przejście.

Portos potoczył krzesło ku przejściu i za chwilę znaleźli się w wąskiej, ale bardzo długiej sali, słabo oświetlonej promieniami sztucznego ognia. Po ich wejściu światło, jak gdyby zsynchronizowane z mechanizmem drzwi, zaczęło przybierać na sile i wreszcie zabłysło całą swą mocą.

Pilot zatrzymał się pełen zdumienia. To co ujrzał przechodziło wszelką wyobraźnię. Cała, szalenie długa sala, wąska jak korytarz, zastawiona była po obu stronach wzdłuż ścian półkami i gablotami, wypełnionymi bezcennymi dziełami sztuki i klejnotami. Tysiące pierścieni, bransolet, gongów, posągów i posążków, oraz różnego rodzaju broni i szczerozłotych emblematów, obramowanych wspaniałymi rzeźbami stanowiło zawartość tych gablot. Wszystko, ułożone na czarnym, jedwabnym aksamicie, dowodziło niezwykłego daru artystycznego twórców i wielkiego poczucia estetyki u tych, którzy to rozmieszczali w tej sali.

Dalej następowały formalne stosy brylantów, turkusów, szmaragdów, rubinów, szafirów i innych drogocennych kamieni. Wszystkie były wielkie i wspaniałe szlifowane.

Największe brylanty, znane w cywilizowanym świecie, były malutkimi wobec najmniejszych, znajdujących się w tej sali.

Szeregi przedmiotów artystycznych, nieznanego Portosowi przeznaczenia, pociągało wzrok swym bogactwem inkrustacji.

Sala ta zawierała tak nieprzebrane bogactwa, że niepodobieństwem byłoby usiłowanie oszacowania ich wartości.

Portos, popychając fotel paralytyka, poruszał się jak nieprzytomny. Urzeczony był **po prostu** tymi bogactwami, które niczym wspaniały sen przesuwały się przed jego oczami. Zapomniał o starcu, który nie patrzył na klejnoty, a pilnie **obserwował** wrażenie, jakie malowało się na twarzy młodzieńca.

Nagle pilot, opanował się i z cichym westchnieniem zatrzymał się. Przestał popychać fotel.

Błysk uznania zajaśniał w oczach starca.

— To są skarby Władców Przestrzeni — rzekł poważnie starzec. — Należą one do tej rasy nadludzi i będą należały do ciebie, jeśli zawrzesz z nimi akt braterstwa.

— A jaką korzyść będę miał z nagromadzonych tu skarbów? — ironicznie zapytał Portos.

— Będiesz miał na równi z nimi prawo wybrać raz do roku to, co ci się podoba, do swego osobistego użytku. Spójrz na ten rubin. Czyż nie piękny?

Portos wziął do ręki olbrzymi rubin wielkości jajka i podziwiał jego przepyszne odblaski.

— Tak. To jest naprawdę wspaniałe! — przyznał — Przypuszczani, że żaden wschodni maharadża nie może poszczycić się podobnym klejnotem.

— Masz rację. Nie ma na świecie takiego bogacza, który byłby w stanie kupić go. Nie zapominaj więc, że

zarówno ten wspaniały kamień, jak i wszystkie nagromadzone tu bogactwa, jeśli zechcesz, mogą należeć do ciebie.

Portos z pogardą rzucił drogocenny kamień na gromadę innych.

— Zdawaloby się mi, że jestem żywą reklamą jakiegoś bogatego jubilera.

Starzec spojrział na niego jeszcze uważniej i zaczął w zadumie snuć przed pilotem nowe wizje.

— Jeżeli przyjmiesz propozycję sześciomiesięcznej próby, po upływie tego czasu, gdy zechcesz wrócić do swoich, będziesz mógł z sobą zabrać wybrane dziś przez ciebie klejnoty. Będą one stanowiły twą osobistą własność.

Portos zadrżał. Przecież to byłoby nieprzebranym bogactwem. Byłoby to spełnieniem jego marzeń. Przed oczyma zarysowała mu się postać starej matki, osamotnionej po stracie męża, ucieczce syna i konfiskacie rodzinnego majątku. Dora, podróże, zbytek, szczęście — przesuwwały się w jego myśli jak w kalejdoskopie, a kusiciel ciągnął dalej swe zachęcające wywody:

— Wszystko to będzie wyłącznie twoje. Wrócisz do swego kraju jako bogacz. Będą ci się wszyscy kłaniać, będziesz opływał w dostatkach, a wszystko za cenę drobnych sześciu miesięcy spędzonych tutaj w przepychu, jaki trudno sobie wyobrazić, wśród pięknych i pociągających kobiet...

Starzec mówił dalej, szkicował mu coraz to bardziej pociągające obrazy, lecz Portos przestał słuchać. Zrozumiał, że przyjęcie ofiarowanych mu warunków jest równoznaczne ze stratą tego, co w życiu cenił najbardziej: Godności, Honoru i Dory.

Jeśli przyjmie propozycje stanie się moralnym zerem, stoczy się na dno kuszącego bagniska, a Dora stanie się łatwą zdobyczą dla któregośkolwiek z tych monstrualnych władców.

Zbladł. Krople zimnego potu zaczęły spływać mu z czoła.

— Niech pan przestanie! — oschle odezwał się do

starca — Nic mnie nie obchodzą te przekłete mamidła.

To mówiąc popchną przed siebie krzesło starca, by jak najprędzej opuście, kuszącą go jeszcze przed chwilą, salę bogactw.

Zaczął myśleć o następstwach, jakie pociągnęłyby za sobą jego zgoda na propozycję. Poczł wstyd i wyrzuty sumienia za swoje chwilowe wahanie.

Starzec nic uczynił nic, by go uspokoić. Pozwolił się wieźć w przeciwny koniec sali, tylko na jego cienkich wargach zajaśniał ledwo dostrzegalny uśmiech.

Zatrzymali się przed kotarą pokrywającą frontową ścianę. Portos nic wiedział co ma dalej robić, spojrzł więc pytająco na kusiciela.

— Odsłoń portierę i spojrzj! — rzekł starzec.

Portos posłuchał, lecz szybko się cofnął, przejęty wstętem i oburzeniem.

— Co to znaczy? Pan mnie każe podglądać samotne kobiety?!

Starzec roześmiał się szczerze:

— Spokojnie, chłopcze! Wszystkie te boginie dobrze wiedzą, że będziesz na nie patrzył. Każda z nich z rozkoszą rzuci się w twe ramiona. Każda z nich jest gotowa spędzić z tobą te sześć miesięcy, przeznaczonych na próbę. A więc? Którą wybierasz?

Mówił głosem pełnym sarkazmu, tak, że Portos zrozumiał wreszcie jego intencje. Spojrzł na niego i zapytał:

— Czy są jeszcze jakieś inne pokusy w programie? Jeśli tak, to proszę się nie facygować, gdyż ja już zdecydowałem treść mej odpowiedzi na propozycję królowej.

Starzec spojrzł na niego z wyrazem radości i sympatii.

— Moje zadanie skończone. Zrobiłem wszystko, by cię przekonać. Prawda ?

— Rzeczywiście. Muszę przyznać, że przeżyłem bardzo ciężkie chwile.

— Na szczęście wszystko się skończyło. Jestem bardzo zadowolony! Możemy obecnie wracać do mej biblioteki,

gdzie swobodnie porozmawiamy.

Wracali powoli, a starzec wyjaśniał Portosowi pochodzenie i przeznaczenie niektórych artystycznych wyrobów. Robili teraz wrażenie ludzi, zwiedzających jakieś wspaniałe muzeum.

— Wszystkie te wyroby są szalenie stare. Nikt nie potrafi powiedzieć kiedy były wykonane. Dzisiejsza cywilizacja nie zna zupełnie tej epoki. Nikt nie wie, z jakiego kraju pochodzą te przepyszne klejnoty. To wszystko pochodzi z lądów, które dziś nie istnieją — rzekł starzec i wpadł w głęboką zadumę.

Portos chciałby coś więcej usłyszeć od starca, lecz uszanował jego zadumę.

— Zaginione lądy — przemówił wreszcie paralytyk — cywilizacja i wiedza o wiele wyższa od naszej. W każdej dziedzinie. Tak w mechanice, jak i w wynalazczości. Wszystko tak subtelne w swej wielkości i tak niezrozumiałe dla płytkich umysłów obecnych pseudo-naukowców. Bolesnym jest uprzytomnienie sobie, że z tego ideału pod każdym względem pozostały i przetrwały do naszych czasów jedynie zdegenerowane Boginie Zła.

— O jakim narodzie pan mówi?

— Chodźmy do biblioteki. Tam opowiem ci najpiękniejszą część historii ludzkości.

Po chwili siedzieli w wygodnej i bogato urządzonej pracowni. Starzec wyjął z szafki piękną kryształową karafkę, pełną wina i wraz z kieliszkami postawił ją na małym stolyczku. Ponalewał złotawego płynu i zapytał:

— Skąd ty tutaj przybyłeś?

Portos opowiedział starcowi swe przygody dodając także wszystko, co ich spotkało po uwięzieniu.

— Tak, teraz zrozumiałem. Dzięki odwadze i umiejętnemu stosowaniu nieznanych tutaj instrumentów ocaliłeś życie sobie i swym towarzyszom. Tak. Władcy Przestrzeni to zdegenerowani kretyni, nie zasługujący na nie innego, jak tylko na zniknięcie z powierzchni ziemi. Są głu-

pi i pełni przesądów. Jedynym ich kultem jest wybujala pycha. Jedyną cechą charakteru — zwierzęce okrucieństwo. Okrucieństwo uważają oni za cnotę, która im daje bezgraniczną władzę. Udało ci się trafić ich w najsłabsze strony. Zaimponowałeś im odwagą, której nie widzą. Otoczeni są nędznymi stworzeniami, na wpół zidiociałymi tchórzami. Uwierzyli w waszą nadnaturalną władzę, ponieważ nie zdołali was onieśmielić.

— Czy może pan mnie powiedzieć, co się stało z Bobem ? — zapytał nagle Portos.

Oblicze starca nagle się zachmurzyło.

— Ten człowiek ma słaby charakter. Przypuszczam, że jest on zgubiony. Strzeżcie się go. Gdy zobaczył wczoraj skarby, formalnie oszalał, a gdy mu powiedział, że za sześć miesięcy wybrane przedmioty staną się jego własnością, krzyknął, że zgadza się na propozycję. Zmuszony byłem oddać go tym piekielnym kobietom. Wybrana przez niego towarzyszka będzie jego zgubą. Wyczerpie jego siły. To sadystka i wampir, taki sam zresztą jak wszystkie inne. Tak, on jest zgubiony, lecz powtarzam, strzeżcie się go, gdyż może on być użyty jako broń przeciwko wam!

Portos słuchał przerażony.

— Niemożliwe! Ten wariat uległ pod wpływem widoku bogactw? Tak, to prawda! On nie jest w stanie opanować się widząc złoto. Widziałem co się z nim działo, gdyśmy zwiedzali kopalnię złota. Boże mój ! Co się z nim stanie?! Jak on się z nimi porozumie bez Józefa?

— Tłumaczkami będą poświęcone dziewice. Chcąc łatwiej żyć zdała od tych demonów, stworzyłem instytucję służby ołtarza. W tym celu wybrałem dwunastu chłopców i dwanaście dziewcząt z pośród zewnętrznych niewolników i nauczyłem ich języka angielskiego, jako rytualnego. Tym sposobem mogłem mówić moim językiem i żyć w spokoju. Jedna z tych dziewcząt dana jest Bobowi jako tłumaczka. Obecnie otoczony on jest niebywałym przepychem i sądzę, że tak oczarowany, czuje się szczęśliwym i nie dostrzega

żadnego niebezpieczeństwa. To jest zdeklarowany egoista, tym razem na jego własne nieszczęście. Urzeczony pociągającą nowością, uczestniczy na pewno w tych sadystycznych orgiach, nie przewidując końca. Tymczasem nie myśl o nim. Lękam się o inną osobę...

— O kogo? — zapytał zaniepokojony Portos.

— O tę młodą dziewczynę, która jest z wami.

Portos zerwał się na równe nogi.

— Dora?! Co, ona jest w specjalnym niebezpieczeństwie ?

— Czym ona jest dla ciebie?

Portos opadł ciężko na fotel i zakrył rękoma twarz.

— Wszystkim! Wszystkim! — wyszeptał.

— Tego się domyślałem. Ale wobec tego trzeba, byś wszystko wiedział. Jedna z mych pomocnic szczegółowo mi opowiedziała przebieg konferencji Władców, na której omawiano postawioną wam później propozycję. Jeden z nich bardzo zainteresował się Dorą w czasie bankietu, w którym uczestniczyliście. Przypomniał on obecnie zapomniany już zwyczaj dopuszczania nowych przybyszów do dostojenstw za cenę zmieszania krwi. On właśnie doprowadził do odbycia tej konferencji, na której zapadła decyzja postawienia wam propozycji. Wszystko robił z myślą, że Dora stanie się jego łupem. Onieśmielony jednak waszą, nadnaturalną, w jego pojęciu, potęgą nie odważy się postępować otwarcie. Z Bobem im się udało, lecz ty, chwała Bogu, nife dałeś się złowić na ten haczyk. Mam pewność, że z pomocą Józefa i Inkasa zdołasz usunąć niebezpieczeństwo, grożące młodej dziewczynie. Strzeżcie się jedynie Boba, bo może on być narzędziem zdrady.

— Co ja mam robić? Mój Boże! Co robić? — szeptał Portos przez zaciśnięte wargi.

— Przede wszystkim uspokój się! Niebezpieczeństwo jeszcze nie grozi. Bardzo możliwe, że będzie go można uniknąć. Będę czuwał nad wami i pomogę wam Uciec. Dziś nie myślmy o tym! Jutro prześlę wam wiadomości. Najważniej-



sza rzecz, nie pozostawiać dziewczyny samej i nie dopuścić do jutrzejszej próby, ale tym ostatnim ja sam się zajmę. Uprzedzony o wszystkim, nie pozwolisz teraz chwycie się w pułapkę.

Portos, uspokojony pod wpływem zaufania, jakie poczuł dla tego tajemniczego, sparaliżowanego starca, patrzył na niego z nowym zainteresowaniem.

— Kim pan jest?

— Stary uśmiechnął się melancholijnie.

— Lepiej zapytaj kim ja byłem.

To powiedziawszy, umilkł zamyślony, jak gdyby chciał zebrać w pamięci całą przeszłość i utkwivszy wzrok w nieświadomie obracanym w rękę kieliszku, trwał w tej zadumie.

— Spełnię przed tobą rodzaj spowiedzi generalnej. Czuję, że wkrótce spocznę. Życie moje się kończy. Błędziłem wiele i wielkie były moje grzechy, ale i pokuta za. nie była wielka. Większa niż wytrzymałość sił ludzkich. Dziś przekonany jestem, że część mych cierpień wystarczyłaby w zupełności, by winy me zostały mi darowane.

Zwilżył winem wysychające wargi i mówił:

— Sześćdziesiąt lat temu byłem młodym, pełnym życia i zdrowia tak jak ty. Byłem odważnym awanturnikiem. Jedyną mą idea było stać się bogatym i potężnym. Urodziłem się w Stanach Zjednoczonych w stanie Wirginia. Nie wyjawię mego nazwiska, gdyż było ono zawsze zaszczytne i okryte chwałą, gdy tymczasem ja... stałem się jego niegodnym.

Byłem zawodowym graczem, który wykorzystując nieświadomość podróżujących po wodach Amazonki, wyciągał pieniądze z ich kieszeni. Pewnego poranku schwytano mnie na gorącym uczynku. Ze względu na osobiste bezpieczeństwo musiałem porzucić to haniebne rzemiosło. Wstąpiłem do cyrku wędrownego, gdzie po pewnym czasie zasłynęłam jako poskramiacz małp. Niezależnie od tego pracowałem jako pajac. Nauczyłem się różnorodnych

sztuczek magicznych, a przy tym stałem się nałogowym pijakiem. Z powodu alkoholizmu straciłem pracę i powróciłem do szulerki w kartach. Włóczyłem się po jarmarkach szukając nieopatrznych ofiar, które mógłbym bezkarnie złupić. Pewnego razu, gdy wygrałem poważną sumę, znów złapano mnie na oszustwie. Wpadłem we wściekłość, straciłem panowanie nad sobą i zacząłem strzelać do partnerów. Dwóch zabiłem. To bestialskie zabójstwo podniosło taki gwałt i nienawiść do mnie, że zaczęto mnie prześladować jak dzikie zwierzę. Zmuszony byłem kryć się w lasach i bagnach, gdyż byłem bez wytchnienia śledzonym i ściganym. Zrozpaczony, postanowiłem przekraść się do Peru, by tam rozpocząć nowe życie.

— W dziewiczych lasach przeżyłem straszny okres. Głodny i wyczerpany walczyłem z dzikimi zwierzętami, Indianami i febrą. Po długim błędzeniu w tym zielonym piekle, zatrzymałem się w tych okolicach, by ranny i zmaltretowany dostać się do niewoli niemych Indian i następnie być przywiezionym przed oblicze Władców Przestrzeni. Jak widzisz, ocalałem życie. Osiągnęłem to dzięki magicznym sztuczkom, których nauczyłem się w cyrku i dzięki sprytowi. Wzięli mnie za czarodzieja przysłanego do nich przez jakąś potężną istotę. Skorzystałem z tego i umocniłem moją pozycję. Miałem bardzo prosty, ale jednocześnie przebiegły plan. Chciałem zawładnąć niektórymi cennymi skarbami z tych, które dopiero co oglądałeś, a następnie uciec do Peru. Tam zamierzałem zorganizować silną eksjedycję i wrócić w celu zawładnięcia całym płaskowyżem przy pomocy Inkasów. Bóg jednak nie chciał, bym prowadził to zbrodnicze życie. Rana moja, którą zadano mi w czasie łapania mnie, nabrzmiała groźnie i wkrótce sparaliżowało mi nogi. Korzystając z wpływu jaki miałem wśród władców, izolowałem się całkowicie w tym ustroniu. Początkowo lękałem się pokazać im moją słabość, lecz właściwie niepotrzebnie, gdyż oni uważali mnie wciąż za cudownego zesłańca.

— W tym tutaj odosobnieniu obudziło się we mnie sumienie. Nieraz chwyciłem broń, by skończyć swój nieszczęsny żywot, lecz obudzone sumienie mówiło mi, że muszę cierpieć za popełnione grzechy. Cierpiałem. Później przyszła rezygnacja, a z nią pewien spokój umysłu. Zająłem się studiowaniem znalezionych dokumentów. Szukałem źródeł pochodzenia tej rasy i jej cywilizacji. Od tego czasu minęły długie dziesiątki lat. Oto cała moja historia.

Zamilkł i podniósł kieliszek do drżących ust.

Portos słuchał ze wzruszeniem tej niespodziewanej, smutnej spowiedzi starca.

Po długim milczeniu, jakie zapanowało po skończonym opowiadaniu starca, pilot zapytał:

— Czy zdołałeś odkryć tajemnicę, jaka otacza ten naród?

Starzec twierdząco pochylił głowę.

— Odkryłem wszystko i zaręczam ci, że to jest najmniej znana i najhardziej wstrząsająca część historii ludzkości. Gzy widzisz tę. metalową skrzyknę? W niej kryje się praca dziesiątków lat głębokich studiów. Tam jest kolekcja najcenniejszych pergaminów, w której jest streszczona dokładnie nieznaną erą przeżyta przez ludzkość. Bezwarunkowo trzeba, by ta skrzynka dostała się w ręce uczonych. Ja te pergaminy odczytałem i wynalazłem klucz do odcyfrowania najstarszych dokumentów.

— Gdy uczeni zbadają to wszystko, jestem przekonany, że ludzkość ocknie się i zarzuci hipokryzję, która jest podstawą obecnego życia. Świat będzie wtedy o wiele szczęśliwszy.

Twarz starca pokryła się lekkim rumieńcem, a oczy błysnęły uniesieniem. Podniósł powoli rękę i wskazał na młodzieńca.

— Ciebie los po to tu skierował, byś zabrał te dokumenty i oddał je uczonym.

— Ja? — wstrząsnął się Portos — Lecz jak ja stąd

wyjde?

— Wyjdiesz! Mówiłem, że dopomogę ci w ucieczce. Historia zawarta w tej skrzyneczce musi być opublikowana. Jest to święty obowiązek, który muszę spełnić. Jeszcze jeden obowiązek nałożę na ciebie.

Tu przerwał i sięgnął cła szuflady, z której wyciągnął małą złotą kasetkę. Położył ją przed Portosem i uchylając wieczko, rzekł:

— Patrz!

Błysk nadzwyczajnych odblasków uderzył wzrok młodzieńca.

— To są brylanty najczystszej wody. Wybrałem, by nie były zbyt wielkie, co uniemożliwiłoby ich sprzedaż. Odłożyłem to wtedy, gdy miałem jeszcze nadzieję wyjścia stąd. Weź je. Ono teraz należą do ciebie.

Portos zbladł.

— Moje? Pan. mi całe to bogactwo daje w podarunku ?!

— Tak, ono należą do ciebie. Wiem, że użyjesz tych bogactw na dobry cel. Lecz poproszę cię o jedną łaskę. Spełnisz w moim imieniu dobry czyn.

Wziął w rękę mały kawałek papieru i cienkim pędzelkiem, umaczanym, w atramencie, szybko nakreślił kilka słów.

— Tutaj masz dwa nazwiska: Tomasz Barreto i Antoni Skiba. Są to nazwiska dwóch ofiar mej zbrodni. Musisz odnaleźć ich rodziny, lub krewnych i rozdać między nich czwartą część wartości, jaką osiągniesz ze sprzedaży klejnotów, które masz w tej szkatułce. Jeśli nie znalazłbyś nikogo, przeznacz tę czwartą część na jakąś dobroczynną instytucję, lub na cele naukowe.

— Czy pan nie powie swego nazwiska ?

— To niepotrzebne. Ty i twoi towarzysze będziecie wiedzieli kto dał, a to wystarczy. Nazwisko nic nie znaczy. Czy mogę liczyć na spełnienie mej prośby?

— Może pan być spokojny — rzekł wzruszony Portos. — Jeżeli zdołamy stąd wyjść życzenie będzie spełnione.

— Dziękuję! — rzekł starzec, opanowany nie mniejszym niż Portos wzruszeniem.

Zwinał papier zawierający nazwiska, włożył go do szkatułki i podał ją pilotowi. Następnie wyciągnął ku niemu prawicę, którą Portos silnie uściskał.

Otrzymałą skrzyneczkę pilot schował do kieszeni spodni i chcąc zmienić temat rozmowy zapytał:

— Ozy nie zechciałby pan opowiedzieć mi czegośkolwiek o pochodzeniu Bogiń Zła?

Starzec oprzytomniał.

— To jest długa historia, lecz, ponieważ mamy przed sobą większą część nocy, opowiem ci wszystko w streszczeniu. Przypuszczam, że się nie znudzisz. Pij wino i słuchaj.

To mówiąc napełnił winem opróżnione kieliszki. Portos w tym czasie lokował się wygodnie w głębokim fotelu, by móc słuchać uważnie jego opowieści.

## ROZDZIAŁ XIV

— Usłyszysz historię najszcześniejszego narodu, jaki kiedykolwiek istniał na kuli ziemskiej. Usłyszysz historię Atlantydy.

— Niegdyś istniał kontynent, który my nazwaliśmy Atlantyda, a który w rzeczywistości nazywał się Eutanos, lub Kraj Zachodni.

— Kontynent ten zamieszkiwał naród, którego zarówno kultura, jak i cywilizacja doszły do szczytowego rozkwitu. Nie ulega wątpliwości, że ludzie, żyjący w tej epoce, zrozumieli dokładnie rację swego bytu i prawdziwe znaczenie słowa „Szczęście”.

— Niestety, dzisiaj ludzkość inaczej rozumie szczęście i dlatego jest zbyt wiele nieszczęść i tragedii na świecie.

— Eutanianie, by osiągnąć uzyskany stopień doskonałości życia, przeszli przez okresy podobne do tych, jakie notuje nasza historia.

— Dokumenty, które tutaj zbadałem, wykazują niezbicie, że i oni przeżyli opoki kamienia łupanego, gładzonego, brązu, żelaza itp. Te dzieje, tak samo jak w naszej historii, okryte są mgłą tajemnicy, którą rozświetlają w pewnym stopniu zapiski kronikarskie powstałe w późniejszych czasach.

— Po nich następuje już prawdziwa historia, omawiająca szczegółowo wszelkie przemiany społeczne i ustrojowo-polityczne.

— Ciekawym jest fakt, że sanskryt zdradza dobitnie swe pochodzenie od języka eutańskiego, a wszystkie bez wyjątku religie współczesne nawiązują, do epok raju i potopu, co nie jest niczym innym, jak tylko podświadomym wgłębianiem się w historię Eutanos.

— Starożytna kultura chińska wyrosła bez wątpienia

na podstawach filozoficznych, które w tych zamierzonych czasach przesaczyły się z Eutanos.

— Późniejsze już czasy nadały całej kulturze Wschodu charakteru materialistycznego, jakiego nie posiadała w najmniejszym stopniu filozofia eutańska, będąca fundamentalną bazą rozwoju umysłowego i materialnego tego kraju.

— Czyżby pan sądził, że w historii Eutanos należy dopatrywać się początków dzisiaj istniejących religii? — zapytał Portos.

— Mam pewność, że tak jest. Nie jest to zbiegiem okoliczności, że wszystkie religie były w swych początkach bardzo do siebie podobne. Różniły się jedynie w szczegółach obrzędów, co nie ma decydującego wpływu na treść.

— Mówię naturalnie o wierzeniach starożytnych, mając na myśli wierzenia Asyrii, Babilonii, Fenicji, Egiptu itp.

Jeśli wgłębimy się w zasady bramanizmu, będącego najstarszą z dziś istniejących religii świata, sięgającego swymi początkami na kilkanaście tysięcy lat przed narodzeniem Chrystusa, łatwo dostrzeżemy jego szalone podobieństwo do religii Kraju Zachodniego.

Bramanizm ulegał stopniowo przemianom i wypaczeniom. Około V wieku przed Chrystusem w jego łonie powstaje ruch reformatorski, mający na celu oczyszczenie go z naleciałości i wypaczeń. W ten sposób powstaje buddyzm, o którym wiemy, że jest jedyną bodajże religią nie mającą charakteru agresywnego.

— Kapłani Brahmy prześladowali buddyzm. Udało się im usunąć go niemal całkowicie z terenu Indii, ale nie udało się zniszczyć go. Buddyzm opanowuje Burmę i cały niemal daleki Wschód i trwa dalej. Dziś liczy on około sześciuset milionów wyznawców w porównaniu do około dwustu milionów braministów.

— Rozgadałem się tak o tych religiach — ciągnął dalej starzec — gdyż one właśnie są niemal wiernym obra-

zem wierzeń Eutanian. Buddyzm nie jest niczym innym jak tylko nawrotem do wierzeń kraju, który myśmy nazwali Atlantyda. Naturalnie religia Eutanian stała na daleko wyższym poziomie etycznym niż buddyzm, na który wywierały stały wpływ inne wierzenia, oddalające go od idealnego wzoru.

— Cechą religii Eutanian była głęboka wiara w Boga-Stwórcę i wstręt do zła. Ludzie ci praktykowali jedynie dobro: Nie mieli żadnych pisanych praw i nie znali stanu kapłańskiego.

— Z biegiem lat poczucie dobra tak rozwinęło się w tym narodzie, że zło znikło prawie zupełnie. Zło, w pojęciu Eutanian, było nieestetyczne a oni będąc narodem wysoce utalentowanym, uważali estetykę za fundamentalną zasadę życia. Można powiedzieć, że doszli do moralnej doskonałości.

Początki istnienia tego kraju giną, jak już powiedziałem, w otchłani czasu. Zanim dobro zapanowało niepodzielnie. Kraj Zachodni był widownią strasznych wojen, trwających tysiące lat.

Ówczesne wojny, tak jak i dzisiejsze, wywoływane były pozornie w obronie wzniosłych ideałów, a w rzeczywistości miały na celu zaspakajanie osobistych ambicji przywódców, lub zabezpieczenie lepszego bytu jednego narodu kosztem innych.

W okresie tych wojen i walk technika dokonywała szalonego postępu. Lata pokoju, dzielące dwie wojny, rozwijały za każdym razem kulturę materialną. Osiągnięcia techniczne z okresu wojen służyły następnie pokojowemu rozwojowi państwa, przygotowującego równocześnie nowe środki walki, za każdym razem bardziej mordercze i barbarzyńskie.

Wyrastały piękne miasta, by w wojennej zawierusze obrócić się w gruzy, na których odbudowywano je bardziej nowocześnie, zgodnie z najnowszymi osiągnięciami techniki. Stopniowo zaczęła narastać wśród Eutanian świadomość



mość, że tylko pokojowe współzycie może zapewnić prawdziwy rozkwit wewnętrzny. Pogląd taki zaczął nurtować we wszystkich warstwach społecznych zyskując sobie coraz więcej zwolenników.

Na przygotowanym w ten sposób gruncie ukazała się postać reformatora Raminata.

Genialny organizator, głęboki myśliciel, wspaniały mówca, opanowany całkowicie ideą pokojowego współzycia, doszedł szybko do najwyższych godności w jednym z państw nie istniejącego dzisiaj kontynentu.

Doszedłszy do władzy zgrupował wokół siebie liczny sztab naukowców i nakazał mu badawcze prace, mające na celu wynalezienie nowej, straszliwej broni, pod groźbą użycia której mógłby narzucić idee federacyjne sąsiednim mocarstwom.

Dwa lata żmudnych prac naukowych, połączonych z tysiącami prób i doświadczeń dały pożądaną rezultat.

Raminato stał się, jedynym w ówczesnym świecie, posiadaczem tajemniczej, straszliwej broni.

Następne trzy lata poświęcił na opanowanie władzy w sąsiednich państwach.

Początkowo rządził wszędzie po dyktatorsku, niszcząc bezwzględnie wszelkie ośrodki oporu. Zdając sobie jednak sprawę, że rządy żelaznej ręki, karzącej bezlitośnie wszelki sprzeciw, mogą wywołać jedynie niepożądaną reakcję, nie zaniedbywał wysiłków, których celem było jak najszybsze poprawienie doli obywateli i podciągnięcie stopy życiowej na najwyższy możliwy poziom.

Następne lata przysparzały mu zwolenników we wszystkich warstwach społecznych.

Zlikwidowane wydatki na Utrzymanie i wyposażenie wojska, stanowiące poprzednio bardzo poważny odsetek budżetów poszczególnych państw, pozwoliły na błyskawiczne niemal polepszenie bytu obywateli.

Na straży pokoju stała jedna armia, którą stanowiły zreorganizowane siły zbrojne ojczyzny Raminata, ślepo

wpatrzone w swego wodza, dzięki wierze w kryształowość jego intencji.

Kilkanaście lat wystarczyło w zupełności, by kilka wciąż walczących ze sobą państw zcementować w jeden organizm administracyjny, którego ludność, żyjąca obecnie w dobrobycie i spokoju, z odrazą i wstrętem wspominała minione czasy.

Tak powstał Kraj Zachodni.

Zło nie zostało jednak odrazu wykorzenione. Raminato, w początkach swego panowania, wprowadził szalenie srogi wymiar kar za wszelkie przestępstwa. W większości wypadków zbrodni, lub poważniejszych przestępstw stosowano karę śmierci.

System srogich kar powstrzymał cały szereg ludzi od wykroczeń, jednak nie zlikwidował przestępczości.

Osiągnąwszy jej ograniczenie do nielicznych stosunkowo wypadków Raminato wydał dekret, znoszący karę śmierci i zastępujący ją zsyłaniem przestępców do bezludnych zamorskich kolonii.

Zesłańców zaopatrywano we wszystko, co było potrzebne do życia i tak wyposażonych wysyłano w odległe kraje, zamykając im wszelką możliwość powrotu.

W koloniach skazańcy rządzili się sami, bez najmniejszej ingerencji władz Kraju Zachodniego, dla których przedstawiali oni po prostu istnieć.

Ponieważ z przyczyn, które trudno wyjaśnić, większość zesłańców stanowiły kobiety, w koloniach, będących nową ojczyzną dla zbrodniarzy, zwyrodnialców, zboczeńców i wszelkiego rodzaju przestępców ustalił się matriarchalny system rządów. Fizycznie Eutanianie byli pięknymi typami ludzi. Zdrowotność, na skutek wysoko postawionej wiedzy medycznej, była wspaniała. Nic więc dziwnego, że i eutańscy przestępcy zachowali piękność i byli wprost okazami siły i zdrowia.

Raminato u schyłku swego życia przekazał władzę zdawną już przygotowanemu następcy, zapewniając w ten

sposób spokojny rozkwit i trwałość swemu dziełu.

Władza w tym państwie przekazywana była w ten sposób przez wiele stuleci, aż wreszcie kataklizmy położyły kres jego istnieniu.

Masy wód oceanicznych zalały prawdziwy raj, jaki ludzkość zdołała stworzyć na ziemi. Do dziś zazdrosny żywioł strzeże ukrytych na dnie tajemnic, które świat nam współczesny traktuje jako mało możliwe hipotezy, względnie za szeregowie, na równi z opowiadaniem o smokach i żelaznym wilku, do świata baśni i legend.

Jedyną pozostałością po zaginionych lądach jest to właśnie państwo Bogiń Zła, będących potomkami przestępców zsyłanych do kolonii, które częściowo przetrwały kataklizmy.

Tak więc po kraju, który osiągnął szczyty etyczne, pozostały nam w spadku jedynie przepiękne typy ludzi, będących ucieleśnieniem zła.

— Teraz rozumiem wszystko — odezwał się Portos. — Dalsze dzieje, a więc historię połączenia się Bogiń Zła z Władcami Przestrzeni znam już z opowiadań Józefa.

— Zostało nam jeszcze trochę czasu — odezwał się znów starzec. — Chciałbym więc, byś zapoznał mnie pokrótce z wydarzeniami światowymi, jakie zaszły w okresie mego tutaj pobytu.

— Z najwyższą przyjemnością uczynię to! — rzekł Portos — Muszę jednak zaznaczyć, że w czasie, gdy pan ciągnął swe opowiadanie, wielokrotnie nasuwały mi się na myśl zupełnie analogiczne sytuacje, zachodzące w naszym świecie. Wystarczyłoby nieraz podstawić jedynie aktualne nazwy geograficzne i nazwiska, by uzyskać wierne zobrazowanie stosunków panujących obecnie.

— Niestety te analogie — ciągnął Portos — znajdowałem jedynie wtedy, gdy mówił pan o złych stronach tego mitycznego kraju. Historia się powtarza, zwykło się u nas mówić, ale ja widzę obecnie, że powtarza się szczególnie w swych ciemnych fragmentach.

— Tak, chłopcze! Tak! — powiedział starzec — Zło jest zaraźliwe i bardzo trwałe, gdyż idzie ono po linii najniższych instynktów człowieka i zaspakaja je. Dobro zaś wymaga przeciwstawiania się życiowej łatwiźnie i tym samym da się wprowadzać w czyn jedynie przy stałej walce z sobą samym.

— Otóż w roku 1914 — zaczął swe opowiadanie Portos — wybuchła wielka wojna światowa, spowodowana niemiecką zachłannością i wciąż żywą chęcią narzucenia swej woli innym. Przeciwny obóz stanowiła Francja, Anglia, Rosja, a następnie przyłączyły się Włochy i Stany Zjednoczone.

— Wynikiem tej wojny, która trwała, cztery lata, była klęska Państw Centralnych, a więc Niemiec, Austrii i ich drobnych satelitów.

— Rosja przestała być stroną walczącą jeszcze przed zakończeniem działań wojennych, a to na skutek rewolucji, jaka za sprawą Niemiec, wybuchła w tym kraju. Rodzina Cesarska została zamordowana, a w formalnych rzeziach straciło życie wiele tysięcy niewinnych istot. Komuniści, którzy wywołali rewolucję, masowo rozstrzeliwali i mordowali ludność, w wielu wypadkach tylko dlatego, że w okresie caryzmu nosiła całe buty.

— Wpadające do domów bojówki komunistyczne bardzo często podsuwały napotkanym domownikom jakiś papier do podpisu. Jeżeli napadnięty podpisywał go, lub nawet jedynie czytał, stanowiło to w ich pojęciu dowód, że nie nie będąc analfabeta, należy do burżuazji, która wyszukiwała robotnika. To było wystarczającym uzasadnieniem bestjalskiego mordy, jakiego dokonywano na całej rodzinie nie szczędząc nawet niemowląt.

— Komuniści, opanowawszy władzę w Rosji, zaczęli snuć marzenia o podboju całej Europy. Droga na Zachód wiodła, przez Polskę, która po półtorawiekowej niewoli użyła w roku 1918 niepodległość.

— Odradzające się państwo Polskie postanowiło bro-

nić dopiero co odzyskanej wolności. Rozpoczęła się wojna, w której niezliczone hordy rosyjskiego i azjatyckiego żołdactwa podeszły do bram stolicy Polski — Warszawy.

— Bohaterska postawa narodu Polskiego, bitność żołnierza i talent dowódców, zdecydowały o dalszych losach wojny, a tym samym o losach Europy. Od dnia przełomowej bitwy pod Radzyminem, którą Anglik, lord Aberon, nazwał osiemnastą decydującą bitwą w historii świata, niezliczone armie bolszewickie wycofywały się w popłochu, dziesiątkowane przez polskie dywizje, które przeszły do skutecznej ofensywy.

— Wojna ta nie pozwoliła rozlać się czerwonej zaradzie na zachodnią Europę, będącą po wieloletnich zmaganiach wojennych, podatnym gruntem dla komunizmu.

— Po wojnie nastąpiły próby stworzenia podstaw harmonijnego i zgodnego współżycia europejskich narodów. Powołano do życia organizm międzynarodowy, który nazwano Ligą Narodów. Niestety! Sielanka nie trwała długo, jeśli wogóle to eo było, można nazwać sielanką.

Po latach głębokiego kryzysu ekonomicznego, jaki zapanował na całym świecie, zaczęły na nowo gromadzić się groźne chmury. Pokonane Niemcy, w których doszedł do dyktatorskiej władzy Adolf Hitler, zaczęły pod jego przewodnictwem dążyć do odwetu. Gwałciły jeden po drugim, międzynarodowe traktaty i wreszcie w roku 1939 rozpiętały na nowo burzę, korzystając z pomocy bolszewików. Znowu ofiarą padła Polska, zaatakowana z dwóch stron przez potężnych sąsiadów.

— Zgodna współpraca dwóch zbrodniarzy nie trwała długo. Poróżnili się i w roku 1941, gdy cała zachodnia Europa była już we władzy Hitlera. Wojska niemieckie uderzyły na Rosję.

— Rok 1945 przyniósł z sobą zakończenie działań wojennych, lecz niestety nie zakończenie wojny. Stan, w jakim znajduje się obecnie świat, jest w rzeczywistości dalszym ciągiem wojny, tym razem pomiędzy komunistyczną Rosją,

a wolnym, demokratycznym światem, ze Stanami Zjednoczonymi na czele. Należy przypuszczać, że lada moment zimna wojna może przerodzić się w normalną barbarzyńską rzeź.

— Nie będę opowiadał o totalistycznych ustrojach Niemiec i Włoch, gdyż zginęły one wraz z ich przywódcami, ale chciałbym, choć w kilku słowach, zorientować pana w kwestii komunizmu, który zagraża dziś całemu światu.

— Ideologia komunistyczna, oparta na filozofii materialistycznej, będącej zaprzeczeniem kultury chrześcijańskiej, nie może liczyć na poparcie ludzi, posiadających wyraźny pion moralny. Aby więc przywabiać czymś masy, szermuje kłamliwymi hasłami, które pociągają wielu ludzi, żyjących w ciężkich warunkach materialnych. Rosja sowiecka jest teoretycznie krajem, w którym decydujący głos ma chłop i robotnik. W rzeczywistości nie ma i nie było drugiego kraju na świecie, w którym by chłop i robotnik cierpiał taką nędzę i wyzysk.

— Człowiek jest tam drobnym trybem, którego nie warto nawet ochraniać przed przedwczesnym zużyciem, wobec olbrzymiego zapasu rezerwowych trybów.

— Zniesiono własność prywatną, więc jedynym pracodawcą jest państwo, a ściślej mówiąc grupa ludzi, rządząca tym państwem, mająca na swe usługi dobrze płatne i uzbrojone oddziały policji politycznej, daleko potężniejsze od wojska. Obywatel jest przywiązany do miejsca i rodzaju pracy tak, jak dawniej, w okresie pańszczyzny, chłop był „Glebae adscriptus”.

— Miejsce wymordowanej inteligencji zajęła klasa wywodząca się, w wielu wypadkach, z dawnych kryminalistów, których rewolucja wypuściła z więzień i wyniosła do wysokich godności.

— Tak jak w pańskim opowiadaniu Raminato, tworząc Kraj Zachodni podciągnął stopę życiową na najwyższy możliwie poziom, tak w Rosji zastosowano równanie w dół, wychodząc z założenia, że głodny nędzarz nie będzie myślał

o przewrocie, a o chlebie. Gdy więc z łaski władców dostanie kromkę chleba, będzie szczęśliwy.

— Kompletna izolacja narodu, oraz propaganda głosząca, że poza granicami Rosji panuje nędza, głód i wyzysk ludzi pracy przez nielicznych kapitalistów, dopełniają reszty. Obywatel sowiecki zna życie świata demokratycznego jedynie z ust propagandzistów, nic więc dziwnego, że, aczkolwiek głodny, uważa się często za szczęśliwego od innych, a odpowiedzialność za cierpienia i niedolę przypisuje, zgodnie z głoszoną propagandą, wolnemu światowi, czyhającemu na wprzęgnięcie i jego rąk do pracy dla dobra grupy kapitalistów — wyzyskiwaczy.

Perfidni władcy Moskwy gnębią bezwzględnie swych obywateli, a jednocześnie wydają miliardy na propagandę komunizmu poza granicami Związku Radzieckiego i tworzenie tam piątych kolumn.

Komunista amerykański, francuski, czy hiszpański, przekonany jest, że w Rosji panuje dobrobyt i sprawiedliwość społeczna dzięki tym właśnie miliardom wyciśniętym z robotnika rosyjskiego i wydanym na propagandę, oraz dzięki stosowaniu innego komunizmu na eksport propagandy, a innego na wewnętrzny użytek w steroryzowanym kraju.

Starzec smutnie się uśmiechał, słuchając opowiadania Portosa i wreszcie rzekł:

— Może ta wojna, która się zbliża położy kres nieprawościom i pozwoli ludzkości rozumieć prawdziwą rację życia.

Chętnie słuchałbym dalej twego opowiadania, ale na ciebie już czas. Musisz powrócić do twych przyjaciół i wraz z nimi pilnować dziewczyny. Nie opuszczaj jej ani na moment i strzeż się Boba, gdyż on może być użyty w każdej chwili jako broń przeciwko wam. On zaprzedał się tym szatanom całkowicie.

To mówiąc uderzył w gong, na którego odgłos zjawił się sługa.

— Życzę ci szczęścia! — rzekł starzec — Ten sługa odprowadzi cię do twych apartamentów. Czekał na wiadomość ode mnie!

— A pan? — zapytał Portos.

— Moje życie jest skończone — rzekł ze smutnym uśmiechem starzec. — Mam nadzieję, że już odpokutowałem za moje winy. Dziś jestem starcem i niedołężnym kaleką. Nie mam możliwości ucieczki. Usiłowania wybawienia was będzie koroną mojego pokutniczego żywota. Spełnij tylko moje życzenie!



## ROZDZIAŁ XV

Portos, wróciwszy do apartamentu, zastał towarzyszków, oczekujących go niecierpliwie od wczesnego poranka. Obawa o jego los nie pozwoliła im zmrużyć oczu w czasie nocy. Szalenie zaniepokoiła ich jakaś dziwna, dotychczas niespotykana, nocna biegania strażników po korytarzach. Józef, doskonale znający miejscowe zwyczaje, miał złe przecucie. Ten dziwny ruch na korytarzach rozpoczął się poprzedniego dnia, zaraz po odejściu Portosa na tajemniczą próbę.

Józef poradził Dorze spoczynek, ale sam, wraz z Quipeltem został na straży czuwając i obserwując ruchy przez całą noc.

Przybycie Portosa dodało im otuchy. Otavio korzystając z głębokiego snu Dory postanowił podzielić się z towarzyszami wiadomościami, uzyskanymi w czasie nocy.

Powtórzył wszystko, czego dowiedział się od starca nie zapominając nadmienić o możliwej zdradzie ze strony Boba.

Indianin słuchał wszystkiego z zupełnym spokojem, jednak Józef nie mógł się powstrzymać od okazania swego oburzenia.

— Kanalia! Nikczemnik! Boże mój, niech ja go nie spotkam na swej drodze, gdyż gotów jestem utopić nóż w tym zdradzieckim sercu!

— Tylko spokojnie! — rzekł Portos kładąc mu dłoń na ramieniu — Nie powinniśmy przestraszać Dory. Gwałtem niczego nie dokonamy. Czym więcej Bob będzie im potrzebny do ich haniebnych planów, tym bardziej będą go chronić. My przeciwko sile i chytryści siłą nie damy rady. Nic nie będziemy zaczynać, dopóki starzec nie przyśle nam obiecanych wskazówek.

Quipelt energicznym skinieniem głowy potwierdził słowa pilota, ale Józef, aczkolwiek całkowicie przekonany logicznymi argumentami, nie przestawał kłać.

— Co do diabła, Józefie! — rzekł Portos — Tyle lat spędziłeś tutaj, zawsze w niebezpieczeństwie, a teraz tak ci trudno o spokój. Patrz, jak Quipelt spokojnie patrzy na wszystko. Pomyśl co by się stało, gdybyśmy nie wiedzieli o możliwej zdradzie Boba. Teraz, gdy jesteśmy o tym uprzedzeni, mamy znacznie więcej możliwości uniknięcia niebezpieczeństwa.

— To prawda, że Bob traci głowę na widok złota — ciągnął dalej Portos — ale jest różnica między chciwością, a zdradą. W każdym razie dobrze, że Bob nie wie o istnieniu Quipelta i o pomocy starca, na którą możemy liczyć.

Józef wysłuchiwał słów Portosa, lecz gdy ten zamilkł postanowił zaznajomić go ze swoim punktem widzenia, który z przyczyn zasadniczych chciał dotychczas zachować dla siebie.

— Bardzo pana przepraszam, panie Portos. Zupełnie się zgadzam, że wszystko, co pan ostatnio powiedział, jest logiczne i przekonujące, ale pan nie zna siły tych podłych szatanów, a poza tym — przepraszam za szczerłość — nie zna pan stanu, w jakim znajduje się umysł tego młodzieńca.

Portos, nic nie rozumiejąc, spojrział pytająco na Józefa i po chwili rzekł:

— Znam słabe strony Boba; powtarzam jednak, iż nie przypuszczam, by on mógł popełnić jakąś nikczemność. Pomimo wszystko jest to człowiek kulturalny. Uważam, że najlepiej zostawić w tej chwili tę sprawę.

To mówiąc spojrział uważnie na Józefa, a widząc jego powątpiewającą minę dodał:

— Wreszcie o co ci chodzi? Mów śmiało!

— Jest to sprawa bardzo delikatna, lecz niestety muszę ją poruszyć. Pan, panie Portos, chce oceniać ludzi według własnego charakteru, który jest bez zastrzeżeń pra-

wym. Proszę mi wybaczyć, ja nie mam zamiaru schlebiać panu. Ja, jako w pewnym sensie osoba postronna, wiele spraw widzę bardziej realnie niż pan. Ja doskonale sobie zdaję sprawę dlaczego jest on gotów popełnić najgorsze nawet występki. To nie złoto, nie!

— A co? — zapytał niecierpliwie Portos.

— To zazdrość! — wyszeptał Józef.

— Zazdrość? Bob? — szeptał zmieszany pilot.

Józef pilnie obserwował jego twarz, a gdy doszedł do wniosku, że Portos zrozumiał zaczął ciągnąć dalej.

— Młody człowiek jest słaby, więc musi być zarozumiała. Pana nienawidzi. Nienawiść ta wyrosła z jednej strony na tle poczucia własnej niższości, a z drugiej podsykana jest przez zazdrość. Nienawidzi pańskiej odwagi osobistej, gdyż sam jej nie ma. Nie czuje on żadnego głębszego sentymentu do Dory, ale zazdrości panu zachwyty i uwielbienia, jakimi ona pana darzy. Uczucie Boba w stosunku do pana jest tak silne, że nie zawaha się on przed żadną nikczemnością. On jest gotów świadomie poświęcić dziewczynę, by tym mógł pana śmiertelnie zranić. Dlatego więc, wierząc w pomoc starca, mam ochotę unicestwić nikczemnika. Jego chęć zemsty łączy się z planem osiągnięcia bogactw. On wie dobrze, że będzie w przykrew sytuacji, gdy po upływie sześciu miesięcy wróci bogatym, a ludzie dowiedzą się w jaki sposób te bogactwa zdobył. Właśnie dlatego, że on wierzy w swój **powrót** nie chce mieć świadków.

Portos niemal bezmyślnie słuchał ostatnich słów Józefa. W głowie miał formalną burzę. Kochał Dorę ponad życie, ale nigdy nie myślał, że ona może żywić dla niego coś więcej niż przyjaźń, sympatię, a w najlepszym wypadku, w związku z warunkami w jakich się znaleźli, jakąś życzliwą wdzięczność. Ale żeby go kochała... Nie! To niemożliwo. Nie czuł się godnym tak wielkiego szczęścia. Teraz dopiero słowa towarzysza otworzyły mu na wszystko oczy. Ta cudowna wizja oszołomiła go. Teraz dopiero rozumiał spojrzenia Dory, jej uśmiech i słowa, które przed

tym traktował jako zwykłą przyjaźń ludzi, znajdujących się we wspólnym nieszczęściu. Tak! To wszystko znaczyło, że Dora go kocha.

Serce biło mu pośpiesznie. Zrozumienie tego wszystkiego wywołało uśmiech na jego twarzy. Dotknął w pewnym momencie kieszeni z ukrytą w niej szkatułką. Tak! Teraz jest bogaty. Nie ma żadnych przeszkód, które mogłyby pozabawić go prawa zdobycia ukochanej. Czuł, że nie istnieje dla niego niebezpieczeństwo.

Z marzeń wyrwał go brzęk naczyń przyniesionych przez Quipelta.

— Dziękuję ci przyjacielu — rzekł do Józefa. — Dzięki tobie wiele zrozumiałem. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak w tej chwili. Zobaczysz, że teraz potrafię walczyć jak nigdy dotąd...

Dalsze słowa przerwał mu wesóły okrzyk, wchodzącej właśnie do pokoju Dory.

— Otavio! Jak to dobrze, że już wróciłeś! Jakże jestem szczęśliwa!

Z twarzyczką zarumienioną jeszcze ze snu, z błyszczącymi ze szczęścia oczami zbliżyła się uśmiechnięta do pilota i wyciągnęła ku niemu rękę.

Portos, pozostający wciąż pod wrażeniem rozmowy z Józefem, zaskoczony jej nagłym wejściem, nie mógł wymówić jednego słowa. Dora nie zauważyła jego zmieszania i zasypywała go pytaniami, szczęśliwa, że widzi go przy sobie całego i zdrowego. Nagle w pewnej chwili przerwała gawędę i z niepokojem w głosie zapytała:

— A Bob? Jeszcze nie wrócił?

— Niezadługo się zjawi — powiedział Józef spoglądając porozumiewawczo na Portosa. — Oczekując na niego skorzystajmy z darów Bożych tak artystycznie ułożonych przez Quipelta.

— Ale dlaczego nie wrócił? Przecież powinien być z powrotem wczoraj!

— Panno Doro! Nie ma powodu lękać się o niego! —

dowodził Józef.

Portos w tym czasie starał się uspokoić i uporządkować swe wzburzone myśli.

— Mamy od niego wiadomości, na podstawie których oczekujemy go lada moment — uspakajał dalej Józef.

— Dobrze! — zawołała uspokojona już młoda dziewczyna — Przygotujcie mi moje miseczki i czekajcie na mnie. Poprawię trochę włosy, bo wyglądam jak czarownica i Zaraz wracam. Przy jedzeniu opowiesz nam, Otavio, szczegóły swych nocnych przeżyć.

Portos, korzystając z chwilowej nieobecności Dory, uprzedził Józefa i Quipelta, że pewnych rzeczy nie trzeba mówić w obecności Dory.

— Pamiętajcie, że Bob, gdy się zjawi, nie powinien odczuć, że hm nie dowierzamy. Czy knuje on jakąś zdradę, czy nie, jego nieświadomość będzie poważnym atutem w naszych rękach.

— Zupełnie słusznie! — zauważył Józef.

Quipelt kiwnięciem głowy przyznał rację Portosowi, nie odzywając się jednak ani słowem.

— No! Teraz opowiedz nam tve nocne przygody! — rzekła wchodząca Dora — Jestem strasznie ciekawa.

Portos zaczął więc opowiadać o fantastycznych skarbach, o pochodzeniu tej szatańskiej rasy, ale nie wspomniał słowem o ostrzeżeniach starca, skierowanych pod adresem Boba. Nie mówił także o próbach jakim został poddany. Mimo wszystko opowiadanie było długie i interesujące. Przerwały je stałe okrzyki i zapytania słuchaczy.

Nagle Otavio przerwał opowiadanie. Usłyszał brzęk broni na korytarzu. Jeszcze chwila, a rozsunała się portiera i grupa uzbrojonych żołnierzy wprowadziła Boba.

Na podany przez dowódcę rozkaz żołnierze wycofali się z pokoju, pozostawiając w nim młodego człowieka, patrzącego na swych towarzyszków z widocznym zmieszaniem.

— Bob! Bob! Wreszcie wróciłeś"! Ja się tak strasznie bałam o ciebie! Chodź, zjedz cokolwiek i szybko opowiadaj

co się z tobą działo! — mówiła rozradowana Dora.

Na wargach Boba ukazał się jakiś bardzo wymuszony uśmiech

— Jak się, macie, panowie? — zawołał ze sztuczną wesołością, w której dawał się wyczuć fałsz.

Dora, szczerze zadowolona z powrotu Boba, nie była w stanie zaobserwować zmian w jego zachowaniu się, lecz Portos i Józef, poinformowani o załamaniu się Boba w czasie nocnej próby u arcykapłana, dostrzegli wyraźnie wiele szczegółów, które utwierdziły ich w przekonaniu, że Bob przestał już być ich towarzyszem.

— Naprawdę, panie Schmidt, byliśmy zaniepokojeni tak długą nieobecnością pana — rzekł pilot, wspaniale ukrywając swe prawdziwe uczucie poza maską serdecznego uśmiechu. — Uspokoił się nieco, gdy Józef przyniósł od pana wiadomości. Chwała Bogu wszystko się dobrze skończyło, ale nie powinien pan tak ryzykować.

Bob zwrócił się nagle do Józefa obrzucając go groźnym spojrzeniem.

— Jaką Wiadomość otrzymałeś ode mnie?

Nieprzygotowany na to pytanie Józef zmieszał się, lecz Portos natychmiast, pośpieszył mu z pomocą.

-- To jeden z Władców Przestrzeni kazał Józefowi zakomunikować nam, że pan czuje się dobrze, że pan zwiedza ich mieszkania i wróci do nas dzisiaj.

Bob odetchnął:

— Przebaczcie mi moje zdenerwowanie, lecz rozumiecie... Kto przeżył dwie noce z tymi szatanami, wciąż sam i pełen troski o swych towarzyszków...

— Biedaczek! — przerwała Dora ze współczuciem — No, ale już się wszystko skończyło. Dobrze zrobiłeś, żeś ich poznał z bliska. Teraz opowiadaj co tam widziałeś.

Bob spojrział niedowierzająco na Portosa.

— Pewnie Otavio opowiedział ci już o przebiegu całej ceremonii, bo przecież spędził tam całą dzisiejszą noc. Bądź pewna, że pierwszą noc spędziłem tak jak i on... i

napewno postępowałem jak on... Wczoraj łąziłem cały dzień zwiedzając różne zakątki tej przeklętej góry, a w nocy... uczestniczyłem w tym ich straszliwym bankiecie. To i wszystko.

— Ależ Bobie! Nie bądź tak tajemniczym! — rzekła Dora — Mów bardziej drobiazgowo. Jestem gotowa usłyszeć jeszcze raz to, co opowiadał Otavio. To jest tak zajmujące! A przy tym muszą być inne szczegóły, o których nie wiemy, na przykład — życie prywatne tych szatanów.

Teraz Bob był już zupełnie wyraźnie zmieszany. Zwrócił wahający wzrok ku drzwiom i zwilżając językiem zeschnięte wargi rzekł:

— Bądź cierpliwa, Doro. Później opowiem ci wszystko. Teraz muszę... No, teraz chcę wypełnić moją misję, jaką mnie obdarzono.

Portos badawczym okiem spojrzał w błędzące oczy młodzieńca.

— Jaką misję? — zapytał.

Bob stawał się coraz bardziej nerwowym.

— Kazali mi, bym wam coś zaproponował. Rozumiecie? Nie mogłem się od tego wykręcić. Tam na korytarzu czekają na odpowiedź.

Dora spojrzała wyraźnie zaniepokojona.

— Dobrze! Więc o co chodzi? — zawołała — Przecież wiesz dobrze, że nie jesteś zobowiązany odpowiadać za ich idiotyczne propozycje. Rolę pośrednika, rzecz prosta, musiałeś przyjąć. Nie bądź taki nerwowy i gadaj!

— Naturalnie! Mów co masz do powiedzenia! — przytaknął ironicznie Portos — Nie wiem dlaczego oni osobiście nie przedstawią nam swych propozycji? W każdym razie jesteśmy gotowi, by usłyszeć co masz do powiedzenia.

Zmieszanie Boba zwiększyło się jeszcze. Ręce zaczęły ran się trząść, a wargi wyraźnie drżały, utrudniając spokojne wypowiedzenie swych myśli.

— Oni się ciebie boją, Portos i chcą uniknąć wszelkich

komplikacji.

— Ja sobie wyobrażam jakiego rodzaju będzie ta propozycja ! — wybuchnął Józef nic mogąc dłużej ukryć swego oburzenia.

— To prawda, że jest dziwna. Mam stanowczy rozkaz, bym... osobno to zakomunikował Dorze, a osobno tobie.

Portos poczuł podstęp i zadrżał z gniewu.

— Słuchaj! — rzekł siłąc się na spokój. — Dostyc kółowania! Nie złapiesz nas! — i chwytając Boba za ramię dodał: — Chcesz nas rozłączyć z Dorą? Dlaczego? Mów, zanim stracę cierpliwość!

Rzęsiste krople potu zrosiły czoło Boba; w oczach zabłysło mu przerażenie spowodowane groźną postawą pilota.

— Ja... Ja... nie... nie wiem! — markotał. — Oni mi rozkazali...

— Daj spokój, Otavio, zostaw go! — wmieszała się Dora, nie mogąc zrozumieć podniecenia pilota — Co on jest winien ? Cóż wreszcie w tym jest złego, że chce mi coś powiedzieć na uboczu? Później będziemy mogli rozpatrzyć sprawę wspólnie.

— Ja wiem co robię! — odpowiedział pilot. — Nie wyjdziemy pod żadnym pozorem z tej sali. Nie zostawimy cię samej na łasce jakieś uplanowanej zasadzki. Jeśli ma coś do powiedzenia, niech mówi tutaj!

— Dora niespokojnie spojrzała na drzwi.

— Dobrze! — zawahała się — Jeżeli tak, to zostańcie tutaj na straży, a ja z Bobem pójdę do mojego pokoju. Tam mi nie grozi żadne niebezpieczeństwa.

Portos skomunikował się wzrokiem z Józefem. Wahał się.

— Hm... Wolałbym się z tobą nie rozstawać.

Dorę to zabawiło.

— No, mój kochany, nie przesadzaj! Co mnie złego może spotkać w towarzystwie Boba i to w dodatku w odseparowanej i strzeżonej komnacie? Chodź, Bob! Załatwi-



my szybko i wrócimy.

— Dobrze. Będziemy koło drzwi gotowi na wszystko. Jest nas trzech. Jesteśmy uzbrojeni.

Rob ze dziwieniem spojrział na Quipelta.

— Kto to jest? Czy to nie służący?

— Nie! — odpowiedział dobitnie Portos — To jest przyjaciel! Możesz iść! Jeżeli zauważysz jakieś niebezpieczeństwo — dodał zwracając się do Dory — to natychmiast nas wołaj.

Trudno sobie wyobrazić błysk zadowolenia, jaki przemknął się w oczach Boba, gdy wraz z Dorą zniknął za kotarą, wiodącą do jej pokoju.

Portos, Józef i Quipelt stanęli przy drzwiach. Byli zaniepokojeni. Portos robił sobie wyrzuty, że uległ, ale właściwie nie widział żadnego niebezpieczeństwa. Pomimo wyrzutów uważał swój niepokój za całkowicie nieuzasadniony.

Chwile mijały w absolutnej ciszy. Nagle rozchyliła się kotara przy głównym wejściu i weszła niewolnica, służka świątyni. Rzuciła kawałek papieru na środek sali i znikła.

Portos porwał kartkę i drżącym głosem, blady, czytał towarzyszom treść notatki arcykapłana:

— Postanowili porwać dziewczynę. Nie rozstawajcie się z nią ani na chwilę. Bob zdradził. Czekać na dalsze wiadomości.

— Zdrada!!! — krzyknął Portos i rzucił się jak szalony ku pokojowi Dory. Towarzysze pośpieszyli za nim.

Wpadli do środka, zatrzymali się i stwierdzili z przerażeniem, że pokój był... pusty.

## ROZDZIAŁ XVI

Portos ryknął rozpaczliwie. Zaczął zrywać kotary i portiery w przekonaniu, że znajdzie drzwi, którymi wyprowadzono Dorę. Józef i Inkas pomagali mu klnąc straszliwie Władców i zdrajcę, Boba.

Quipelt pierwszy przerwał te bezużyteczne poszukiwania :

— Nic! — rzekł, patrząc na gołe już ściany — Drzwi dobrze ukryte. Nie znajdziemy!

— Na próżno tracimy czas! — zawołał Józef — Ci przekłęci już muszą być daleko. Zdrajca ! Oddał im dziewczynę !!! Och! Ja złapię nikczemnika! Muszę dostać tego zbrodniarza w moje ręce!

Quipelt rzucił baczne spojrzenia na Wszystkie strony. Coś obmyślał. Na twarzy jego widać było skupienie i troskę.

— Korytarz przechodzi tędy — rzekł wskazując na jedną ze ścian. — Napewno wyszli na korytarz! — To mówiąc pobiegł do wspólnej sali.

— Prawda! Kto wie, może jeszcze nie są daleko! — zawołał Józef biegnąc za Indianinem.

Portos został sam i nadal usiłował odnaleźć na ścianie jakiś ślad tajnego przejścia. Był nawpół przytomny. Z tego stanu wyrwał go okrzyk Józefa i odgłosy walki.

Wpadł do pokoju właśnie w chwili, gdy grupa żołnierzy znikła za kotarą, ciągnąc za sobą, rozpaczliwie broniących się, Józefa i Quipelta.

Otavo rzucił się na pomoc, lecz za kotarą, którą raptownym ruchem rozchylił natrafił nie na przejście, a na solidną brązową ścianę, która, wysunawszy się z bocznej frezy w futrynie, zamknęła przejście. Usiłował wzruszyć tę przeszkodę, lecz okazała się zbyt silną. Zaczął szukać mechanizmu wprawiającego ją w ruch. Niestety, nie znalazł.

Został sam. Pełnym rezygnacji - krokiem cofnął się ku środkowi pokoju. Nie wiedział co robić, by ratować Dorę, Józefa i Quipelta. Idąc przez pokój zauważył, że napastnicy zabrali wraz z towarzyszami wszystkie części rozbitego samolotu, kable, akumulatory i Winchester, będący jego jedyną bronią, a zatem i jedyną niemal nadzieją ratunku. Był kompletnie wyczerpany nerwowo. Otarł ściekający mu z czoła pot i padł bezsilny na otomanę. Nie był w stanie zebrać myśli. Był wściekły na siebie samego. Jak mógł zaufać Bobowi? Przecież starzec uprzedzał go o możliwości zdrady! Tak. Józef miał rację. Portos nie wyobrażał sobie, że Bob jest zdolny do takiej podłości. Zaufał zbyt nio, a teraz jest bezbronny i sam, zaś Dora, Józef i Quipelt narażeni są na straszne niebezpieczeństwo.

Przypomniało mu się ostrzeżenie starca, że jeden z Władców Przestrzeni poczuł sympatię do Dory. To było straszne!

— Trzeba działać! — pomyślał — Trzeba ją ratować!

Świadomość sytuacji, w jakiej może obecnie znajdować się Dora, otrzeźwiła go i dodała mu energii. Opanował nerwy, gdyż zdawał sobie doskonale sprawę z faktu, że jedynie spokojnym, przemyślanym działaniem, może ocalić Dorę. Musi wykombinować jakąś sztuczkę, która otumaniłaby schorzałe umysły tych dziwnych istot. Przypomniał sobie obietnicę, starca. Wierzył mu. Był pewny, że spotka się z jego wydatną pomocą. Byle tylko nie za późno.

Wstał i zaczął skrupulatnie przeszukiwać wszystkie zakątki zajmowanych apartamentów. Niczego ciekawego nie znalazł. Chciał wejść do celi, zajmowanej poprzednio przez niewolników, lecz niestety... mechanizm nie działał.

Zniechęcony bezowocnością poszukiwań wszedł do pokoju Dory i zaczął grzebać w jej walizeczce:

Ażeby znaleźć coś, dobrze jest wiedzieć czego się szuka. Portos nie wiedział. Poszukiwania jego były raczej instynktowne.

Przerzucając delikatną, jedwabną bieliznę, grzebyki, szczotki, kremy, będące zawartością damskiego bagażu, natknął się na latarkę elektryczną.

Przypomniawszy sobie jakie wrażenie na tutejszych władcach zrobiła iskra elektryczna, więc bez chwili wahania wyciągnął baterię i ze znalezionych w kieszeni drucików zrobił połączenia pozwalające na wytworzenie iskry. Zdawał sobie sprawę, że nie jest to właściwie żadna broń w walce z tymi potworami, tym nie mniej niemal z tkliwością schował baterię do kieszeni zawiązawszy uprzednio końcówki drucików wokół palców.

W tym momencie usłyszał jakiś ruch na korytarzu, przerzedł więc natychmiast do pierwszego pokoju. Za chwilę uchylły się drzwi wejściowe i do pokoju weszło kilku żołnierzy formując coś w rodzaju szpaleru. Za nimi weszła służąca .świątyni. Przeszła między dwoma szeregami żołnierzy i zatrzymała się przed Portosem.

— Królowa zawiadamia cię przez swą pokorną służbę, że będziesz miał szczęście i honor uczestniczenia w wielkiej biesiadzie, która urządzona będzie na cześć zaślubin bladej księżniczki ze świętym doradcą, szefem Władców Przestrzeni. Śpiesz się! Wypowiedziała to wszystko jakimś dziwnym, gardłowym głosem w bardzo słabej angielszezyźnie.

Portos zrozumiał, że nadchodzi moment decydującej walki. Zbladł nieco, ale całkiem spokojnie odrzekł:

— Jestem gotów.

Niewolnica, nie zmieniając pozycji, zaczęła mówić dalej tym samym tonem, który przypominał małe dziecko odpowiadające przed nauczycielem z wyuczonej na pamięć lekcji:

— Mój szlachetny pan i opiekun kazał ci powiedzieć, że musisz się przygotować i działać, gdy on się zjawi. Masz go słuchać bez wahania i działać szybko.

Portos, oszołomiony wiadomością, pewnym krokiem skierował się między szeregi żołnierzy. Był przekonany, że osobiste wzmieszanie się starca było wielkim atutem w czekającej go, nierównej, walce.

Wyszli na korytarz i znaną już Portosowi drogą skierowali się do sali biesiad. Po wejściu do sali zaprowadzono Portosa na przeznaczone dla niego miejsce wprost areny.

Zajął miejsce i rozejrzał się po sali. Zadrżał. Dora, przybrana w szaty Bogiń Zła, siedziała między królową i swym monstrualnym narzeczonym. Przygarbiony i blady Bob zajmował miejsce z drugiej strony królowej.

Portos, pozornie spokojny, rzucił dumne spojrzenie na otoczenie. Na ustach jego malował się grymas pogardy. Tego, że z zaciśniętych jego dłoni zaczęła sączyć się krew ściekająca spod przebijających skórę paznokci, nie mógł widzieć nikt.

Bankiet ciągnął się przyjętym zwyczajem. Gra świateł, narkotyki, pijatyka, następowały po sobie niezmiennym porządkiem. Szmer rozmów stawał się coraz głośniejszy. Wyczuwało się wyraźnie skoncentrowanie uwagi obecnych na osobie Portosa. On jednak nie zwracał najmniejszej uwagi na otoczenie. Patrzył na Dorę, pragnąc dodać jej otuchy i odwagi. Pogardliwie odrzucił podawane mu jedzenie i napoje, i czekał na rozwój wypadków, gotów działać na pierwszy dany mu sygnał.

Jego bacznej uwadze nie uszło nic. Widział rozkosznego narzeczonego Dory, pochylającego się ku niej z cynicznym spojrzeniem na piękno ciała dziewczyny, zarysowujące się wyraźnie pod przezroczystą tkaniną stroju Bogiń Zła. Widział ciekawe spojrzenia obecnych, rzucające w kierunku narzeczonych. W podnieconych wyrazach twarzy biesiadników czytał niemal rozpustną treść wymienianych szeptów. Wpatrzone w niego, pełne rozpaczy, oczy Dory błagały go o ratunek, Całą siłą swej woli powstrzymywał się od jakiegoś nieopatrzego czynu. Zaciskał zęby i starał

się spojrzeniem wzbudzić w Dorze nadzieję i wiarę w przyszłość.

Nadeszła druga część bankietu — tortury. Królowa podniosła rękę i uderzyła w złoty gong. Między biesiadnikami przeleciał radosny szmer. Wszystkie spojrzenia zwróciły się na drogę, którą zwykle przeprowadzano ofiary.

Równocześnie z wprowadzeniem pierwszej pary za pańników rozległ się rozpaczliwy okrzyk kobiecy. Dora w tych dwóch pierwszych skazańcach poznała Józefa i Quipelta.

Ten rozpaczliwy okrzyk Dory zwrócił uwagę wszystkich obecnych, powodując ogólną radość, wśród tych zbrodniczych istot, cieszących się moralnymi torturami jakimi przeżywała w tym momencie biedna dziewczyna. Za chwilę wszystkie spojrzenia zwróciły się ku Portosowi, by cieszyć się jego bólem. Tutaj, niestety, spotkał biesiadników zawód. Otavio zachował zupełny spokój i niczym nie okazywał swego wzburzenia.

Herkulesowi niewolnicy wepchnęli Józefa i Quipelta na środek areny i brutalnie powalili ich na ziemię, usuwając się bezpośrednio poza krąg spragnionych uciechy widzów.

Nieszczęśliwcy podnieśli się i zamiast dostarczyć spodziewanej przez wszystkich rozgrywki w postaci strachu przed mającymi nastąpić torturami, stanęli dumnie obrzucając wszystkich spojrzeniami pełnymi pogardy.

Portos zdawał sobie sprawę z faktu, że za chwilę rozpocznie się widowisko, w którym wierni jego przyjaciele tracą życie, ale nie widział sposobu ocalenia ich. Przecież zobowiązany był czekać na sygnał arcykapłana. Prosił P>oga, by sygnał ten nie był spóźnionym i pozwolił ocalić towarzyszy czekających na męczeńską śmierć.

Na arenę wkroczyła grupa niewolników z naręczami drzewa i desek. Niemal w mgnieniu oka wzniesiono wysokie rusztowanie, na którego szczycie umieszczono poziomo belkę dwumetrowej długości tak, że stanowiła ona

dźwignię, wsparła środkiem ciężkości o rusztowanie. Następnie końce belki umocowano do podłogi, silnie naciągniętymi, gumowymi odciągami.

Za chwilę inni niewolnicy wtoczyli dwie duże kadzie, ustawili je pod końcami belki i napełnili je jakimś żrącym, silnie stężonym płynem.

Wprowadzono dwóch niewolników Albinosów i uwiązano ich, każdego za lewą rękę do wspartej na rusztowaniu belki. Obaj zwisali obecnie pod belką, na jej przeciwnych końcach, mając pod sobą przykryte kadzie, napełnione kwasem, a między sobą nóż, zawieszony na cienkim sznurku, przymocowanym do środka belki.

Rozległ się dźwięk gongu, a jednocześnie z nim wolne prawice niewolników wykonały raptowne ruchy, mające na celu uchwycenia noża.

W międzyczasie usunięto pokrywy i z kadzi zaczęły się wydobywać drażniące krtań opary.

Niewolnicy, walczący o zdobycie noża, zaczęli się ksztuścić i kaszlać. Ruchy ich stały się bardziej nerwowe i raptowne. Krew ciekła z ich rąk, pokaleczonych przy wyrywaniu sobie noża.

Minęło kilkanaście minut, aż wreszcie jednemu z nich udało się zawładnąć nożem. Zdecydowanym ruchem przeciął gumowy odciąg i w tym momencie koniec belki, u którego on był uwiązany, odchylił się ku górze, unosząc z sobą niedoszłą ofiarę poza zasięg działania oparów. Niewolnik, zwisający na drugim końcu belki opadł raptownie wraz z pochylającym się ramieniem dźwigni i zanurzył się w kadzi, napełnionej kwasem.

W chwilę później na powierzchni kadzi ukazała się jakaś bezkształtna, spalona masa, która tak niedawno była ciałem żyjącego jeszcze niewolnika.

Portos, wiedząc, że tortury praktykowane w czasie uczt następowały po sobie w kolejności, jaką narzucał sadyzm, zdał sobie sprawę z mąk, jakie czekają Józefa i Quipelta.

Krew uderzyła mu do głowy. Pociemniało mu w oczach.

Do jego świadomości dochodził wciąż okrzyk przerażonej Dory.

Nie widział już swych wrogów i przestał zdawać sobie sprawę ze swej bezsilności. Całkowicie stracił panowanie nad swymi czynami. Wiedział jedynie, że musi ratować Dorę i przyjaciół.

Nie zdolny do rozumowania skoczył na arenę i ze ślepa gwałtownością zaatakował niewolników, którzy strzegli jego towarzyszków.

Z nadludzką energią i siłą, uwielokrotnioną przez wściekłość, zadawał gwałtowne ciosy zaskoczonym i dezorientowanym wrogom.

W ciągu kilku sekund zdołał uwolnić Quipelta, by następnie z jego pomocą rozpedzić straż, otaczającą Józefa.

Gdy większość wrogów leżała na ziemi powalona ciosami drągów, stanowiących w rękach Portosa i Quipelta straszliwą broń, pilot, skierował się ku stołowi, przy którym leżała zemdlona Dora.

Jeszcze kilku żołnierzy powalonych z roztrzaskanymi czaszkami, a dostęp do Dory będzie otwarty.

Nie trwało pół minuty, a Portos wycofywał się znów na środek areny unosząc z sobą bezwładne ciało Dory.

Silne na początku uczyty światło, zaczęło raptownie przyciemniać, tak, że w chwili, gdy Otavio z Dorą znaleźli się na arenie, cała sala tonęła już w ciemnościach.

Niebawem wpadli na salę żołnierze z pochodniami. Wszelki opór wydawał się obecnie beznadziejnym. Portos zdecydował jednak bronić się do upadłego, przedkładając śmierć w nierównej walce ponad powolne konanie w torturach w czasie najbliższej uczyty.

Przewrócone w zamęcie kadzie sprawiły, że żrący płyn rozpływał się szerokimi strugami po sali i swymi oparami drażnił zebranych biesiadników, a coraz liczniejszym żołnierzom uniemożliwiał chwilowo, atakowanie zuchwalców.

W blaskach pochodni Portos zobaczył, że na salę wesz-



li niewolnicy i. zaczęli sypać jakiś biały proszek, który neutralizował natychmiast działanie kwasu.

Oczywistym było, że zbliża się nieuchronny koniec walki.

Naraz, poprzez panujący na sali zamęt, przedarły się dzikie głosy, w których Portos natychmiast rozpoznał rozwścieczone ryki świętych małp.

Wśród obecnych na sali zapanowało przerażenie, a z nim chwilowa cisza, na tle której donośnie zabrzmiał głos starca:

— Tutaj!!! Biegnijcie tutaj!!!

Portos nie zawahał się. Z Borą na plecach puścił się biegiem w kierunku, z którego dochodził głos. Za nim biegli Józef i Quipelt, tworząc tylną straż.

Nikt nie usiłował atakować ich. Wszyscy stali jak sparaliżowani strachem, jaki opanował ich na widok małp.

Portos dostrzegł starca. Siedział on nieruchomo na swym inwalidzkim fotelu przy jednej ze ścian i wskazywał na tajemne przejście, widniejące poza jego plecami.

Portos, wochodząc w to przejście, rzucił okiem poza siebie. Widok był poprostu straszny. Stado dzikich małp, rozwścieczonych gryzącym dymem, szalało rozrywając pazurami i potężnymi zębami truchlejących ze strachu dygnitarzy i żołnierzy.

Dzikié bóstwa, nieświadome swych czynów, karały swych zbrodniczych i zwyrodniałych wyznawców.

Zbiegowie znajdowali się obecnie w długim, wąskim korytarzu. Tajne drzwi zamknęły się natychmiast po ich przejściu i oddzieliły ich od sali. Uciekali szybko prowadzeni przez paralityka, którego krzesło, popychane przez służbę świątyni, toczyło się bezszelestnie wzdłuż słabo oświetlonego korytarza.

Zdawali sobie doskonale sprawę z drogocенności każdego momentu oddalającego ich od niebezpieczeństwa.

Portos posuwał się za krzesłem starca, niosąc na plecach wciąż omdlałą Dorę.

Posuwając się stale naprzód dotarli wreszcie do miejsca, w którym granitowa ściana zakańczyła zbawczy korytarz. Wszyscy spojrzeli niespokojnie.

Starzec, nie zwracając uwagi na ogólne zmieszanie, zaczął obmacywać ścianę, na której po chwili znalazł metalowy guzik, doskonale ukryły między dwoma kamiennymi blokami. Po naciśnięciu guzika dał się słyszeć zgrzyt, a równocześnie z nim część zamykającej przejście ściany usunęła się w bok, odsłaniając wąskie przejście.

Starzec usunął się nieco na bok i wskazując zbiegom ciemną przestrzeń korytarza zaczął tłumaczyć:

— To jest jedyna droga naszego ocalenia. Jesteśmy obecnie koło tunelu wiodącego do windy. Około dwudziestu metrów wyżej jest platforma windy. Trzeba, by któryś z was dotarł do niej, pozabijał pilnujących jej niewolników, a następnie dał sygnał do podziemi, by zaczęto opuszczać windę. Na wysokości naszego korytarza trzeba ją znów zatrzymać, byśmy weszli do niej i zjechali następnie do podziemnych grot,

— Ja pójdę! — zawołał Portos kładąc ostrożnie na ziemi Doreę.

— Nie! — zaprotestował starzec — Pójdzie Indianin! On jeden może osiągnąć powodzenie w tego rodzaju wyprawie.

To mówiąc zwrócił się do Quipelta i zaczął mu coś szybko tłumaczyć w miejscowym narzeczu.

Indianin słuchał uważnie wskazówek starca, a następnie bez słowa oddał Portosowi broń i zniknął w ciemnościach korytarza.

— Dlaczego nie pozwoliłeś mnie iść na tę wyprawę? — zapytał starca Portos.

— Prostu dlatego — odpowiedział starzec — że tam potrzeba zręczności Indianina. Po sznurach od windy musi on wspiąć się na wysokość około dwudziestu metrów, niespodziewanie wychylić się na przebiegający tamtędy korytarz i stoczyć walkę z pilnującymi windy niewolnikami.

W walce tego rodzaju zaskoczenie jest połową zwycięstwa.

Portos milczeniem wyraził zgodę na wywody starca, a następnie korzystając z przymusowego oczekiwania na wynik wypadu Quipelta, zaczął cucić Dorę.

Po chwili zauważył, że twarz dziewczyny pokrył ledwo dostrzegalny rumieniec, a oddech jej stał się głębszy i regularniejszy. Powieki zadrgały i rozchylając się odsłoniły pół przytomne oczy dziewczyny. Spojrzała wokół i dojrzałszy obok siebie nagie ciało Józefa, pokryte brunatnymi skrzepami krwi, krzyknęła z przerażenia i ukryła twarz na piersiach Otavia.

Portos z tkliwością przygarnął ją do siebie i zaczął tłumaczyć:

— Uspokój się, Doro! To nasz przyjaciel, Józef. Wszyscy jesteśmy zdrowi. Udało się nam wyrwać z tych strasznych szpon. Teraz przed nami stoi trudne zadanie. Musimy zebrać całą naszą energię, by nie dać się ponownie złapać. Czekają nas ciężkie przejścia i walki, ale ocalenie nasze się zbliża.

Pod wpływem słów Portosa, Dora poczuła, że siły zaczynają jej powracać. Uspokoila się zupełnie i z głębokim przeświadczeniem powiedziała:

— Możesz mi ufać! Będę mężna!

Oczy ich spotkały się objawiając im wzajemnie całą głębię uczucia, które ich łączyło. Usta ich złączył pierwszy miłosny pocałunek, pozwalający im zapomnieć na chwilę o wszystkim co ich otaczało.

Józef, dopiero pod wpływem przerażenia Dory, zwrócił uwagę na stan, w jakim znajdowała się jego osoba. Starzec, widząc zmieszanie Józefa, zdjął nakrycie, którym miał owinięte nogi i podał je Józefowi. Za chwilę okrywało już ono nagość niedoszłego gladiatora.

Od momentu odejścia Quipelta upłynęło już dosyć dużo czasu. Starzec zaczął się niepokoić. Niestety dalsze wypadki nie pozwoliły tracić czasu na niepokój.

Z szybu windy doleciały odgłosy staczanej przez Quipelta walki, a równocześnie niemal z nimi, z przeciwnej strony zaczęły dolatywać okrzyki świadczące, że nieprzyjaciel wykrył drogę ucieczki i obecnie postępuje śladem zbiegów.

Portos umieścił Dorę obok starca, a sam wysunął się w kierunku dolatujących odgłosów z postanowieniem walki do ostatniej kropli krwi ze zbliżającym się, jeszcze chwilowo niewidocznym, wrogiem. Józef bez najmniejszego wahania pośpieszył za nim.

Groźna chmara prześladowców zbliżała się szybko z wrzaskiem i klątwami. W półmroku korytarza można już było odróżnić sylwetki biegnących napastników.

Na szczęście korytarz był tak wąski, że pozwalał na posuwanie się obok siebie jedynie dwóch osób. Dawało to większe szanse obrońcom, ale ostateczny wynik walki można było z góry przesądzić. Pierwszy z biegnących prześladowców wpadł na bezbronnego Józefa. Moment był bardzo groźny, ale dzięki przytomności umysłu Portosa napastnik padł martwy na ziemię dostarczając przy okazji broni Józefowi.

Walka zawrzała teraz z całą bezwzględnością. Napastnicy, aczkolwiek padali pod ciosami szabel Portosa i Józefa, posuwali się stale do przodu pod naporem tylnych szeregów.

W pewnym momencie cofający się Portos potknął się z czego skorzystał jeden z napastników i wytrącił mu szablę z ręki. Pilot widział niechybną zgubę. Szabla przeciwnika skierowała się w jego pierś. Nagle poczuł, że jakaś potężna siła pociągnęła go do tyłu, a ostrze wysuwającej się spoza niego szabli zatopiło się w piersi przeciwnika. Teraz dopiero zorientował się, że wepchnięto go do windy. Zbawcą jego był Quipelt, który uporawszy się z wrogami na górze, sprowadził platformę na ich wysokość, ulo-

kował na niej Dorę i starca, a sam skoczył na pomoc walczącym. Niebawem i Józef znalazł się w windzie. Starzec dał sygnał uruchamiający windę, co widząc Quipelt wydał okrzyk zwycięstwa i zręcznie wskoczył na platformę, właśnie wtedy, gdy ta zaczęła opadać.

## ROZDZIAŁ XVII

Winda, pogrążona w zupełnej ciemności, powoli się opuszczała. Zbiegowie oddychali ciężko po wyczerpującej walce i przeżytych niebezpieczeństwach. Dalecy byli od myśli, że już są ocaleni, tym nie mniej przekonani byli, że najgorsze już minęło. Portos, głosem w którym wyczuwało się zmęczenie, powiedział to, co było dotychczas niewyrażoną myślą wszystkich :

— Dobrze! Cudem wybrnęliśmy z dotychczasowych trudności. Przypuszczam, że reszta nie będzie już tak ciężka. Pan — rzekł zwracając się do starca — miał wspaniałą myśl wypuszczenia tych piekielnych małp i przeprowadzenia ich na salę bankietową.

— Tak, to nas ocaliło — dodał Józef.

— To był jedyny sposób przestrzасzenia tych szatanów — odrzekł starzec. — Oni śmiertelnie boją się tych poświęconych zwierząt, będących ich bogami. Teraz ci bogowie mieli okazję udowodnić, że strach przed nimi był całkowicie uzasadniony.

— Ale musimy sobie powiedzieć prawdę — ciągnął dalej arcykapłan — że to wszystko nie dałoby oczekiwanego rezultatu, gdyby nie odwaga i bystrość naszego Indianina. Muszę przyznać, że w pewnym momencie, zwątpiłem już w pomyślny obrót sprawy. Xo, ale teraz nie czas na tego rodzaju rozmyślania. Musimy opracować jakiś plan działania. Wydaje mi się, że bezpośrednio po przybyciu do portu, musimy zdobyć jakąś łódź. Uda się nam to zrobić łatwo, jeśli nie będzie tam żołnierzy. W przeciwnym wypadku będziecie musieli we trzech siłą utorować sobie drogę do najbliższej przystani. Dora będzie musiała popychać mój wózek, gdyż służkę muszę posłać do niewolników obsługujących windy, by z mego rozkazu nie reagowali na wo-

łania o winde, jakie napewno będą miały miejsce.

— Uwaga! Przybyliśmy! — krzyknął Józef.

Rzeczywiście, spod windy zaczęło przesączać się słabe światło, zwiastujące bliskość oświetlonego podziemia.

Po chwili wychodzili z windy. Wszystko było pogrążone w normalnej ciszy i spokoju. Widocznie wiadomości o ostatnich wydarzeniach na górze nie dotarły jeszcze do tych głębokości makabrycznego królestwa.

— Chodźmy! — rozkazał starzec.

Dora, bez najmniejszego wahania, popchnęła krzesło inwalidy, kierując go ku plaży słabo oświetlonej pochodniami. Przybrana w strój Bogiń. Zła mogła łatwo być wzięta za jedną z tych diabolic, co mogło poważnie ułatwić sytuację.

Za wózkiem kaleki posuwali się trzej przyjaciele.

Plaża roiła się od nieszczęśliwych ślepych istot, zajętych wyznaczoną im pracą. Barki i łodzie stały nieruchomo wzdłuż wybrzeża przystani, stwarzając wspaniałą okazję dla zbiegów.

Po chwili wózek starca był już ulokowany na jednej z łódek.

— Zniszczyć pozostałe łodzie i barki! — rozkazał starzec.

Trzej towarzysze, bez chwili namysłu wskoczyli między grupę pracujących ślepców, trzem z nich odebrali toporki i zabrali się do niszczyielskiego dzieła. Ślepcy uciekli w przerażeniu i zgrupowali się przy wejściach do grot, znajdujących się w skalnej ścianie.

Portos, Józef i Quipelt nie ustawali w pracy. Kilka łodzi i bark już zatoneło, do kilku wdzierała się woda przez wyrąbane otwory. Już mało zostało do roboty, gdy wtem. zaistniało niebezpieczeństwo.

W oddali wybuchło kilka rakiet i petard, i jakiś władczy głos zaczął wydawać rozkazy. Ślepcy znikli w czeluściach grot, a na podziemną plażę zaczęli wybiegać żołnierze. Początkowo stanęli zdezorientowani i zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu nieprzyjaciela.

Józef i Portos przerwali pracę i skierowali się biegiem do łódki, zajętej przez Dorę i kapłana. Zdołali dopaść do niej, zanim żołnierze zdali sobie sprawę z sytuacji. Chwycili za wiosła.

Nagle Dora krzyknęła:

— Quipelt!!!

Teraz dopiero Portos i Józef zrozumieli, że Quipelt nie uciekł wraz z nimi. Spojrzeli w kierunku łodzi i ujrzeli Indianina, niszczącego spokojnie pozostałe barki pomimo, że cała falanga żołnierzy zbliżała się biegiem ku niemu. Musieli go zostawić. Nie wolno było im się wahać. Zdecydowanymi ruchami wiosł odbili od brzegu. W tej chwili dwóch żołnierzy olbrzymiego wzrostu rzuciło się do wody, by zatrzymać oddalającą się łódź.

Dora, widząc że Portos i Józef nie mogą porzucić wiosł, gdyż groziłoby to natychmiastowym otoczeniem przez wrogów, chwyciła zapasowe wiosło i zaczęła nim okładać napastników. Biła po wychylających się z wody głowach i w rezultacie nie pozwoliła na zatrzymanie łodzi, która energicznie popychana wiosłami, oddalała się szybko od przystani.

Dzielny Inkas jeszcze nie opuścił łódek. Otoczony przez nieprzyjaciół, zręcznie przeskakiwał z jednej łodzi na drugą i bronił się jak tylko mógł, a jednocześnie nie zaniedbywał okazji do zniszczenia ostatnich łodzi.

Cudowna jego odwaga sprawiała niesamowite wrażenie nie tylko na naszych towarzyszach, lecz także na atakujących go żołnierzach. Widać było, że przeświadczeni o jakiejś nadprzyrodzonej sile Quipelta, po kilkunastu nieudanych próbach, nie atakowali pojedynczo Indianina, a starali się napaść na niego grupą, którą niełatwo, było zebrać z uwagi na niedający się ukryć lęk żołnierzy.

Przyjaciele patrzyli wzruszeni na nadludzkie wysiłki Quipelta, lecz nie mogli mu przyjść z pomocą. Prosimi Boga, by pozwolił Quipeltowi ujść z rąk oprawców.

Nareszcie, ku wielkiej ich radości, Quipelt wywinął się



zręcznie z rąk atakującego żołdactwa i ze zręcznością kota skoczył do wody z ostatniej, tonącej już łodzi.

Był to ostatni moment ratunku. Właśnie w tej chwili z groty prowadzącej do windy wyszło kilku Władców Przestrzeni i jeden z nich zaczął wydawać rozkazy organizujące pogoń.

Zjawili się żołnierze z łukami i płonącymi strzałami; zaczęli strzelać w kierunku oddalającej się łodzi. Niektóre strzały skierowane w uciekinierów utykały w burtach łodzi, a dwie wbiły się w oparcie krzesła starca. Dora wyrwała te strzały, niedopuszczając w ten sposób do pożaru, a Portos i Józef wiosłowali bez wytchnienia, by jak najprędzej wyprowadzić łódź poza zasięg niebezpiecznych strzał.

Po paru minutach wiosłowania osiągnęli odpowiednią odległość. Już tylko kilka strzał, wyrzuconych przez najlepszych łuczników, doleciało na wysokość łodzi. Za chwilę byli już zupełnie poza ich zasięgiem. Opuścili wiosła, by odpocząć nieco po przebytych z regatową szybkością odcinku i zaczęli bacznie oglądać powierzchnię wody w przekonaniu, że powinni dojrzeć Quepilta. Rzeczywiście ujrzeli w dali mały punkcik, który zbliżał się dość szybko ku łodzi.

— Poczekajmy tutaj na Quipolta — rzekł Portos. — Może korzystając z okazji i chwilowego spokoju zastanowimy się co nam wypada dalej robić.

— Myślę, że nie możemy skierować się do portu, gdyż tam, na górze na pewno biją już w bębny na alarm i puszczają ostrzegawcze rakiety — zaopiniował Józef. Wszyscy niemi niewolnicy, strzegący bagnisk są gotowi pochwycić nas.

— Masz rację! — przyznał starzec — Ale tutaj, na tej wodzie, też nie mamy żadnej pewności. Czy widzicie jarzące się na plaży sygnały? A popatrzcie w przeciwnym kierunku! Ten świecący punkt, który tak drży i zmienia barwy to jest ich telegraf. Mógłbym powtórzyć dosłownie wszystko co oni przekazują, ale wystarczy, byście wiedzie-

li, że to są rozkazy schwywania nas. Wkrótce zmobilizują całą flotę i będą mogli otoczyć nas, a wtedy trudno będzie o ratunek. Moim zdaniem powinniśmy szukać schronienia w przybrzeżnych skałach. Tam zawsze możemy znaleźć jakąś możliwość ocalenia.

Starzec wykazał im bezużyteczność walki, lecz oni czuli, że wszelkie opuszczenie rąk i czekanie na to, co przyniesie los, byłoby ich zgubą, połączoną z niechybną śmiercią wśród tortur.

— Miałem inny plan waszej ucieczki — ciągnął dalej starzec — ale ostatnie wypadki wszystko pokrzyżowały. Mielibyście szalone szanse pomyślnej ucieczki. Teraz... Wyładujcie przy najbliższym punkcie, a później radźcie sobie sami.

— **A** pan? — zapytała drżącym głosem Dora.

— Pozostanę na łodzi i postaram się ich zmylić. Uwięziony na tym krześle, byłbym dla was jedynie przeszkodą.

Dora wybuchła płaczem i ukryła twarz na piersiach Otavia.

Nadpłynął Quipelt. Józef wyciągnął wiosło i pomógł mu wdrapać się do łodzi. Indianin zręcznie wskoczył i natychmiast chwycił za wiosło, okazując gotowość do dalszej drogi. Nie było na nim znać najmniejszego zmęczenia.

— Bardzo dobrze, Quipelt! — pochwalił go Józef — Byłeś cudowny tam przy łodziach. Teraz powinniśmy płynąć, tylko nikt nie wie dokąd.

— Kopalnia złota! — odrzekł Inkas — Tajemne przejście !

Teraz dopiero przypomnieli sobie opowiadaną przez Quipelta historię. Tajemne przejście, odkryta przez Indianina galeria — to jedyna możliwość ratunku.

Starzec nie zrozumiał nagłego wybuchu radości, więc nie czakajac na nic zapytał:

— Co się stało? Co znaczy ta radość?

Teraz dopiero rozbitkowie wytłumaczyli starcowi fakt istnienia, znanego Inkasowi tajnego przejście.

— Doskonale! — rzekł starzec — Poprawiła się nasza sytuacja. Płynmy więc w kierunku tego światła, które przed chwilą wam pokazałem. Tylko ostrożnie, gdyż popłyniemy na spotkanie naszych prześladowców. Uważam, że będzie to dla nas bardzo korzystne. Im nawet przez myśl nie przejdzie, że my możemy skierować się do portu.

Starzec nie skończył jeszcze, a trzech mężczyźni chwycili za wiosła i skierowali łódź w kierunku portu. Płynęli, przerywając od czasu do czasu wiosłowanie, by móc nasłuchiwać, czy jakiś podejrzany plusk, lub szmer nie zdradzą bliskości nieprzyjaciela. Na szczęście panował kompletny spokój.

Światła portowe stawały się coraz to wyrazistsze.

Nagle... Quipelt podniósł w górę wiosło, dając tym znak ostrzeżenia. Wszyscy znieruchomieli powstrzymując oddech. Dał się słyszeć płynący z oddali leciuchny, niemal niesłyszalny szmer ruchu, zwiastujący zbliżanie się nieprzyjaciela. Po chwili plusk fal przybrał na sile, co było znakiem, że niebezpieczeństwo się zbliża.

Indianin rzucił ponowne ostrzeżenie i bezszelestnie zsunął się do wody. Przepłynął ku tyłowi łódki i płynąc bez wydawania najmniejszych, odgłosów popychał przed sobą łódkę. Tak płynęli przez kilka minut. Po chwili Indianin wskoczył z powrotem do łodzi i zajął swe miejsce przy wiosle upewniwszy się uprzednio, że niebezpieczeństwo minęło.

W miarę zbliżania się do portu, powiększyła się możliwość, że łódź, oświetlona padającymi z brzegu blaskami, łatwo zostanie zauważona przez wrogów.

Quipelt pierwszy uprzytomnił sobie to niebezpieczeństwo. Nic nie mówiąc wziął ster z rąk Dory i skierował łódź do brzegu, zdała od światła. Przybliżyli się do plaży, lecz nie dobijali do brzegu w obawie napotkania jakiegoś patrolu. Z największą ostrożnością płynęli wzdłuż brzegu w poszukiwaniu dogodnego miejsca do lądowania.

Po kilkunastu minutach napotkali, o kilka metrów od

brzegu, sterczącą z wody skałę. Oparli o nią łódź i ukryci od ewentualnej obserwacji patroli, zaczęli szybko układać plan dalszego działania.

Musieli dostać się do kopalni złota, a jedyną drogą do niej było przejście przez port, rojący się w tej chwili od nieprzyjaciół. Mogli usiłować przejść ładem, lecz nie wiedzieli, czy i w jaki sposób to przejście jest strzeżone. Nieodzownym więc było uprzednie zbadanie terenu, a jedynym człowiekiem, nadającym się do tego zadania był Inkas.

Poszedł. . .

Po długim oczekiwaniu, połączonym z obawą i niepewnością, kocia postać Indianina wyłoniła się z wody tuż przy łodzi. Nie wychodząc z wody, po krótkim odpoczynku obrócił łódź i zaczął ją powoli popychać w kierunku małej zatoczki, jaką tworzyły opodal wody podziemnego jeziora.

Wyszli na ląd i w niczym niezmałconej ciszy uformowali się do marszu. Quipelt szedł pierwszy popychając przed sobą krzesło starca, za nimi szła Dora, a Portos i Józef zamykali pochód.

Przenikające z portu światła pozwalały im omijać piętrzące się wokół skały.

Szli wolniutko, badając nogami ziemię przed postawieniem każdego kroku. Quipelt, prowadzący kolumnę, zatrzymywał się często i badał czy najbliższy, leżący przed nimi odcinek drogi wolny jest od n cprzyjaciół. Dotarli wreszcie do piaszczystego gruntu, będącego początkiem portowego placu. Tutaj zatrzymali się, ukryci za skalnym występem. Plac roił się od żołnierzy i niewolników, poinformowanych już napewno o zuchwałej ucieczce cudzoziemców. Tłum robił wrażenie psów gończych, już teraz rozradowanych na myśl o mogącej go spotkać nagrodzie, ze strony Władców Przestrzeni, za złapanie śmiałków.

Starzec zaczął naradzać się z Quipeltem, a następnie zwrócił się do reszty współtowarzyszów ucieczki.

— Zrobimy tak! — rzekł ściszym do szeptu głosem

— Quipelt odprowadzi mnie do galerii czynnej kopalni złota, a wy zaczekacie tutaj na jego powrót, poczym zaprowadzi on was do tamtego przejścia. Ja, po rozstaniu się z Quipeltem, postaram się sam wprowadzić w ruch wózek, by bez niczyjej pomocy dojść do tego samego miejsca, do którego on was doprowadzi. Muszę iść pierwszy, by mieć rezerwę czasu i nie być dla was przeszkodą. Quipelt objaśnił mi doskonale drogę, więc jestem pewny, że dostawszy się z jego pomocą do kopalni, dam sobie później doskonałe radę.

To wszystko Wypowiedział spokojnie, lecz w tonie wyczuwało się, że bezcelowy byłby jakikolwiek sprzeciw.

Za chudło Quipelt, popychający wózek starca, zginął w ciemnościach nocy.

Portos jeszcze chwilę wpatrywał się w kierunek, w którym zniknęli. Targały nim jakieś złe przeczucia, ale wierny zaleceniom starca, starał się o tym nie myśleć. Zajął się zabezpieczeniem Dory. Józefa i siebie od ewentualnego zaskoczenia przez wroga. Wcisnął się za załom skały i stamtąd obserwował ruchy nieprzyjaciół.

Sytuacja nie należała do przyjemnych. W każdej chwili mogli być wykryci przez żołnierzy, coraz bardziej zbliżających się do ich kryjówki. Kilkakrotnie Fortos chwycił za toporek, by rozbić nim głowę odległemu niemal o długość ręki żołnierzowi, ale szczęście sprzyjało uciekinierom. Zbliżający się żołnierze szybko oddalali się z powrotem, nie dochodząc do zbiegów, kryjących się w największym napięciu nerwów. Po przeszło półgodzinnym oczekiwaniu ujrzeli wreszcie Quipelta, wyłaniającego się spośród skalnych rumowisk. Inkas podsunął się do kryjówki i kilka minut stał zupełnie nieruchomo. Gdy upewnił się, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo, podał Portosowi zwój pergaminów i szepnął:

— Tu jest historia, o której pan wie. Proszę to schować i zrobić to, co on przykazał.

Otavio wziął pergaminy, lecz początkowo nie wiedział

o co chodzi. Dopiero później, ujrawszy w przesączających się promieniach światła, hieroglify, zorientował się i przypomniał sobie rozmowę ze starcem, prowadzoną w arcykapłan skina gabinecie!

Schował rulon pod koszulę na piersiach i zapytał indienina, czy już mogą ruszyć w drogę.

Quipelt, rozejrzawszy się wokoło, dał znak do marszu i zaczął się posuwać : wolnym krokiem ku przejściom, mającym wyprowadzić ich na wolność.

Od, czasu do czasu zatrzymywali się i ze wstrzymanymi oddechami przywierali do kamieni, czekając na oddalenie się wałęsających się żołnierzy.

W dali, na jeziorze, błyskały dziesiątki świetlnych punktów, przesuwających się nieustannie po gładkiej tafli wody. To były sprowadzone z innych portów lodzie, poszukujące, zbiegów. Co chwila dolatywały do ich uszu odgłosy wybuchów rakiet, będących sygnałami porozumiewawczymi między dowództwem pościgu i jego wykonawcami.

Władcy Przestrzeni zmobilizowali całą swą potęgę w celu pochycenia zuchwalców, by złapanych poddać następnie najbardziej wymyślnym torturom.

Zbiegowie tymczasem wymykali się między zaciskającymi się szponami prześladowców.

Byli już na środku plaży, gdy zmuszeni zostali do ponownego zatrzymania się. Obecnie nie chodziło o przepuszczenie jakiegoś patrolu, czy zabłąkanego żołnierza. Przed nimi otwierała się piaszczysta, kilkunastometrowa przestrzeń, którą musieli przebyć przed dotarciem do następnej kryjówki.

Port rozciągał się przed nimi jak na dłoni. Dochodziły stamtąd odgłosy komend i rozkazów. Widać było dokładnie oddziały wojska, stojące w wyprężonych szeregach przed, osobiście dowodzącymi Władcami Przestrzeni. Cały port zalany był potokami światła, rzucanego przez niezliczone ilości pochodni, noszonych przez niewolników.

Część wojska rozpoczęła marsz w kierunku plaży. Ja-

snym było, że Władcy Przestrzeni, nie widząc żadnych wyników z poszukiwań na jeziorze postanowili spenetrować brzeg.

Togo rodzaju decyzja mogła stać się zgubną dla zbiegów. Żołnierze, mając teren oświetlony pochodniami, łatwo mogą znaleźć porzuconą przez zbiegów łódź, a wtedy akcja pościgowa zwróci się z całą energią na wybrzeże.

Quipelt przestał się wahać. Czas naglił. Dał znak towarzyszom i w kilku szybkich skokach przebyli kolejno niebezpieczną, ze względu na widoczność, przestrzeń. Wpadli znów między kamienie i skały, nic zwalniając przy tym tempa marszu. Widać było, że Indianin zna doskonale drogę. Po kilkunastu minutach takiego forsownego marszu stanęli u wejścia do tunelu. Zatrzymali się tam na chwilę, by złapać nieco tchu. Wszyscy byli niesamowicie zmęczeni, a Dora trzymała się właściwie już tylko dzięki swej sile woli, a nie wątłych mięśni.

Indianin, nie pozwolił jednak na dłuższy odpoczynek. Pełen niepokoju nakłaniał towarzyszków do pośpiechu. Posuwali się więc teraz wzduż czarnego tunelu. Absolutna ciemność, panująca tam, nie pozwalała na szybki marsz. Trzymali się jedno drugiego i opierając się o wilgotne ściany, posuwali się noga za nogą.

Dopiero po długim czasie tej uciążliwej wędrówki Quipelt nakazał odpoczynek.

Uśluhali bez wahania. Dora i Portos usiedli na granitowym bloku przytuleni do siebie. Józef, oparty o ścianę przeciągał swe zbolące członki. Quipelt coś majstrował w ciemności. Za chwilę błysnęło słabe światelko rozpalonej przez Inkasa drzazgi.

— Quipelt! — zauważył Portos. — Co robisz! Oni zauważą światło!

— Nie, korytarz jest kręty, a światło słabe — odpowiedział Indianin.

Rzeczywiście, światło, które początkowo wydawało się potężnym blaskiem pochodni, było w rzeczywistości małym

płomyczkiem, jarzącym się na końcu cienkiej, smolnej drzazgi. Rozejrzeli się wokół. Znajdowali się w wąskim tunelu, w miejscu, w którym krzyżował się on z drugim podziemnym korytarzem. Ściany wyłożone były małymi deseczkami. Te właśnie deseczki posłużyły Quipeltowi do zrobienia pochodni.

Dopiero teraz, w blasku światła, zauważyli, że Quipelt opasany był żołnierskim pasem, na którym zwisała, szabla.

— Skąd to zdobyłeś? — zapytał Józef.

— Zabiłem strażnika, strzegącego wejścia do tunelu.

— Kiedy?

— Gdy prowadziłem starego pana — odpowiedział spokojnie Indianin.

— A gdzie jest obecnie stary pan? — zapytał niespokojnie Portos.

— On kazał to panu oddać — rzekł Inkas podając pilotowi kawałek białego płótna, pokrytego niewyraźnym pismem.

Portos zbliżył płótno do pochodni i odczytał niewyraźnie, w pośpiechu, nakreślone zdanie:

— Zostaję tutaj, by spełnić mój obowiązek. Żegnajcie.

Spojrzeli po sobie w milczeniu. Nie byli w stanie nic poradzić.

Ze smutnych myśli wyrwał ich oddalony hałas i seria wybuchów rakiet w porcie. Quipelt znieruchomiał. Cały zamienił się w słuch.

— Znaleźli naszą łódkę! — zawołał wreszcie — Teraz przyjdą tutaj. Uciekajmy! Szybko!!!

Powiedziawszy to, wręczył Józefowi dopiero co wystruganą większą pochodnię i zaczął biec wzdłuż tunelu. Reszta towarzyszków, bez straty sekundy, ruszyła za nim.

Jakiś czas biegli jego śladem, aż wreszcie Inkas zatrzymał się przed załamaniem się korytarza i po chwili majstrowania przy ścianie, usunął blok kamienny zasłaniający przejście.

— To jest nieznane im przejście — powiedział. —



Wchodźcie szybko!

Sam wszedł ostatni i zaczął robić wysiłki nad ulokowaniem, głazu w dawnej pozycji. Niestety przekonał się, że będzie to nieosiągalne. Tymczasem krzyki nadbiegających prześladowców były coraz bliższe. Porzucił pracę i zaczął biec za oddalającymi się przyjaciółmi.

Droga była dosyć trudna. Wciąż potykali się. o niedostrzeżone w pośpiechu kamienie, padali, znów podnosili się i biegli, by nie dać się doścignąć.

Czasami droga wznosiła się ku górze, tworząc coś w rodzaju niebezpiecznej, pełnej zdradliwych szczelin, górskiej ścieżki. Musieli wtedy wdrapywać się bardzo powoli i ostrożnie, by nie postawić fałszywego kroku, mogącego mieć tragiczne następstwa.

Pokryci potem, pokaleczeni, w poszarpanych ubraniach, kontynuowali w największym wysiłku tę szaloną gonitwę.

Wrogowie byli już bardzo blisko. Chwilami, gdy korytarz na dłuższym odcinku biegł prosto, widać było pędzące postacie ścigających.

Józef zaczął tracić nadzieję. Przecież żołnierze byli wypoczęci, mieli lepsze oświetlenie, więc łatwiej mogli pokonywać napotykaną przeszkodę. Bardzo powoli, ale jednak nieuchronnie odległość między zbiegami i pościgiem lineażła. Sytuacja była niemal beznadziejna. Na domiar złego Dora, całkowicie wyczerpana nadludzkim wysiłkiem, zemdląła. Musieli ją na zmianę dźwigać. Sytuacja ich pogorszyła się jeszcze, gdy znaleźli się przed poprzeczną fkałą, zatarasującą przejście. Portos, który wtedy właśnie niósł Dorę, stanął bezradny. Z takim ciężarem nie miał najmniejszej możliwości wdrapania się na wierzch przeszkody, co było dla nich jedynym ratunkiem.

Quipelt, który nigdy nic tracił spokoju i zdrowej oceny sytuacji przyszedł z pomocą. Z kocią zwinnością wdrapał się na górę, ściągnął pas i kazał nim związać dziewczynę. Drugi pas, będący własnością Portosa posłużył za linę, na której Inkas zaczął wciągać podtrzymywane od

dołu przez Portosa i Józefa, bezwładne ciało Dory.

Wszystko dobrze! My im uciekniemy! — powtarzał w czasie tej trudnej przeprawy.

Po drugiej stronie skalnej barykady zejście było o wiele łagodniejsze. Mogli swobodnie schodzić z dziewczyną, niesioną na plecach. Dalsza część korytarza była też o wiele wygodniejsza i wyposażona w stosunkowo równą podłogę.

— Tam jest wyjście! — krzyknął Quipelt wskazując boczne odgałęzienie korytarza.

Nie było czasu na zastanawianie się Dolatujący z tyłu zgiełk dowodził, że napastnicy mijali już ostatnią przeszkodę. Józef zapalił nowe łuczywo od pochodni Inkasa i pobiegł za Portosem, który dźwigając Dorę zagłębił się już w wylotowy korytarz. Wkrótce poczuli lekki prąd świeżego powietrza, a w chwilę później ujrzeni przed sobą, jeszcze w pewnym oddaleniu, pierwsze blaski rozpoczynającego się dnia, który wdzierał się poprzez wylot w głąb mrocznego korytarza, wskazując wyjście na wolność.

Dobiegłszy do końca tunelu, stanęli i nadśluchując dolatujące okrzyki, czekali na Quipelta.

W rozgwarze głosów usłyszeli wyraźnie jego głos wołający :

Wyjść! Wyjść!

Bez chwili wahania usłuchali i precyzyjnie się przez szalenie zwężającą się gardziel tunelu, stanęli na otwartej przestrzeni, zalanej różowymi blaskami Wschodzącego słońca.

Wtem rozległ się potężny odgłos wybuchu, a siła szalonego podmuchu powaliła na ziemię zbiegów, pozbawiając ich przytomności.

## ROZDZIAŁ XVIII

Pierwszy oprzytomniał Portos. Dźwignął się na kolana przytrzymując się jedną ręką za pęd jakiegoś krzewu. Starzał się zebrać myśli.

— Dora! — jęknął nagle i usłyszawszy własny głos, zrozumiał co zaszło.

— Dora! — powtórzył cicho i Wstał, by szukać dziewczyny.

Postąpił kilka kroków, potknął się o wystający kamień i padł na nieruchome ciało Dory.

Drżącą, ręką chwycił ją za puls i wyczuwszy słabe tętno, omal nie krzyknął z radości.

Nagle usłyszał jęki i przygłuszone przekleństwa. To Józef, nie mogąc wygramolić się spod gruzów i kamieni które go przysypały, kłął siarczyście.

— Diabli nadali! Nie mogę sobie poradzić! Wszystko mnie boli!

Wreszcie oswobodził się od przygniatającego go ciężaru i chwiejnym krokiem zaczął się zbliżać do Dory i Portosa.

— Co się stało? — zapytał.

— Nie wiem — odpowiedział Pilot. — Jakieś straszliwe omdlenie.

Józef, nie okazując niepokoju, by nie zmartwić młodzieńca, ukląkł przy dziewczynie, zapominając o własnym bólu i zaczął ją badać.

Nie był lekarzem, ale lata spędzone na awanturniczych przygodach przysporzyły mu wiele praktycznej wiedzy.

— Nie ma nic poważnego. Kości są całe. To omdlenie za chwilę ustąpi.

Podniósł się z klęczek i skierował się ku pobliskiemu źródelku. W złożone dłonie nabrał nieco wody, by zwilżyć nią twarz dziewczyny.

Dora odetchnęła głęboko i jęcząc z lekka, poruszyła się. Rozchyliła powieki i ujrzawszy pochyloną nad nią twarz Otavia, uśmiechnęła się.

Portos, wzruszony jej powrotem do przytomności, zaczął ją pieścić i ścisnąć, nie bacząc na niebezpieczeństwo, na jakie wciąż byli narażeni. Dora przyjmowała jego pieszczoły z uśmiechem szczęścia.

Z tego błogiego stanu wyrwał ich głos Józefa:

— Panie Portos! Panie Portos! Znalazłem Quipelta! daje mi się, że jest on poważnie ranny!

Portos pomógł podnieść się Dorze i wraz z nią skierował się za głosem Józefa. Przy wejściu do groty znaleźli Józefa, pochylonego nad ciałem nieprzytomnego Inkasa.

— Wydaje mi się — objaśniał Józef — że ma on złamaną rękę. Trzeba go zanieść do wody, a poza tym tutaj jest zbyt ciemno.

Wspólnymi siłami przenieśli Indianina nad brzeg bagniska i położyli go tuż przy bijącym źródelku. Józef, przy pomocy Dory, zaczął składać zgruchotane kości. Portos rozglądał się po okolicy. Teraz dopiero usłyszał monotonne uderzenia bębnow dochodzące z wyżyny. Zauważył, że korytarz, przez który przeszli, pogrążony jest w absolutnej ciszy. Wybuch oddalił od nich niebezpieczeństwo niszcząc zapewne cały oddział ścigający ich w podziemiach i częściowo zawalając tunel. Jednak odgłosy bębnow dowodziły, że nie zaniechano pościgu.

Po kilkuminutowej operacji, Józef uporał się jakoś ze złamaną ręką Indianina. Korzystając ze znalezionych kawałków tacuary \*) zdołał unieruchomić sąsiadujące ze złamaniem stawy, a następnie zabrał się do cucenia Inkasa

\*) Tacuara — rodzaj trzciny przypominającej bambus.

Za chwilę Indianin otworzył oczy i odruchowo chwycił zdrową ręką za obolałe, złamane ramię. Syknął z bólu i pośpiesznie cofnął rękę.

— Ostrożnie, Quipelt! — rzekł Józef — Masz złamaną rękę, musisz uważać.

— Quipelt! — zapytał niespokojnie Otavio — Coś ty zrobił, by zatrzymać tę bandę szatanów?

— Quipelt dostał od starego pana ogień w pakiecie. Quipelt wsadził go pod kamień i podpalił, a sam uciekł.

W oczach, Dory pojawił się błysk wdzięczności. Pogładziła gładkie, obślizgłe włosy Indianina i rzekła:

— Jesteś bardzo odważny, Quipeleie. Zachowam na zawsze przyjaźń dla ciebie.

Jednocześnie Portos i Józef, serdecznymi uściskami dłoni, wyrażali Inkasowi swą wdzięczność.

Inkas był wyraźnie zdziwiony tym wylewem uczuć ze strony białych; ludzi. Chciał coś odpowiedzieć, ale widocznie jakiś podejrzany szmer doszedł do jego uszu, gdyż podniósł się i zaczął niespokojnie nadśłuchiwać.

— Uciekajmy! Uciekajmy! — zawołał po chwili — Wróg zbliża się z dwóch stron.

— Ale gdzie uciekać? — zapytał Portos — Za nami prostopadła skalista ściana, z obu bocznych kierunków zbliża się nieprzyjaciel, a przed nami bagnisko, pełne krokodyli.

— Tam uciekać! — wykrzyknął Indianin, wskazując na moczary.

— Jak? — szepnął Józef — Krokodyle... Bagno...

— Iść bez obawy — nalegał Inkas — Quipelt wie.

Przestali się wahać i zagłębili się w nadbrzeżnych trzcinach. Po przejściu kilkuset metrów bardzo uciążliwej drogi przez gęste i wysokie szuwary, Quipelt zatrzymał się na chwilę. Byli na brzegu rozpoczynającego się lustra wody, z której wylaniała się niezliczona ilość maleńkich wysepek.

Inkas wszedł do wody, kierując się ku jednej z takich

wysepek. Wymownym gestem nakazał wszystkim zrobić to samo.

Po chwili, gdy brnąc do pasa w wodzie, dotarli do wysepki, z najwyższym zdziwieniem przekonali się, że domniemana wysepka była wspaniale zamaskowaną tratwą, zupełnie podobną do tej, na której przewożono ich z rozbitego samolotu.

Ody wdrapali się na tratwę, Quipelt nakazał Józefowi, by zaczął wiosłować, oraz zwracając się do wszystkich rzekł:

— Niech nikt nie rozmawia!

— Józef chwycił długą tyczkę tacuarową, zastępującą wiosło i zabrał się do pracy. Indianin wskazywał kierunek, w jakim mają płynąć.

Maleńka wysepka, zupełnie podobna do całego szeregu innych, prawdziwych wysepek, oddalała się powolutku o'd niebezpiecznego brzegu, unosząc na sobie wyczerpanych przebytymi trudnościami zbiegów, gotowych do stawienia czoła nowym, czekającym ich niebezpieczeństwom.

Indianin badał swym subtelnym słuchem dolatujące z oddali szmery, by na czas wykryć grożące im ewentualnie niebezpieczeństwo.

Po godzinie takiego ostrożnego, powolnego posuwania się ku przodowi dotarli do miejsca, w którym kończyły się gęsto rozrzucone wysepki, a zaczynała się niczym nie zarośnięta taflą wody. Drugi brzeg ginał we mgle, która w międzyczasie zaległa okolicę.

Quipelt dał znak Józefowi, by przestał wiosłować. Zdrową ręką chwycił jedną z gałęzi zwieszających się z sąsiadującej z nimi, prawdziwej wysepki, podciągnął tratwę do brzegu i kilkoma zręcznymi ruchami tak ją zamaskował, że wydawała się po chwili nieodłączną częścią wysepki.

Gdy skończył swą pracę, nakazał wszystkim ciszę i bezruch, a sam zaczął z największą uwagą obserwować okolicę.

Przez długi czas dc nie maćiło całkowitego spokoju. Otavio, nie widząc powodów do tak przesadnej ostrożności,

chciał zapytać Inkasa, czy on przewiduje jakieś trudności, ale Indianin właśnie w tym momencie wskazał na jedną z pobliskich wysepek. Po dłuższej obserwacji przekonali się, że wysepka ta powolutku, ale nieustannie poruszała się w kierunku Czystej wody. Dalsze wpatrywanie się przekonało ich, że takich wysepek było więcej. Setki wysepek znajdujących się na kanale płynęło zygzakami wysuwając się coraz bardziej na czyste wody.

Przerażeni towarzysze dopiero teraz zrozumieli, że była to cała flotylla nieprzyjacielska, zamaskowana w taki sam sposób, jak oni sami. Podziwili przebiegłość i przezorność Inkasa. Jeśliby nie przyczaili się przy brzegu prawdziwej wysepki, a płynęli ku przeciwległemu brzegowi, zostaliby wykryci przez prześladowców i w konsekwencji cierpieniami swymi dostarczyliby Władcom Przestrzeni rozrywki w czasie najbliższego bankietu.

W pewnym momencie, Quipelt, korzystając z nieznacznego zamieszania, jakie powstało między nieprzyjacielskimi tratwami, odrzucił szybkim ruchem przysłaniające ich gałęzie i popełniał tratwę między tratwy wrogów.

Współtowarzysze Inkasa truchleli patrząc na tak ryzykowne posunięcie, ale najmniejszym nawet gestem nie okazali sprzeciwu. Przeciwnie, wyraźnie zdawali sobie sprawę z korzystnej strony tego hazardowego posunięcia. Wmieszani między swych prześladowców mieli zapewnione bezpieczeństwo. Jedyłą ich troską była teraz myśl, że przecież kiedyś muszą się od tej flotylli odłączyć, a takie odłączenie byłoby bardzo niebezpieczne.

Tymczasem Quipelt sam prowadził tratwę trzymając zdrową ręką wiosło. Zauważyli, że Indianin w pewnych odstępach czasu powtarzał manewr, polegający na lekkiej zmianie kierunku, by później znów przez pewien czas dążyć śladem wrogów.

Zrozumieli plan Quipelta. Wykorzystawszy mimowolną pomoc wroga, chciał obecnie zręcznymi manewrami oddalić

się od flotylli, lub zając w niej taką pozycję, by oderwanie się było możliwe przy najbliższej sposobności.

Nadzieja znów wstąpiła w serca zbiegów. Niepokojem napawał ich jedynie fakt, że Indianin opadał z sił. Przejmujący ból złamanej ręki uniemożliwiał mu swobodną pracę zdrową ręką. Manewrował więc wiosłem zaciskając z bólu zęby. Towarzysze natomiast zdawali sobie sprawę, że nikt nie jest w stanie zastąpić Inkasa, gdyż nikt z nich nie zna używanego przez Indian sposobu nawigacji.

Po wielu bardzo ostrożnych manewrach Quipelt zdołał oddalić tratwę od prześladowców. Jeszcze kilkanaście minut zachowywał najdalej posuniętą ostrożność, a później zaczął posuwać się z większą szybkością nie zwracając uwagi na plusk wody.

Co parę minut. Indianin przerywał wiosłowanie i nadśluchwał, czy nie dochodzi jakiś podejrzany szmer. W czasie jednego z takich nadśluchiwań usłyszał wyraźnie plusk wody. Nie ulegało więc wątpliwości, że ich dostrzeżono i ścigano.

Widząc grozę położenia Quipelt zrezygnował z nadmiernej ostrożności, by w zamian zyskać na szybkości ucieczki.

— Panna położyć się! Panowie pomoc wiosłować! Szybko naprzód!

Portos i Józef porwali za leżące na pokładzie zapasowe tyczki i zgodnie z instrukcjami Inkasa, zaczęli z dwóch stron popychać tratwę.

Polecenie Indianina przyszło w samą porę, gdyż nad ich głowami zaczęły świstać strzały wypuszczane całymi setkami z luków prześladowców.

Nieprzyjaciel nie mógł ich jeszcze widzieć, tym bardziej, że mgła jeszcze nie opadła, ale wyrzucał na ślepo chmury zatrutych strzał w nadziei, że któraś z nich trafi do celu.

Tratwa zbiegów posuwała się teraz bardzo szybko. Po kilkunastu minutach takiego pośpiechu wychyliły się przed



nimi spoza mgły kontury drugiego brzegu moczarów, do którego z takim wysiłkiem dążyli.

Wkrótce na polecenie Quipelta zatrzymali tratwę w małej zatoczce, jaką w tym miejscu tworzyło wybrzeże.

— Skakać! Szybko! — krzyknął Inkas, gdy tylko się zatrzymali.

Zdała już dochodziły wyraźne odgłosy zbliżającego się pościgu.

Wyskoczyli na brzeg i śladem Indianina pobiegli niewidocznymi niemal ścieżkami, wiodącymi przez bagnisty teren.

Po kilku minutach biegu dotarli do wysokiej, ostro zakończonej skały, której wierzchołek ginał we mgłę. Quipelt odgarnął naręcze trawy i ukazała się wąska szczelina, prowadząca do wnętrza skały. Quipelt przecisnął się przez to wąskie przejście, nakazując to samo towarzyszom.

Poza przejściem podziemny korytarz rozszerzał się nieco. Po wejściu wszystkich, Quipelt zamaskował napowrót otwór wejściowy i kazał posuwać się naprzód, trzymając się za ręce.

Gdy po dłuższym marszu ujrzeli słabe światełko, wdzierające się do tunelu przez zarośnięte krzewami wyjście, poczuli, że wstępują w nich nowe siły. Za chwilę przeciskali się już przez wąski wylot i wkraczali na dalszy odcinek drogi, prowadzącej wąziutką ścieżyną, wijącą się ku górze wśród głębokich, skalistych przepaści.

Każdy z uciekinierów był zmuszony obecnie dbać o siebie. Każdy fałszywy krok mógł pociągnąć za sobą tragiczne konsekwencje, co bynajmniej nie wpływało na zwolnienie tempa ucieczki.

Pokryci potem, zmieszany z zastygłą i świeżą krwią, ciekącą z poranionych ciał, dotarli wreszcie do małej płaszczyzny, na której, na rozkaz Quipelta, zatrzymali się Indianin odnalazł ukryty między skałami i krzakami koniec sznura i pociągnął go całą resztą opuszczających go sił.

Po chwili do uszu zbiegów doleciał z góry oddalony

dźwięk gongu. Indianin usłyszawszy go osunął się na ziemię ze słowami:

— Zawiadomiłem mój naród. Przyjdą nam z pomocą.

Zaległa cisza. Wszyscy byli niesamowicie zmęczeni i radośnie korzystali z chwili odpoczynku.

Niestety, nie trwało to długo. Znów doszedł do ich uszu zgiełk, zwiastujący zbliżanie się prześladowców.

Zerwali się do ucieczki. Biegając w dalszym ciągu po pnącej się ku górze ścieżce, dotarli do miejsca, z którego dalsza droga prowadziła po pniu drzewa, którego jeden koniec opierał się o niewielką płaszczyznę terenu, a drugi spoczywał na płataninie gęstych krzaków. Pod środkiem tego pnia znajdowała się głęboka przepaść, pokryta miejscami gęstwiną zarośli. Dora cofnęła się przerażona. Czuli, że nie jest w stanie zrobić kroku po tej niebezpiecznej drodze.

Portos zdawał sobie doskonale sprawę, że każde opóźnienie w marszu może grozić wpadnięciem w ręce pościgu, nie namyślając się wiele zbliżył się. raptownie do dziewczyny i silnym uderzeniem w podbródek pozbawił ją przytomności. Następnie przerzucił bezwładne jej ciało przez plecy i pewnym krokiem przeszedł niebezpieczną kładkę.

Gdy wszyscy znaleźli się na drugiej stronie przepaści Quipelt poprosił o dopomożenie mu przy strąceniu pnia w przepaść. We trzech starali się poruszyć kłodę, lecz okazało się to niemożliwością. Była zbyt ciężka.

Z przeciwległej strony przepaści zaczęły dochodzić pierwsze odgłosy pościgu. Jasnym było, że najszybsi napastnicy zdołali już dotrzeć do tego miejsca.

Jedynym ratunkiem dla zbiegów była natychmiastowa ucieczka, której powodzenie zależało od przemęczonych mięśni i płuc.

Biegli teraz dość szeroką drogą, wykutą w skale ludzkimi rękami. Ciało Dory, cały czas nieprzytomnej, było dla nich poważną przeszkodą. Portos i Józef dźwigali ją na

zmianę, lecz w miarę wznoszenia się drogi ku górze, coraz bardziej odczuwali jego ciężar.

Nagle droga urwała się, a przed nimi otworzyła się rozległa równina, z której w przeciwnym jej końcu wyrastała wysoka góra.

Przebiegli płaszczyznę i zagłębili się w dość szeroki wąwóz, wznoszący się znów ku górze. Pierwsza linia prześladowców dobiegała właśnie wlotu do wąwozu. Wydawało się, że nie ma już ratunku. Uciekinierom zdawało się, że wciąż biegają, a w rzeczywistości, doszczętnie wyczerpani, wlekli się noga za nogą. Odległość między nimi, a prześladowcami zastraszająco malała.

Wtem, z ograniczających wąwóz gór, posypał się grad kamieni na wbiegających napastników. Rozległ się straszliwy okrzyk bojowy i dziesiątki strzał wypuszczonych z łuków wbiło się w ciała uczestników pościgu.

Wierni żołnierze Quipelta przybyli na ratunek swego wodza.

## ROZDZIAŁ XIX

Dora, wróciwszy do przytomności, przez długi czas nic mogła zdać sobie sprawy ze swego położenia. Nie wiedziała, czy to co ją otaczało było rzeczywistością, czy po prostu pewną formą halucynacji. Wokół rozlegały się krzyki i szczęk broni, wywołujące w niej dreszcz przerażenia. Na szczęście krzyki i odgłosy walki stopniowo się oddalały, a równocześnie z tym odczuwała mniejsze wstrząsy i kołysanie.

Starła się zorientować co się z nią dzieje. Przez znajdującą się ponad jej twarzą szparę padało dziennie światło. Poruszyła się i stwierdziła, że owinięto ją w jakieś peleryny, czy też płaszcze i ułożono w czymś podobnym do hamaka niesionego przez kilku ludzi. Chciała odsłonić część pokrywających ją materiałów, by zobaczyć dokąd ją niosą i kto ją otacza, ale kołysana silnie przez biegnących tragarzy nie mogła nic zrobić. Postanowiła czekać na rozwój wypadków.

Po długim biegu tragarze zwolnili i Dora poczuła, że zaczynają piąć się po schodach. Jeszcze chwila, a złożono ją na ziemi. Zaczęły dolatywać do niej głosy rozmów, pośród których rozróżniła głos Portosa.

— Otavio! Otavio! — krzyknęła i zaczęła wyplątywać się z omotujących ją tkanin. Nim zdołała się wydobyć, porwały ją silne ramiona Portosa i uniosły do góry. Dora, ze łzami w bezach, tuliła się do swego ukochanego, nie mogąc ze wzruszenia wypowiedzieć żadnego słowa.

— Dora! Dora! Ukochana moja! — szeptał Portos — Uspokój się! Już wszystko dobrze. Jesteśmy wśród przyjaciół!!!

Portos sam był wzruszony, ale głaskał Dorę po jej puszystych, pięknych włosach, przemawiając do niej jak do

przestraszonego dziecka.

Powoli Dora uspokoiła się zupełnie i zaczęła się rozglądać wokół siebie.

Znajdowali się w dużej sali, której ściany wyłożone były blokami granitowymi.

Z wąskich otworów w ścianach sączyło się skąpe światło. Panował półmrok. Kilka indyjskich kobiet obserwowało dziewczynę z nieukrywana ciekawością. O trzy kroki od Dory stało dwóch spoconych Indian, którzy jak przypuszczała Dora, przynieśli ją do tej sali. Na zbitej z desek pryczy, pokrytej skórami dzikich zwierząt, leżał Quipelt. Dwie młode Indianki, z największą troskliwością opatrywały jego chorą rękę. Józef pomagał indyjskim dziewczętom przy tej operacji. Ujrzawszy spoglądającą nań Dorę rzekł:

— Wszystko dobrze, panno Doro! Jesteśmy pod opieką narodu Quipelta.

Dora w odpowiedzi uśmiechnęła się, lecz uśmiech ten zamarł na jej wargach, gdy doszły do jej uszu odgłosy toczącej się walki.

— Co to jest? — zapytała.

— To nasi dzielni zbawcy walczą z bandą Władców Przestrzeni. Teraz, kiedy dzięki Bogu jesteś w bezpiecznym miejscu i odzyskałaś przytomność, ja z Józefem wrócimy tam natychmiast.

— Otawio! — zatkała rozpaczliwie dziewczyna — Zmiłuj się! Nic odchodź!

Portos przytulił ją silnie do siebie i rzekł przekonująco:

— Doro! My nie możemy opuścić tych zielnych ludzi, którzy za nas walczą.

Dora dłużej się nie opierała. Ucałowała pilota i wysunawszy się z jego ramion powiedziała:

— Ja pozostanę i zaopiekuję się Quipeltem.

— Nie! — zaprotestował Inkas, podnosząc się trudnością — Quipelt też pójdzie!

W kącie sali znajdował się cały skład broni. Quipelt wybrał sobie dla siebie lance, a Portos i Józef wzięli lekkie, indyjskie toporki i bez słowa opuścili salę. Przeszli przez budynek i doszli do zamkniętego potężną bramą dziedzińca.

Zatrzymali się uderzeni widokiem, jaki roztoczył się przed ich oczami.

Olbrzymi, granitowy budynek, zbudowany w formie piramidy, wznosił się na środku obszernego placu, otoczonego szeregiem tarasowo opadających płaszczyzn, połączonych ze sobą granitowymi schodami. Całość okalał dość wysoki mur, zbudowany z potężnych głazów. W jednym miejscu muru widniała potężna brama, wykonana z grubych, drewnianych bali. Było to wejście do warowni. Właśnie przed tą bramą toczyła się zacięta walka z napastnikami, chcącymi wtargnąć do wnętrza fortecy.

Nad walczącymi unosił się tuman kurzu, w którym błyskały złowrogo ostrza mieczów i lanc. Krzyki mieszały się z groźnym, szcękaniem broni.

Obrońcy, napieram przez przeważające siły napastników, powoli cofali się ku murom twierdzy. Każdy krok do tyłu znaczyli obficie krwią wroga i swą własną.

Kobiety z najwyższą odwagą znosiły rannych z pobojowiska, podawały broń wojownikom, a natręt dość często mieszały się same w wir walki.

Portos ogarnął okiem, cały zamęt bitewny i stwierdził, że obrońcy bardzo nieumiejętnie brali się do dzieła.

Quipelt zrozumiał krytyczne spojrzenie pilota.

— Rozkaż cofnąć się do fortecy! — krzyknął Portos do Quipelta — Józef i ja zorganizujemy obronę!

Najważniejszym było, by wraz z wycofującymi się do fortecy Inkasami nie wtargnęli napastnicy. Na szczęście nie było Władców Przestrzeni. Walczyli jedynie sami żołnierze. Trzeba im przyznać, że walczyli wspaniale, ale wynik walki, w większości wypadków, nie tyle zależy od bohaterstwa żołnierza, ile od doświadczenia dowódców, a Wład-

cy Przestrzeni mieli wrodzoną umiejętność walki i dowodzenia.

Portos zrozumiał, że jego obecność w pierwszej linii walczących jest konieczna. Ścisnął rękojeść topora i wraz z Józefem ruszył za bramę. Quipelt, wydając rozkaz wycofania się, pośpieszył za nimi.

Myślą Portosa było zgromadzenie kilkudziesięciu wojowników wokół siebie, by wraz z nimi stanowić mocną, atakującą grupę, za plecami której pozostali będą mogli swobodnie wycofać się poza bramę.

Quipelt zrozumiał intencję Portosa i wydał odpowiednie rozkazy.

Za chwilę Portos już ścierał się z jakimś olbrzymim napastnikiem, którego pierwsze uderzenie wytrąciło broń z jego ręki. Przez sekundę życie pilota wisiało na włosku. Czuł zbliżającą się śmierć. Instynktownym odruchem przeszedł do walki, wręcz. Zręcznym unikiem uchylił się od wymierzonego weń ciosu przeciwnika, a następnik, wyprostowując się, zadał mu z całej siły potężny cios pięścią w szczękę. Zdezorientowany żołnierz chciał się bronić szablą, lecz Portos był już przy nim i oszołomionemu poprzednim ciosem, wymierzył następny, bardziej skuteczny, w krtani. Napastnik osunął się na ziemię, a Portos skoczył ku następnemu.

Józef widząc skuteczną walkę pilota rzucił topór, by nie walczyć z wrogiem bronią, do której on był przyzwyczajony i przeszedł na boks.

Nieprzyjaciele, wyćwiczeni w walce na miecze, lance i topory byli bezbronnymi wobec dwóch białych ludzi, nacierających z niespotykaną furją i zaciętością!

Postępujący za Józefem i Portosem Inkasi, dobijali powalonych przeciwników ciosami toporów i pchnięciami lanc.

Tymczasem właściwe siły Inkasów wycofywały się w największym porządku poza bramę i obsadzały stanowiska na murach obronnych. *Za* chwilę, na rozkaz Quipelta, posypa-

ły się z murów setki strzał na tylne szeregi napastników, co znacznie ułatwiło sytuację grupie uderzeniowej, walczącej pod dowództwem Portosa i Józefa.

Napastnicy, przerażeni nieznanym im systemem walki, dziesiątkowani strzałami wypuszczanymi przez wspaniałych łuczników, cofnęli się raptownie. Ta oliwła wystarczyła Portosowi i jego grupie na szybkie zebranie rannych z pola bitwy i wycofanie się w obręb dziedzińca.

Był to najwyższy czas na odwrót, gdyż dla napastników przychodziły posiłki.

Nad brzegiem mokradeł ukazał się wysoki tuman kurzu, zwiastujący zbliżanie się nowych oddziałów, tym razem prawdopodobnie, pod dowództwem Władców Przestrzeni.

Portos, zmęczony, ociekający krwią, patrzył niespokojnie w kierunku moczarów. Zdawał sobie sprawę z grozy sytuacji, więc myślał nad wynalezieniem skutecznego sposobu obrony przed przeważającymi, pod każdym względem, siłami napastników.

Otoczający Portosa dowódcy Inkasów z Quipeltem na czele wpatrzeni byli raczej w niego, niż w nadciągającego wroga.

Pilot zrozumiał, że oni czekają na jego decyzję. W walce zdobył sobie nie tylko uznanie, ale podziw Inkasów, nic więc dziwnego, że teraz zwrócili ku niemu wzrok w oczekiwaniu zbawiennej decyzji.

Ten dzielny naród przez całe wieki opierał się napadom swych zbrodniczych sąsiadów. Jedynym ich sprzymierzeńcem w tych minionych walkach była przyroda, która otoczyła ich siedziby niemożliwymi do zdobycia wąwozami i przełęczami.

Dziś, po raz pierwszy od czasu spalenia przez wroga ich świątyni, nieprzyjaciel przeniknął przeszkody i teraz ich atakuje. Wszystko to stało się dlatego, że szlachetni Inkasowie, nie chcąc dopuścić do zamordowania zbiegów, odkryli tajne przejścia, nie znane dotychczas wrogowi.



Otavio zaczął, zdecydowanym głosem, wydawać rozkazy.

— Quipelt! Powiedz im, że wszyscy zdrowi i zdolni do noszenia broni mają iść na mury. Mają uzbroić się w lance i łuki. Część kobiet niech wyrywa kamienie i układa je wzdłuż murów. Pozostałe niech rozpalą ogniska, poznoszą wiadra i inne naczynia, jakie posiadają i niech gotują wodę. Czy macie w swych magazynach oliwę?

— Nie! — odpowiedział Quipelt — Ale mamy dużo wosku.

— Niech więc gotują wodę i roztapiają wosk — dorzucił Portos.

W miarę jak Quipelt tłumaczył swym podwładnym polecenia Portosa twarze Inkasów zaczęły się wypogadzać. Wyraz smutku i troski zastąpiła wiara w dowódcę i nadzieja.

Każdy pobiegł, by wykonać nałożone nań zadanie i po chwili w całej fortecy zapanował niesamowity ruch. Każdy gorączkowo spełniał to, co mu polecono.

Tymczasem Portos i Józef obserwowali uważnie ruchy nieprzyjaciół.

Przybyła armia połączyła się z dotychczas walczącymi oddziałami. W blaskach słońca wspaniale błyszczało doskonale uzbrojenie Władców Przestrzeni, dowodzących teraz całością. Nie było ich wielu, najwyżej dziesięciu, ale według opinii Józefa byli to sami najwyżsi dostojnicy państw Bogiń Zła.

Szeregi wrogów ostrożnie odsunęły się od murów twierdzy, by nie znajdować się w zasięgu strzał i tam zaczęła się reorganizacja. Powoli zaczęli grupować się wokół swych dowódców, a następnie, uformowawszy się w kolumny, ruszyli w dwie przeciwne strony w celu otoczenia fortecy pierścieniem swych wojsk.

Wszystkie manewry i przegrupowywania dokonywane były powoli, bez pośpiechu, jakby dla zachowania jak największej świeżości żołnierza do generalnego natarcia.

Jasnym było, że postanowili atakować równocześnie ze

wszystkich stron, by jednym, zdecydowanym uderzeniem zdruzgotać przeciwnika.

Otavio, zorientowawszy się w planach wroga, spojrzął na mur. Z zadowoleniem stwierdził, że wszystkie jego zarządzenia zostały skrupulatnie wykonane.

Po wewnętrznej stronie murów palił się szereg olbrzymich ognisk, a nad nimi wisiała niezliczona ilość kociołków, garnków i różnego rodzaju naczyń, napełnionych urodą lub woskiem. Kobiety pracowały bez wytchnienia. Stosy kamieni zgromadzone pod mitrami urosły już do poważnych wysokości.

Portos, patrząc na ruchy przeciwnika i na pracę w fortyficy doszedł do wniosku, że obrona będzie na czas przygotowana.

Wezwał Quipelta i polecił mu wydzielić po kilkudziesięciu wojowników z grupy łuczników, miotaczy kamieni i przeznaczonych do lania wrzącej wody i wosku by z nich utworzyć odwód, gotów zawsze do użycia w najbardziej zagrożonym punkcie.

Powoli dowódcy Inkasów zaczęli odchodzić od murów i grupować się wokół Portosa.

— Teraz wytłumacz im, co mają robić! — rzekł pilot do Quipelta — Nieprzyjaciel zaraz nas zaatakuje. Jesteśmy na to całkowicie przygotowani. Przede wszystkim nakaż dowódcom, by rozdzielili między siebie komendę w ten sposób, by każdy z nich zajął się wyłącznie swoim odcinkiem obrony i nie interesował się walką na innych odcinkach. Każdy otrzymany rozkaz mają spełnić momentalnie, bez wdawania się w ocenę jego celowości. Wybierz około dziesięciu młodych, sprytnych chłopców, którzy będą spełniać obowiązki łączników. Ci łącznicy muszą być przy mnie, by w każdej chwili można ich było posłać z rozkazem do odpowiednich dowódców na murach. Każdy z dowódców, w wypadku zauważenia jakichś podejrzanych ruchów nieprzyjaciela, obowiązany jest wysłać natychmiast łącznika z odpowiednim meldunkiem do mnie. Niech każdy z do-

wódców wybierze najlepszych łuczników i ustawi ich w linii bojowej za murem. Nie wolno reagować na atak nieprzyjaciela bez mojego rozkazu. Musimy dopuścić wroga pod same mury, a gdy zacznie się- piąć do góry obrona rozpocznie się na mój znak. — Łucznicy mają wyrzucać swe strzały na trzecią część odległości normalnego strzału z łuku, a nie bezpośrednio na pierwsze linie atakujących. Tych będziemy zwalczali wrzątkiem i kamieniami. Kobiety będą lały wrzątek na wrogów. Czy wszystko zrozumiałeś?

Quipelt z najwyższym entuzjazmem powtarzał dowódcom otrzymane rozkazy, odnośnie całego planu obrony. Okrzyki radości i ogólna wesołość min były niezbitym dowodem, że wszystko im się bardzo podobało. Gdy Quipelt skończył przekazywanie rozkazów i upewnił się, że wszyscy dobrze zrozumieli, nałożone na nich obowiązki, zebrani wodzowie z Quipoltem na czole, wznieśli chóralny okrzyk na cześć Portosa:

— Pan Biały!!! Wielki Wódz!!! — Zwycięzimy!!!  
Portos ruchem ręki uspokoił entuzjazm dowódców i rzekł:

— Gdy pokonamy przeciwników znajdujących się między murami, a linią zasięgu strzał łuczników, na mój rozkaz przerwiecie walkę i znów pozwolicie wrogowi podejść do murów, by zniszczyć go tak jak poprzednią atakującą falę. Ty, Quipelt, pamiętaj, by nie zabrakło wrzątku kamieni i strzał.

Dowódcy, wysłuchawszy dodatkowych instrukcji, tłumaczonych przez Quipelta, udali się pospiesznie na swe odcinki obrony.

Portos obejrzał się za siebie i z zadowoleniem stwierdził, że oddziały, przeznaczone do odwodu naczelnego dowódcy, stoją, już gotowe na każde jego skinienie.

Mała, grupa naczelnego dowództwa, złożona z Portosa, Józefa, Quipelta i kilkunastu łączników, zwróciła się w tej chwili w kierunku świątyni, będącej najwyższym miejscem w rejonie i jako taki najbardziej nadającym się na punkt obserwacyjny..

Nieprzyjaciele doszli już niemal do samych murów, formując wokół fortecy stale zaciskającą się, obręcz oblężenia. Naprzeciw bramy stali Władcy Przestrzeni, będący głównym ośrodkiem natarcia. Liczne grupy niewolników dźwigały schody, mające ułatwić wchodzenie na mury. Nieprzyjaciel czekał rozkazu do ataku.

W pewnym momencie nad grupą Władców Przestrzeni wybuchła rakietą i niemal równocześnie z jej wybuchem wróg rozpoczął atak.

Szli cicho, wolnym krokiem, zacieśniając szeregi w miarę zbliżania się ku środkowi koła, którym była broniąca się forteca.

Portos, po raz ostatni przed walką, spojrzął na podległe mu wojsko. Wszyscy byli na swych stanowiskach, nieruchomo oczekując rozkazów. We drzwiach świątyni ujrzał Dorę, otoczoną indyjskimi kobietami. Posłał jej pogodny uśmiech i nie czekając na jej odpowiedź skoncentrował swą uwagę na rozpoczynającym się ataku.

Można było podziwiać porządek, panujący w szeregach napastników. Tragarze, niosący schody szli na przodzie. Byli oni skazani na niechybną śmierć. Widocznie zdawali sobie z tego sprawę, gdyż doszli do pewnej linii i zatrzymali się. W tej chwili podbiegli do nich żołnierze uzbrojeni w szable i lance i zmusili ich do dalszego marszu. Tymczasem reszta wojska napięła łuki i posłała chmurę strzał w kierunku murów.

Niewolnicy, mając do wyboru śmierć zadaną im z tyłu, lub śmierć pod murami, szli teraz zdecydowanie naprzód z nadzieją, że tam, pod murami, znajdą może jakieś ocalenie. Za nimi postępowali żołnierze, przeznaczeni do wdzierania się na mury.

W pewnym momencie całe wojsko zaczęło biec. Gdy przebiegli mniej więcej połowę, odległości dzielącej ich od murów, dało się zauważyć pewne wahanie.

Byli zdziwieni. Spodziewali się, że forteca odpowie wojennym okrzykiem i wypuści chmury strzał z łuków swych

obrońców, a tu tymczasem pogrążona była w przerażającym spokoju. Twierdza wydawała, się być opuszczoną. Ta cisza, zupełnie niespodziewana, dezorientowała ich. Zwolnili biegu, zaczęli posuwać się powoli, aż w pewnej chwili, będąc już pod samymi murami, zatrzymali się, nie wiedząc co robić dalej.

Wszystko to było dla nich co najmniej niezrozumiałe. Przecież są obecnie w tak dogodnej dla obrońców pozycji... Dlaczego nie sypią się na nich strzały?

Niewolnicy oparli schody o mur i nikt nie usiłował im w tym przeszkadzać.

Przybyli łącznicy Władców Przestrzeni niosąc stanowczy rozkaz wchodzenia na mury.

Bez chwili zastanowienia zaczęli się wówczas wdrapywać na mury, a tylne linie napastników ruszyły ku przodowi, by móc w razie potrzeby zastąpić pierwszych.

Wtedy właśnie Otavio dał znak do obrony.

Forteca zadrżała od krzyku swej załogi, a równocześnie niezliczona ilość kamieni zaczęła miażdżyć wdzierające się na mury żołdactwo. Strzały posypały się na dalsze szeregi, uniemożliwiając zbliżenie się ich do murów w celu udzielenia pomocy ginącym bez ratunku towarzyszom broni.

Nie wielu napastnikom udało się wedrzeć na mur, a ci, którzy tego dokonali, ginęli pod ciosami toporów, szabel i lanc.

W piętnaście minut po rozpoczęciu walki niedobitki napastników wycofywały się w popłochu, pozostawiając na placu boju stosy trupów. Główne siły Władców Przestrzeni, zaskoczone niespodziewanie skutecznym oporem, wycofały się także poza zasięg strzał.

Forteca zadrżała od triumfalnych okrzyków swych obrońców. Pierwszy atak został nadspodziewanie łatwo odparty. Wśród obrońców nie było w ogóle rannych i zabitych.

Portos jednak nie dopuściłby zadowolenie ze zwycięstwa osłabiło gotowość obronną fortecy. Wydał odpo-

wiednie rozkazy i za chwilę znów wrzała w obozie gorączkowa praca nad przygotowaniem wszystkiego do obrony przed nowym atakiem. *Znów* układano piramidy kamieni, znów gotowano wosk i wodę. Część kobiet przy pomocy dzieci zajęła się zbieraniem nieprzyjacielskich strzał i układaniem ich przy oddziałach łuczników, by w następnym ataku mogły być użyte przeciw tym, którzy użyli je po przednio.

## RZDZIAŁ XX

Z punktu obserwacyjnego, zajmowanego przez Portosa, wyraźnie było widać panującą, niepewność w szeregach napastników, szykujących się do ponownego natarcia.

Portos bacznie śledził wszelkie ruchy nieprzyjaciela, gdyż przekonany był, że po otrzymanej krwawej nauczce, napastnicy nie powtórzą ataku w ten sam sposób.

Pomyślność odparcia następnego uderzenia polegała w wielkiej mierze na tym, by w odpowiednim czasie przewidzieć plan przeciwnika.

Pierścień wojsk napastniczych przegrupował się teraz w ten sposób, że utworzył niezależne, nieregularnie rozrzucone, silne oddziały, wymierzone przeciwko poszczególnym fragmentom murów.

Najsilniejsza grupa uformowała się naprzeciw bramy.

Portos dziwił się, że nieprzyjaciel robił przygotowania do nowego ataku w ten sposób, że wydawało się, iż obrona będzie łatwiejsza niż poprzednio. Przekonany był, sądząc z ugrupowania sił, że nieprzyjaciel chce zaatakować niury w kilkunastu punktach, by zdekoncentrować uwagę i wysiłki obrońców, a główne uderzenie wymierzyć w bramę.

Oczywistym było, że obrona przed tego rodzaju atakiem nie zaabsorbuje tylu sił obrończych, ile wiązała walka na całej długości murów. Teraz dopiero powinna, zdaniem Portosa, nastąpić konieczność użycia odwodów. Po chwili zastanowienia, wydał rozkaz podwojenia odwodu. Poza tym kazał poobsadzać wszystkie placówki, naprzeciw których formowały się oddziały uderzeniowe, a szczególnie wzmocnić obrońców bramy, oddziałem łuczników.

Rozkazy Portosa spełniono w mgnieniu oka. Całe wojsko Inkasów miało teraz bezgraniczne zaufanie do białego dowódcy.

Portosa dziwił jednak przewlekający się spokój. Słońce zaczęło pochyłać się ku zachodowi, a wrogowie, aczkolwiek w opinii Portosa gotowi do ataku, czekali nie wiadomo, na co.

Kobiety Inkasów, korzystając z chwilowego spokoju, zaczęły roznosić żołnierzom posiłek. Dora także uparła się, by Pokosowi i Józefowi zanieść coś do zjedzenia.

Otawio w roztargnieniu wypił parę łyków przyniesionego mu napoju.

— Co się dzieje, Otawio? — zapytała zaniepokojona jego milczeniem dziewczyna — Dlaczego jesteś taki niespokojny?

Portos uśmiechnął się i odrzekł:

— To nic, kochanie. Chciałbym, żeby atak nie opóźniał się tak bardzo.

— Oni nie zdobędą tej fortecy! — wykrzyknęła dziewczyna — Pierwszy atak odparty został z takim powodzeniem, że oni na pewno doszli do przekonania, że nie warto próbować drugi raz.

Otawio objął dziewczynę ramieniem i powiedział:

— Spróbują, Doro! Mam pewność, że nie zrezygnowali z pokonania nas, lecz przekonany jestem również, że znów będą pokonani.

— Portos! Atakują! — wykrzyknął Józef podniesionym głosem.

Rzeczywiście rozpoczął się drugi atak. Portos uściśnął serdecznie Dorę i zajął się swymi czynnościami dowódcy.

Na pierwszy rzut oka wydało mu się, że wszystko układa się tak, jak przewidział. Przypuszczono atak w kilku punktach muru i dopiero wtedy, gdy tamte oddziały znajdowały się niemal pod marami główne siły, stojące naprzeciwko bramy, ruszyły do akcji.

Portos wydał odpowiednie rozkazy obrońcom bocznych fragmentów murów i zaczął przyglądać się głównym siłom.

Poza pierwszymi szeregami żołnierzy postępowali Wład-



cy Przestrzeni, a za nimi szły dalsze linie, każda z nich pod dowództwem jednego z Władców.

Portos pomyślał, że nieprzyjaciel będzie atakował pod osobistym dowództwem najwyższych władców, gdy jednak pierwsze linie doszły do granicy zasięgu łuczników, przekonał się, że jego przypuszczenia były błędne.

Wojsko pomaszerowało do przodu, a Władcy Przestrzeni usunęli się na bok i zatrzymali się w zwartej grupie na niewielkim wzgórku wprost bramy.

Portos zaniepokoił się tym manewrem. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy z intencji wroga, lecz przeczuwał jakiś podstęp, tym bardziej, że wszystkie boczne grupy uderzeniowe z niezrozumiałych dla niego przyczyn, przerwały swój marsz ku murom i zaczęły w największym porządku wycofywać się poza zasięg strzał.

Spojrzał na swoich żołnierzy i stwierdził, że wszystko było w największym porządku. obrońcy murów czekali na jego rozkaz na równi ze zgrupowanym przy bramie oddziałem łuczników.

Tymczasem, główne siły nieprzyjaciela, nie zwalniając marszu zbliżały się do rejonu, pokrytego trupami swych towarzyszy, poległych w pierwszym natarciu.

Władcy Przestrzeni stali spokojnie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby ich zupełnie nie obchodziła walka, mająca się za chwilę rozpocząć.

Dlaczego nie atakują na bokach? Dlaczego nie wiążą walką chociażby części sił obrońców, a uderzają od razu głównymi siłami ?

Portos starał się odnaleźć jakiś błąd w swym rozumowaniu. Coś nie było w porządku.

Pierwsze szeregi napastników zaczęły wdzierać się na mury. Nie można było dłużej zwlekać. Padł rozkaz rozpoczęcia obrony. Na wdzierające się na mury oddziały nieprzyjaciela posypały się kamienie i połał się wrzątek, ale z łuków załogi twierdzy nie wyleciała ani jedna strzała. Napastnicy, z okrzykiem wojennym, zaczęli najsilniej atako-

wać bramę, której jedyną obroną byli łucznicy.

Dzielnii w poprzedniej walce żołnierze, znajdujący się teraz w obronie bramy, zamiast strzelać stali nieruchomo, jak posągi. Łuki w ich rękach były gotowe do strzału, lecz dłonie ich wydawały się niezdolne do napięcia cięciwy. Zamglone ich oczy wpatrzone były we Władców Przestrzeni.

Portos zbladł. Teraz dopiero zrozumiał podstęp.

— Hipnoza! — krzyknął przerażony — Zahipnotyzowali naszych łuczników!

Nakazał momentalnie Quipeltowi wprowadzenie do akcji łuczników z odwodu naczelnego wodza.

— Zawiadom wszystkich walczących, by nie przejmowali się tym, co się stało z łucznikami! — krzyknął Portos za oddalającym się Quipeltem.

Walka na murach wrzała. Nie poparta jednak działaniem łuczników nie dawała oczekiwanych rezultatów. Atakujące mury oddziały wroga, nie odcięte od głównych sił śmiertelnościami strzałami, otrzymywały stałe posiłki. Miejsce poległego napastnika zajmowało dwóch nowych, przechylając w ten sposób szalę zwycięstwa na swą korzyść.

Jeszcze gorzej przedstawiała się sytuacja przy bramie, której właściwie nikt nie bronił.

Z uwagi na brak odpowiedniego miejsca nie możliwym było ulokowanie obrońców nad bramą, mającą szerokość około sześciu metrów

W pierwszym natarciu bronili jej, ustawieni specjalnie na murach po obu jej stronach, łucznicy, miotacze kamieni oraz ci, którzy leli wrzątek w bezpośrednim jej sąsiedztwie. Teraz, wobec beczynności łuczników, pozostali wojownicy, broniący muru na odcinku sąsiadującym z bramą, mieli zbyt wiele trudności na swym zasadniczym kierunku, by mogli dodatkowo skutecznie bronić bramy skośnym ciskaniem kamieni, lub niewygodnym laniem wrzątku na boki.

Nieprzyjaciel, korzystając z tego, zacięcie atakował bramę, uderzając w nią potężnymi kłocami, z których każ-

dy niesiony był przez kilkunastu żołnierzy.

Otavio wpadł w rozpacz. Widział, że w tym natarciu, dzięki hipnozie, atak ma większe szanse powodzenia, niż obrona. Łucznicy odwodowi wprowadzeni na mury, po wypuszczeniu kilku strzał, stawali także znieruchomiali, pogłębiając beznadziejność sytuacji.

Już myślał o zorganizowaniu odwrotu z dziedzińca, by dalszą obronę prowadzić z murów i okien wznoszącego się na środku zamczyska, gdy wtem, w przeraźliwym zgiełku bitewnym usłyszał donośne uderzenia gongu, płynące ze szczytu góry. Spojrzał w tym kierunku i ujrzał postać Inkasa, przybranego w białą szatę, który wielkim młotem uderzał w olbrzymi gong.

— Wielki Kapłan prosi pomocy Słońca — wyjaśnił Quipelt, śledzący spojrzenie Portosa.

Portos nie usłyszał jego słów. Odblask słońca, odbijającego się od lśniącej powierzchni metalowej tarczy, nasunął mu zbawczą myśl.

— Chodźmy tam! Prędko! — zawołał do swego otoczenia.

W szalonym pośpiechu przebiegli schody i dotarli do zakańczającego piramidę tarasu, na którym umieszczony był gong.

Nie zwracając uwagi na zgorszenie kapłana, zaskoczonego bezceremonialnym przerwaniem mu modłów, Portos podbiegł do gongu i chwyciwszy go oburącz usiłował skierować odbijające się w nim promienie w oczy zgrupowanych Władców Przestrzeni. Józef, zrozumiałwszy wysiłki Portosa, pomógł mu i za chwilę ujrzeli rezultat.

Silny odbłask, skierowany w oczy hipnotyzerów, zmusił ich do zasłonięcia rękami twarzy i przzerwania w ten sposób hipnotycznego działania na obrońców.

Łucznicy, wyzwoleni spod władzy paraliżujących ich spojrzeń, wypuścili natychmiast w szeregi napastników setki strzał.

Sytuacja niewątpliwie uległa znacznej poprawie, ale pomimo wszystkiego zwycięstwo przechyliło się na ko-

rzyść napastników, uprzywilejowanych przez długi okres walki.

Obrońcy wyczerpani poprzednią, niekorzystną sytuacją, dwoili się i troiliby nie ulec przewadze przeciwnika, który rzucał teraz do walki wszystkie swe rezerwy, wyczekujące dotychczas, w bezpiecznej odległości od murów, wprowadzenia ich do walki.

Widocznym było, że głównym celem napastników było rozbicie bramy i wtargnięcie przez ten wyłoni do środka fortecy.

Możliwości dłuższej obrony stawały się coraz bardziej problematyczne. Inkasowie nie szczędzili swych wysiłków i krwi, to też mury coraz gęściej pokrywały się trupami bohaterских obrońców. Władcy Przestrzeni nie liczyli się wcale z własnymi stratami i ślali swe oddziały na niechybną, śmierć ze świadomością, że dzięki swej przewadze liczebnej osiągną wreszcie zwycięstwo.

Portos spojrział na stojącą w drzwiach świątyni, przerażoną Dorę. Liczył się poważnie z możliwością szybkiego zwycięstwa wroga. Przyszła mu na myśl ewentualna ich sytuacja w wypadku powtórnego wpadnięcia do strasznej niewoli. Zawołał, więc Quipelta i podając mu sztylet rzekł blednąc jak trup:

— Idź tam, gdzie jest Dora. W wypadku wtargnięcia ich do wnętrza nie pozwól, by ją wzięli żywą. Przysięgasz mi spełnić nią prośbę?

Czarne oczy Inkasa błysnęły rozpaczliwie. Zrozumiał, że Portos przewiduje szybki, tragiczny koniec walki.

— Quipelt obiecuje! — odpowiedział uroczyście zapytany i chwycił podaną mu broń.

Zeszli razem ku tarasowi, na którym stała Dora. Pilot tkliwie uścisnął dziewczynę i patrząc ze smutkiem w jej załzawione oczy rzekł:

— Kochana, nadszedł czas, że wszystkie zdrowe ramiona potrzebne są na murach. Czekał na mnie tutaj. Zostawiam się pod opieką naszego dzielnego Quipelta. Nie trać

nadziei.

Dora, nic mogąc powstrzymać łez, niezdolna do wymówienia ani jednego słowa, rzuciła mu się na szyję i nie zwracając uwagi na otoczenie zaczęła obsypywać go pocałunkami.

— Niech Bóg cię strzeże — wyszeptała wreszcie.

Portos delikatnie odsunął ją od siebie i szybko oddalił się w obawie, by nie stracić panowania nad sobą.

Nieprzyjaciel już walczył pośród murów. Poczną grupy uderzeniowe wroga nacierały teraz z całą zaciekłością. Połowa bramy, wyrwana z zawiasów, otwierała dogodne wejście na dziedziniec. Oddział bohaterskich Inkasów bronił wprawdzie tego wylomu, ale niestety musiał stale cofać się pod bezwzględny naporem przeciwnika i oddawać piędź po piędzi swą ziemię, spływającą krwią poległych i rannych obrońców.

Portos skoczył w kierunku bramy. Jedyłą jego żądzą było obecnie zniszczenie jak największej ilości wrogów i śmierć w walce.

Nagle zatrzymał się. Jakiś dziwnie znajomy odgłos przedarł się przez wrzawę bitwy.

— Czy to możliwe? — pomyślał Portos i zaczął uważnie nadśluchiwać.

Nerwowym spojrzeniem wpatrzył się w niebo, skoncentrowawszy uwagę na kierunku, z którego dolatywał, potężniejący z każdą chwilą odgłos.

— Samoloty!!! Samoloty!!! — krzyknął głosem, w którym brzmiała nuta niewysłowionej radości.

Rzeczywiście, po chwili można już było wyraźnie dostrzec dwa wspaniałe dwumotorowce, majestatycznie zbliżając się w kierunku pola walki.

Upłynęło jeszcze kilkadziesiąt sekund i srebrne ptaki zaczęły zataczać koła, szukając odpowiedniego miejsca do lądowania.

Otawio, niemal oszalały ze szczęścia, machał rękoma, nie zdając sobie chwilowo sprawy, iż znaki jego nie mogą

być dostrzeżone przez lotników.

— Józef! Oto nasze zbawienie! — krzyknął nie przestając przekazywać, sygnałów — Musimy dać im wskazówki, by orientowali się, kto jest naszym wrogiem! Patrz! To są wojskowe samoloty! Bombowce! Jeden amerykański, a drugi brazylijski!

Otaczający ich Inkasowie leżeli na ziemi, kryjąc panicznie przerażone twarze. Widok nieznanym im, olbrzymich ptaków, wydających jakiś niesamowity ryk, był silniejszy od ich odwagi i woli obrony. Na szczęście taki sam popłoch ogarnął szeregi napastników. Samoloty, krążące obecnie nisko nad pobojowiskiem, głużyły potężnym warkotem swych silników wszelkie odgłosy zamierającej walki. Oddziały napastnicze częściowo przywarły do ziemi, częściowo, rzucały broń i uciekały w popłochu, by wyjść jak najszybciej z rejonu, objętego we władzę straszliwych, latających potworów. Jedynie grupa Władców Przestrzeni stała nieruchomo na swych miejscach z wzrokiem utkwionym w dziwne zjawisko.

Portos, znając z doświadczenia ich siłę hipnotyzerską, zaczął obawiać się o los lotników. Zrozumiał, że musi znaleźć jakiś sposób porozumienia się z pilotami, zanim staną się oni ofiarami nadnaturalnej siły tych przeklętych istot.

Szukał sposobu porozumienia się, a czas uciekał. Obejrzał się wokół i wzrok jego znów zatrzymał się na gongu. Skojarzył go z płaszczem, który widział na kapłanie. Przypomniał sobie, że Quipelt, przed walką, miał na sobie zielony płaszcz, zrobiony z piór papug.

— Gong żółty, tło zielone! — pomyślał — Muszą zrozumieć!

Nie czekając ani chwili pobiegł schodami na górę wołając Józefa i Quipelta.

Taras świątyni był pusty. Wbiegł wraz z podążającym za nim Józefem do popuszczenia za ołtarzem i znalazł tam Inkasa wraz z Dorą. Indianin, nic znający ostatnich chwil przebiegu walki przekonany był, że to wrogowie wdzierają

się do świątyni. Stał więc z nożem w ręku, gotów spełnić daną Portosowi obietnicę.

— Quipelt! To my jesteśmy! Jesteśmy ocaleni! Przybyły nam na pomoc samoloty! — krzyczał Portos zdzierając z Indianina płaszcz.

Następnie, z płaszczem przerzuconym przez ramię, skierował się biegiem ku schodom krzyząc:

Chodźcie! Dora! Józef! Prędko!... Quipelt! Uspokój żołnierzy! Wy tłumacz im, że te ptaki to nasi przyjaciele!

Za chwilę byli na najwyższym tarasie.

— Dora! Zatrzymaj się koło parapetu i dawaj znaki! — rozkazywał Portos.

Sam z pomocą Józefa zaczął nakrywać jedną część gongu zielonym płaszczem.

Żółty, metal gongu odcinał się wyraziście od zielonego przykrycia.

— Plaga brazylijska! — zawołał Portos.

Eksperyment udał się. Krażące dotychczas samoloty zniżyły się jeszcze bardziej, co pozwoliło zobaczyć siedzących w wieżyczkach członków załóg, dających ruchami rąk znaki, że zrozumieli sygnał.

Portos uścisnął płaczącą z radości Dorę i zaczął pilnie obserwować manewry samolotów, które przeleciawszy koszącym lotem nad przerażonymi oddziałami wrogów, zaczęły wzbijać się ku górze. Osiągnąwszy wysokość kilkuset metrów przeleciały poza rejon walki, zatoczyły łuk i skierowały się nad wzgórze, na którym stali Władcy Przestrzeni.

— Weszły na kurs bombardowania! — krzyknął Portos — Będą bombardować!

Niemal równocześnie z tym okrzykiem dał się słyszeć potężny odgłos detonacji, a z miejsca, na którym stali Władcy Przestrzeni, wystrzelił ku górze wysoki słup ognia, dymu i kurzu.

— Jesteśmy ocaleni! — szepnęła wzruszona Dora.

Tymczasem Quipelt tłumaczył kapłanowi cudowne latające zjawisko i używając swego autorytetu władcy na-

kłaniał starca do działania.

Samoloty zatoczyły znów półkole i zrzuciły następną porcję bomb na wroga, a następnie zniżyły się i krążąc lotem koszącym nad zdziesiątkowanymi oddziałami wroga raziły go ogniem karabinów maszynowych.

Kapłan, widząc, że ptaki nie wyrządzają żadnej krzywdy Inkasom, uwierzył Quipeltowi i chwyciwszy ciężki młot, zaczął uderzać w gong. Wyjaśniał Inkasom za pomocą odpowiednich sygnałów, że ptaki zostały im zesłane, przez Boga Słońca na pomoc w walce z odwiecznym wrogiem.

W miarę uderzeń gongu zaczęło następować uspokojenie w szeregach obrońców. Inkasowie zaczęli podnosić się z ziemi i wciąż z wielkim strachem, rozglądali się wokół. Przekonawszy się, że naprawdę dziwne potwory nie atakują ich, chwycili za broń i puścili się w pogoń za niedobitkami nieprzyjaciela.

Kto nie padł od kul karabinowych, ginął teraz od uderzeń toporów. Inkasowie dawali obecnie upust narosłej przez wieki nienawiści. Odplacali tysiące krzywd, jakich doznali od swych zbrodniczych sąsiadów. Nawet ranni nie unikali śmierci.

Portos stał na tarasie świątyni i obserwował przebieg likwidacji wroga. Dora, nie mogąc patrzeć na formalną rzeź, ukryła głowę na piersiach Otavia, łkając cicho z radości, że są ocaleni.

Wtem dał się słyszeć głuchy pomruk, podobny do odgłosu zbliżającej się burzy, a za chwilę zaczęło się zupełnie wyraźne trzęsienie ziemi. Portos rzucił szybkie spojrzenie na płaskowyż, będący siedzibą Władców Przestrzeni i stwierdził, że pokrył się on gęstą, czarną chmurą dymu, z którego błyskały białawe i żółtawe języki płomieni.

Poczuł naraz, że ziemia zaczyna mu się osuwać pod nogami. Ostatnim wysiłkiem przycisnął do siebie Dorę i... stracił przytomność.



## ROZDZIAŁ XXI

Gdy Portos odzyskał przytomność, stwierdził, że porwał go podmuch jakiegoś groźnego huraganu. Szalone porwy wiatru rzucały nim jak piłką.

Dora, która przyczepiła się do niego całą siłą swych mięśni, krzyczała coś, czego w tym piekielnym zamięcie i hałasie nie był w stanie zrozumieć. Toczyli się razem z tarasu na taras, popychani potężną siłą wichury, aż wreszcie zostali rzućeni na podnóże jakiejś granitowej kolumny. Oparci o tę przeszkodę czekali z drżącymi sercami końca. Myśleli, że huragan pogrzebie ich pod granitowymi gruzami. Nagle wszystko ucichło. Burza minęła tak gwałtownie, jak nadeszła. Dochodziły jedynie coraz słabsze odgłosy, przypominające raczej wybuchy, niż grzmoty. Gęsta chmura pyłu, zasłaniająca poprzednio cały horyzont, zaczęła obecnie opadać, pozwalając na bezpieczne otwarcie oczu.

Poprzez szum cichnących gwałtownie odgłosów, dały się obecnie słyszeć jakieś przejmujące okrzyki przerażenia i jęki. Dora, która wciąż trzymała się kurczowo Portosa, powtarzała półprzytomnie:

— Boże mój! Boże!

Po chwili, zdobywając się na spokój, spytała:

— Co to się stało, Otavio ?

— Nie wiem, kochana! — odpowiedział ochryłym głosem pilot — Przypuszczam, że przeżyliśmy jakieś potworne trzęsienie ziemi. Na szczęście wszystko już minęło!

To mówiąc spojrział na Dorę i teraz dopiero zobaczył ślady krwi na jej ciele. Przestraszył się. Spojrział na siebie i stwierdził, że oboje są jednakowo pokrwawieni i obszarpani. Z trudnością podniósł się i pomógł wstać Dorze. Wszystkie kości bolały go niesamowicie, jednakowoż nie miał nic złamanego, lub poważniej uszkodzonego. Pomimo

bólu, spowodowanego silnym potłuczeniem, mógł swobodnie poruszać, wszystkimi kończynami. Krew sączyła się z powierzchownych zadrapań, lub pozornych ran, będących w rzeczywistości jedynie zdarciem naskórka. Stan Dory był w najgorszym wypadku taki sam, tym nie mniej Portos nie był w stanie spokojnie patrzeć na tę delikatną istotę, poranioną i pokrytą łachmanami, zachowującą mimo wszystkich tragicznych przeżyć, pełną rozwagę i spokój.

Chmury kurzu opadły na tyle, że rozejrzawszy się dokoła można było zaobserwować skutki fatalnego huraganu.

Piramida, na której wznosiła się świątynia, stanowiąca centrum osady Inkasów, znikła, a miejsce jej zajęło wysokie usypisko gruzów i kamieni. Potężny mur, otaczający fortecę, mimo swej silnej konstrukcji, nie wytrzymał naporu żywiołu. W wielu miejscach był on poprzerywany szerokimi szczelinami, wypełnionymi gruzem.

Cały teren miasteczka, jeszcze przed godziną pełnego ludzi, wydawał się być kompletnie wymarły. Kto nie puścił się w pościg za wrogiem znalazł prawdopodobnie śmierć w gruzach walących się murów.

Dora i Portos zaczęli z trudem wspinać się po górach gruzu, by z dogodniejszego punktu spojrzeć na okolice. W pewnej chwili usłyszeli słabe jęki. Posuwając się w ich kierunku doszli do dużego stosu kamieni.

— Ktoś jest pod tym stosem! — rzekł Otavio — Musimy go ratować!

Zaczęli ostrożnie usuwać kamienie i pnie powalonych drzew, nie zwracając uwagi na to, że każdy ruch powodował niesamowity ból ich potłuczonych kości. Po kilkunastu minutach pracy wysiłki ich zostały nagrodzone. Pod gruzami znaleźli dwa ciała: Quipelta i kapłana. Nieszczęśliwy kapłan już nie żył. Z roztrzaskanej czaszki wypływała szara masa mózgu i mieszała się z krzepnącą już krwią. Quipelt, nieprzytomny, jęczał od czasu do czasu. Portos zbadał go powierzchownie i doszedł do przekonania, że poza złamaną już dawniej ręką i obficie krwawiącymi, dość

głębokimi, lecz zupełnie nie groźnymi ranami, Indianin nie odniósł poważniejszych uszkodzeń.

W czasie badania Portos niechcący nacisnął złamane ramię Indianina. Z gardła leżącego wyrwał się silniejszy jęk i za chwilę, widocznie pod wpływem bólu, uchyliły się oczy chorego.

— To nic przyjacielu! — rzekł pilot spokojnym, miękkim głosem — Odpocznij trochę. My za chwilę wrócimy, by ci pomóc.

Inkas pokiwał przecząco głową i rzekł;

— Quipelt nie będzie czekać. Quipelt pójdzie też zobaczyć co się stało.

Za chwilę posuwali się dalej we troje.

Niedaleko od miejsca gdzie leżał Quipelt, znaleźli nieruchome ciało Józefa. Leżał w kałuży krwi, która wyciekała mu z głębokiej rany na głowie.

Portos przyjrzał się leżącemu i z zadowoleniem stwierdził, że jeszcze oddycha. Najważniejszym było zatamowanie krwi. by śmierć nic nastąpiła na skutek nadmiernego jej upływu. Bez środków lekarskich trudno było zatrzymać krwawienie tak głębokiej rany.

Z pomocą przyszedł Quipelt.

—Panna wejdzie tam — rzekł wskazując na jakieś okno połowicznie zawalonego budynku — i przyniesie pajęczyn i Chleba. Dużo pajęczyn.

Dora, niewiele myśląc, wcisnęła się we wskazane okno i po chwili ukazała się z kawałem placka i masą pajęczyny w ręku.

Quipelt tymczasem tłumaczył Portosowi w jaki sposób należy ogarnąć brzegi rany, by zmniejszyć krwawienie, a następnie wzięwszy od Dory chleb zaczął ugniatać jego miękkisz, gęsto mieszając go ze śliną, aż wreszcie uzyskał coś na kształt cienkiego plastra. Następnie jedną jego stronę pokrył gęsto pajęczyną i tak przygotowany opatrunek przyłożył do rany. Po upływie kilkunastu sekund krwawienie ustało.

— To stary indyjski sposób! — tłumaczył Inkas, nie wiedząc, że świat cywilizowany znał tę metodę leczenia ran już przed wiekami.

Tymczasem spod gruzów zaczęło ukazywać się coraz więcej postaci Indian, a wkrótce zaczęli dołączać do nich uczestnicy pościgu za wrogiem.

Wszyscy byli wyraźnie przerażeni i widocznym było, że wahali się podejść do białego wodza, by szukać jego protekcji.

— Quipelt! — rzekł Portos, obejmując znów komendę nad całością — Powiedz im, by w miarę możliwości, doprowadzali wszystko do porządku. Niech udziela pomocy ranym, pozbierają zabitych i natychmiast ich pogrzebią. Ty zawiadom swój naród, że niebezpieczeństwo już minęło i nic wróci.

Inkas przypomniał sobie swe obowiązki wodza, wyprostował się i zaczął wydawać polecenia i rozkazy. Poddani posłusznie wypełniali jego zarządzenia radzi, że nareszcie, po okropnościach walki mogą zająć się spokojną pracą i oddać hołd poległym braciom.

Dora tymczasem obserwowała zniszczenie spowodowane trzęsieniem ziemi.

Pogoda ustaliła się, wiatr ucichł, promienie słońca oblewały teraz rześzystymi potokami całą przestrzeń, będącą jeszcze niedawno we władzy niszczycielskiego żywiołu.

Na bagnach widać było gdzieś opuszczone tratwy, pływające bez określonego kierunku po falującej jeszcze wodzie; wyrwane z korzeniami drzewa tworzyły miejscami wysokie stosy, spoci których wychylały się przerażone postacie Indian, łączących się w gromadki. Całość przedstawiała opłakany widok zniszczenia. W miejscu, na którym wznosiła się dawniej majestatyczna góra, będąca siedzibą Władców Przestrzeni, widniała obecnie pofalowana równina, pokryta morzem gruzów.

Dora wskazała to miejsce Portosowi.

— Boże mój! — wyszeptał pilot, zrozumiałwszy teraz

całą prawdę — Starzec spełnił swą obietnicę.

Dora spojrzała na Portosa z wyrazem zdziwienia.

— Czy ty sądzisz, że katastrofa była dziełem paralityka? — zapytała.

— Tak, Doro! Teraz jestem tego pewny. Ozy przypominasz sobie chwilę, w której on odłączał się od nas? Przecież skierował się ku magazynom prochu, pozostałego w podziemiach góry od czasu, gdy zaprzestano, z uwagi na niebezpieczeństwo, stosować materiały wybuchowe do eksploatacji kopalń. Tak, ten huragan był wynikiem wybuchu prochów podpalonych ręką starca. Cienka skorupa wydrążonej góry nie wytrzymała naporu gazów, powstających przy spalaniu materiału wybuchowego i zawaliła się jak domek z kart.

— To straszne! — szeptała Dora. — Tyle żyć ludzkich... Cały naród. Odwieczna kultura... Wszystko zniszczone przez jednego człowieka!

— Tak. Zginęły tysiące niewinnych niewolników, ale zginęły raptownie, bez bólu — mówił Portos. — Nie wolno nam jednak zapominać, że zginęło także szatańskie plemię geniuszów zła, co jest niewątpliwie dobrodziejstwem dla ludzkości.

— Masz rację! — westchnęła z ulgą Dora — Bóg nie pozwolił, by weszli oni w kontakt z naszą cywilizacją. Zło jest zaraźliwe jak trąd. Kto wie, czy z biegiem czasu świat nic zamieniłby się w piekło? Szkoda tylko, że została zniszczona biblioteka!

— Co się tyczy biblioteki, kochana, to możesz być zupełnie spokojna! — powiedział Portos — szukając w kieszeni przekazanego mu przez starca rulonu.

— Co za nieszczęście! — wykrzyknął po chwili — Zgubiłem zwój papierów, który zawierał historię „Władców Przestrzeni” opracowaną przez starca. Quipelt wręczył mi ten rulon w podziemiach. Wsunąłem go za koszulę... Cemu ja nie włożyłem tych dokumentów do kieszeni spodni, razem z tą skrzyneczką...

— Może ci wypadły na mokradłach? — powiedziała Dora — Każ Inkasom przeszukać, może znajdą!

— Myślisz, że to możliwe? Przy takiej wichurze...

Portos przerwał w połowie rozpoczęte zdanie i zaczął nadśluchiwać.

— Co się stało? Otavio! — zapytała zaniepokojona Dora.

Portos, nie wypowiadając ani jednego słowa nakazał jej gestem milczenie, a sam, ze wzrokiem skierowanym do *góry*, uważnie słuchał. Po chwili z uśmiechem na ustach zapytał Dorę, czy ona słyszy.

Dziewczyna wyteżyła słuch. — Niebawem i do jej uszu doleciały niewyraźne jeszcze dźwięki pracy silnika.

— Nie spodziewałem się ich dzisiaj! — zawołał Portos. — Za godzinę się ściemni. Jakże oni wylądują wśród tych kamieni? Trzeba coś zrobić! Musimy przekazać im pewne wskazówki!

To powiedziawszy, pobiegł na poszukiwanie Quipelta. Wierny Indianin znajdował się o kilkadziesiąt kroków, gdzie kierował pracami porządkowymi i opatrywaniem rannych. Zorientowany przez Portosa w sytuacji kazał swym ludziom przystąpić natychmiast do oczyszczenia placu tak, by mógł on posłużyć jako lotnisko.

— Trzeba przede wszystkim uprzedzić ludzi i pouczyć ich, że ze strony samolotów nie grozi im żadne niebezpieczeństwo, gdyż ludzie lecący w nich są naszymi przyjaciółmi, którzy pomogli zwyciężyć wojska Władców Przestrzeni.

Inkasowie zastosowali się do poleceń swego wodza, lecz w chwili, gdy samolot pojawił się nad ruinami miasta uczucie strachu wzięło znów górę nad rozsądkiem. Rzucili się na ziemię, zakrywając twarze rękoma. Z trudem Quipelt zdołał przekonać kilkudziesięciu, że nic im nie grozi i nakłonić ich do pracy.

Samolot krążył obecnie nad głowami pracujących. Portos podniósł dwa białe płaszcze pozostałe po Władcach Przestrzeni i stanąwszy na środku oczyszczonego placu za-

czął dawać lotnikom sygnały.

— Tylko jeden samolot — zauważyła Dora.

— Drugi powrócił na pewno do najbliższego lotniska, by uniknąć, niebezpiecznego lotu w czasie burzy, rzekł Portos — starając, się ukryć swój niepokój o los załogi, narażonej na poważno niebezpieczeństwo w czasie wichury spowodowanej eksplozją.

— No! — zawołał w pewnym momencie — Zrozumieli moje sygnały!

Rzeczywiście, samoloty zaczęły zataczać regularne koła nad oczyszczanym placem, prawie golowym na przyjęcie gości.

— Wskazałem im sygnałami miejsce lądowania — rzekł Portos — oraz zawiadomiłem, że za kilkanaście minut wszystko będzie gotowe. Powiedz Qwipeltowi — rzekł zwracając się do Dory — by przyspieszył oczyszczanie placu.

Chwilami zdawało się Portosowi, że tam w górze nie rozumieją go. Będąc doświadczonego pilotem, zdawał sobie doskonale sprawę z tego, że lądowanie w niewłaściwym kierunku może narazić na katastrofę. Nierówności terenu, których z góry nic można dojrzeć, mogą być przyczyną kapażu. Na szczęście dalsze manewry, wykonano przez stale krążący samolot, upewniły Portosa, że został on dobrze zrozumiany przez załogę. Całkowicie uspokojony zaprzestał dalszej obserwacji i pobiegł pomagać Indianom w oczyszczaniu terenu.

Inkasowie, przekonani teraz całkowicie, że olbrzymi ptak jest ich sprzymierzeńcem, pracowali gorączkowo, nie okazując lęku przed tajemniczym zjawiskiem.

Rozkazy Quipelta i potężnego białego pana, który potrafił skomunikować się z latającym potworem, były wykonywane w oka mgnieniu.

Wszystko było gotowe po kilkunastu minutach wyętej pracy, dzięki fachowym wskazówkom Portosa znajdującego z okresu służby wojskowej w lotnictwie metody szybkiego przygotowywania prowizorycznych lotnisk.

Obecnie Portos nakazał Indianom, by natychmiast usunęli się z oczyszczonego terenu, a sam pobiegł na koniec zaimprovizowanej drogi startowej i machając doraźnie przygotowanymi flagami dawał znaki do lądowania, Uwzględniając kierunek wiatru.

Obsługa samolotu zrozumiała. Płatowiec zatoczył jeszcze jedno półkole, tym razem większe od poprzednich i przyjąwszy kurs przeciwny kierunkowi wiatru, zaczął łagodnie podchodzić do lądowania. Za chwilę rolował już po wyrównanym polu.

Dorą nie wytrzymała. Pobiegła na przeciw stalowego ptaka w chwili, gdy jego koła dotknęły ziemi.

Przecucie nie zawiodło jej. Za chwilę, w otwierających się drzwiach kabiny, ukazała się postać wysokiego, barczystego mężczyzny w średnim wieku, w której Portos z daleka rozpoznał swego pracodawcę.

Bankier zeskoczył lekko na ziemię i uchwycił w objęcia swą jedynaczkę, którą już uważał za straconą. W rozradowanych oczach obojga zabłyśły łzy szczęścia.

Uściski i pocałunki przeplatane chaotycznymi pytaniami, wytworzyły taki nastrój, że na twarzach pozostałych członków załogi, którzy w międzyczasie zdążyli opuścić samolot i otoczyć witających się, można było wyczytać głębokie wzruszenie.

Indianie, z wyjątkiem swego wodza, padli na ziemię, lecz teraz nie ze strachu, a przez szacunek dla potężnych przybyszów.

Quipelt, wspierając na swym ramieniu Józefa, stał wyprostowany patrząc na zbawców wzrokiem wdzięczności i Uwielbienia.

Niebawem do powstałej tak grupy ludzi dołączył się i Portos. Był wybitnie zmieszany. Przecież w oczach tego potentata był on jedynie zwykłym płatnym pilotem, którego powinno się traktować na równi z szoferem, czy pokojówką.

Zdenerwowanie jego pogłębiło się na myśl o ewentual-



nym podziękowaniu ze strony bankiera. Zdawał sobie doskonale sprawę z różnicy pozycji społecznej swojej i bankiera, a chciał uniknąć spotkania się z jakimikolwiek wyrazami wdzięczności, bojąc się wyczytać w nich powiedzenia:

--- Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść. — Nic więc dziwnego że kręcił się niezdecydowanie na tyle zwartego pierścienia, otaczającego witającą się parę.

Widok barw brazylijskich na skrzydłach płatowca nie wpływał także dodatnio na jego samopoczucie, gdyż przypomniał mu żywo miniony okres jego życia, w którym był młodym, doskonale zapowiadającym się, oficerem lotnictwa.

Z tego pesymistycznego nastroju wyrwał go okrzyk Dory:

— Otavio ! Chodź tutaj!

Portos udawał, że nie słyszy.

Dora nie czekała. Wyrwała się z objęć ojca, podbiegła do młodzieńca i schwyciwszy go za rękę pociągnęła energicznie za sobą.

— Ojczulku! To jest mój zbawca! To jest najodważniejszy i najszlachetniejszy człowiek na świecie.

Milioner serdecznie uścisnął dłoń obszarpanego, pokrwawionego brudasa i pełnym uczucia głosem zaczął mówić:

— Dziękuję panu... Wdzięczny jestem z całego serca...

Nagle przerwał i spojrzawszy bacznie na Otavia wyszeptał w zakłopotaniu:

— Ale... to pan Portos, nasz...

— Tak tatusiu! — przerwała Dora — Nasz były pilot, a obecnie mój narzeczony!

— Ale... Doro... bąkał kompletnie zmieszany Camber — a Bob?...

Wyraz twarzy Dory stał się nagle surowy.

— Bob nie żyje — odrzekła Dora. — Doczekał się tego, na co zasłużył. Szkoda tylko, że tak późno.

W tej chwili jeden z członków załogi, który uważnie przyglądał się Portosowi zapytał go z nieukrywanym zainteresowaniem :

— Przepraszam pana! Czy pan nie jest oficerem, pilotem Forca Aerea Brazileira?

— Fontoura! — wykrzyknął Otavio, poznając w pytającym dawnego kolegę ze szkoły oficerskiej.

Bankier ze zdziwieniem patrzył na serdeczny uścisk, jaki połączył jego prywatnego pilota z dowódcą brazylijskiego wojskowego samolotu, użyczzonego mu dla ułatwienia poszukiwać.

— Fontoura. zorientowawszy się w sytuacji, rzekł:

— Przedstawiam panu. kapitana Otavio Portosa jednego z najwybitniejszych oficerów naszego lotnictwa, potomka starego, zacnego rodu brazylijskiego. Jego niezłomne zasady i nieugięty, szlachetny charakter nie pozwoliły mu na dalszą służbę w wojsku w okresie rewolucji i zmusiły do szukania chleba na obczyźnie.

Następnie zwracając się do Portosa dodał:

— Już minął rok od czasu twojej rehabilitacji, przeprowadzonej na wniosek rządu. Nie otrzymałeś zawiadomienia, gdyż nikt nie wiedział gdzie się obracasz. Ojczyzna chce ci wynagrodzić wyrządzone krzywdy i czeka twego powrotu do armii.

Otavio, wzruszony wytworzoną sytuacją, przyjmował w milczeniu uściski i powinszowania. Po chwili przypomniał sobie Quipelta, który stał nieruchomo i przyglądał się z zainteresowaniem niezrozumiałej dla niego scenie.

— Panie Camber! — rzekł Portos przedstawiając Inkasa — To jest nasz szlachetny i wierny towarzysz. Robił wszystko co mógł, by nas ocalić, stawiając wielokrotnie na hazard swoje życie.

Bankier i pozostali członkowie załogi samolotu ściskali kolejno dłoń Inkasa, który przyjmował wyrazy uznania z wielką, powagą, i błyskiem zadowolenia w czarnych, myślących oczach.

— Niech pan mu powie — rzekł bankier zwracając się do Portosa — że nigdy nic zapomnę tego, co dla was zrobił. W najbliższym czasie przyślę mu samolotem broń i inne potrzebne rzeczy, jako podarunek dla niego i jego szlachetnego narodu. Jednocześnie niech pan poprosi go, by kazał pilnować naszego samolotu, gdyż jutro rano odlecimy.

Quipelt. pełnym godności ukłonem, podziękował bankierowi i oddalił się, by zorganizować ochronę samolotu.

Teraz Portos przyprowadził Józefa.

— To jest drugi nasz przyjaciel. Pomógł nam wyrwać się z tego piekła, w którym przez długie, lata cierpiał niewysłowione męczarnie. Ody poznacie historię jego makabrycznych przeżyć, będziecie mogli ocenić szlachetność jego charakteru...

— Tak! To jest prawdziwy przyjaciel! — Wykrzyknęła Dora chwytając za rękę Józefa, zażenowanego wyrazami uznania.

Całe towarzystwo skierowało się teraz ku osiedlu, pozostawiając samolot pod opieką indyjskiej warty.

— Ale co się stało z drugim samolotem? — zapytała Dora.

Radość, będąca wynikiem spotkania, sprawiła, że wszyscy zapomnieli o losie współtowarzyszów wyprawy ratunkowej.

Portos pobudzony zapytaniem Dory, zawołał:

— Jak mogłem o tym zapomnieć! Co to był za samolot?

— To był amerykański bombowiec — rzekł Camber — który na moją prośbę towarzyszył nam w wyprawie. Leciał nim stary Schmidt.

— Dobrze, że samolot się wycofał — rzekł Fontoura — gdyż przykro by było panu Schmidtowi patrzeć na radość spotkania, nie mogąc jej podzielać na równi z innymi.

— **A** samolot? — zapytał Porto? — Czy im się nic nie stało?

— Myślę, że nie — odpowiedział Fontoura. — Prze-

cież nasz aparat, który jest daleko delikatniejszy oparł się wspaniale huraganowi, dlaczego więc tamten, bardziej nowoczesny i cięższy miałby nie wytrzymać naporu?

Uspokojeni opinią fachowca odnośnie losu drugiego płatowca zaczęli wypytywać niedoszłe ofiary o ich przeżycia.

— Myśleliśmy, że zginęliście w czasie cyklonu, który nawiedził Florydę — rzekł bankier. — Wielokrotnie opłakiwałem już twą śmierć, Doro, aż tutaj, zupełnie nieoczekiwanie, gazety opublikowały wiadomości o was.

— Gazety?... O nas?... — rzekła zdziwiona Dora — Powiedzcie nam w jaki sposób zdołaliście nas tutaj odnaleźć ?

— To wy nam musicie powiedzieć, kto przywiązywał kartki do nóg papug, podając dokładnie miejsce waszego pobytu? — odrzekł bankier.

— Sądzę, że dziś nie będzie czasu na opowiadanie o naszych przeżyciach — powiedział zażenowany Portos. — Na to trzeba dobrych kilku godzin czasu. Teraz możemy was jedynie zapewnić, że opowiadanie nasze wyda się wam nieprawdopodobne. Obecnie przygotujcie się na przyjęcie hołdu Inkasów.

Rzeczywiście spośród ruin indyjskiego osiedla wyłoniła się uroczysta procesja setek Inkasów z zapalonymi pochodniami, postępująca pod wodzą Quipelta, przybranego w drogocenny strój kacyka. Zbliżali się z odgłosem miarowych uderzeń w bębny, by złożyć hołd wysłannikom bogów, którzy swą nadludzką władzą obronili ich w niebezpieczeństwie i pozwolili zniszczyć na zawsze wroga, czyhającego od wieków na ich zagładę.

## ROZDZIAŁ XXII

Zbiegowie i ich wybawcy zebrani byli w eleganckiej sali wspaniałego hotelu, w którym Camber wynajął luksusowe apartamenty.

Właśnie Portos skończył drobiazgowo opowiadanie przejść, jakie stały się ich udziałem od chwili odlotu na konferencję.

Słuchacze, pogrążeni byli dotychczas w grobowej ciszy. Rozważali to, co usłyszeli.

Otavio, wsparty na oparciu fotelu, na którym spoczywała sympatyczna, siwa pani, patrzył tkliwie w oczy Dory, siedzącej na kanapie między Camberem i Fontourą.

Józef, oparty o parapet okna, patrzył na przepiękną panoramę rzeki Rio, rozciągającą się przed oknami. Ogolony, elegancko ubrany, niczym nie przypominał nędznego niewolnika. Władców Przestrzeni. Jedyne uderzająca bladeść twarzy i zalepiona plastrem głowa wskazywały, iż ich posiadacz przeszedł niedawno Jakieś niebezpieczeństwa i przygody.

Długie milczenie przerwała matka Otavia:

— Bóg cię strzegł, mój synu! — rzekła drżącym głosem tuląc do piersi jego rękę — Nie wiedziałam, że jesteś w takim niebezpieczeństwie, ale go przeczuwałam.

— Kochana mamusiu! — rzekł Otavio całując z tkliwością rękę matki — Wszystko już minęło. Już nie będziesz więcej płakać.

— Oh! Teraz to są łzy szczęścia, mój synu!

— Dora podbiegła w tym momencie do staruszki i rzucała się w jej objęcia.

— Tak! — odezwał się milioner — To jest naprawdę niebywała historia. Dobrze by było opublikować w pismach zebrane wiadomości o tych Władcach Przestrzeni. Doję się

tylko, że ludzie nie uwierzyliby w prawdziwość takich Sprawozdań.

— A jednak reporterzy dobrze się dotychczas koło tej sprawy kręcili — powiedział Fontoura.

— Gdy czytałem gazetę, wydawało mi się, że czytam jakąś sensacyjną powieść — wtrącił Portos. — Wyobrażam sobie, co by powiedzieli, gdybyśmy im podali całą prawdę. W każdym razie nie mogę sobie darować tego, że tak źle schowałem dokumenty przekazane mi przez starca. Iluż historyków dałoby wiele lat swego życia za to, by dostać je w swoje ręce.

— Nie martw się, Otavio! — rzekła Dora — Przecież nie mogłeś troszczyć się o te papiery w czasie walk. Swoją działalnością ocaliłeś od zagłady cały szczepek Tnkasów i nas wszystkich. Troska o dokumenty mogłaby spowodować, że wszyscy zginęlibyśmy, a z nami i pergaminy arcykapłana.

— Wobec tego, że Inkasowie przeszukali bezskutecznie całe mokradła — wtrącił Portos — wydaje mi się, że dokumenty wypadły mi w czasie przechodzenia przez podziemne galerie.

— Jeśli tak się stało, to przestańmy się nimi zajmować — rzekł Camber. — Odzyskanie ich nic jest już możliwe. Przed dwoma godzinami otrzymałem sprawozdanie pilotów, którzy przetransportowali obiecane Quipeltowi dary, Zastali oni zupełnie zmieniony krajobraz. Miejsce tajemniczego płaskowyżu, oraz mokradeł zajęło teraz olbrzymie, spokojne jezioro. Inkasowie, w chwili gdy przybyły samoloty, zaczęli przeprowadzkę w inne, dogodniejsze okolice. Jedyne świadkami istnienia tego państwa jesteście więc wy. Gdyby nie fakt, że widziałem te stosy trupów i nacierające wojska Władców Przestrzeni, sam nie bardzo byłbym skłonny wierzyć w **wasze** opowiadanie. Nie istnieje żaden ślad, który mógłby służyć jako dowód prawdy, potwierdzający wasze przeżycia.

— Owszem. Pozostał ślad, panie Camber! — rzekł Portos otwierając jedną z szuflad biurka — To pozostało!

Wszyscy zbliżyli się pośpiesznie i z ciekawością zaczęli przyglądać się małej, artystycznie ozdobionej skrzyneczce.

— Niech pan ją otworzy! — dodał Otavio zwracając się znów do bankiera.

Stary finansista nieufnie popatrzył na kasetkę, ale spełnił życzenie Portosa. Uchylił wieczko i wydał okrzyk zdumienia.

Portos nie przestał się uśmiechać.

Wspaniałe odblaski różnokolorowych, drogocennych kamieni razily wprost oczy patrzących.

— Czyż to prawdziwe? — szepnął Camber — To niemożliwe! Przecież to by była niesamowita fortuna!

— Prawdziwe, prawdziwe! — potwierdził Portos i wysypując zawartość kasetki na zielone pokrycie stołu dodał: — Każdy złotnik rozpozna w nich starożytność. Przyjrzyjcie się dobrze na oprawy!

Leżące na stole kamienie błyszcząły wszystkimi kolorami tęczy. Gdy minęło pierwsze wrażenie, wszyscy zaczęli bardziej szczegółowo oglądać precudne klejnoty.

— Fantastyczne! — zawołał wreszcie milioner — Jak żyję nie widziałem czegoś podobnego! Przecież tak wspaniałych klejnotów nic posiada żaden ze sławnych maharadżów!

— Nie będzie ci łatwo sprzedać je — rzekł Fontoura wznosząc pod światło jeden z największych okazów.

— Ja wiem! — odrzekł Portos — Właśnie chciałem prosić pana Cainber'a, by zajął się kamieniami i pomyślał o jak najdogodniejszych zlikwidowaniu ich.

— Ależ! Z największą przyjemnością! — gorączkował się bankier — Przed tym weźmiemy jednak znawcę, by je oszacował i poklasyfikował. Ja sam niektóre kupię.

— Jak zdobyłeś te, skarby, mój synu? — zapytała matka Otavia.

— Prawda! — zawołała Dora — Nigdy o nich nie

wspominałeś.

Poprosili nie nadarzała się sposobność — odrzekł Portos. — Teraz zadośćuczynię ogólnej ciekawości, lecz Przed tym wszyscy dostaną, drobny upominek na pamiątkę tego radosnego zebrania.

To mówiąc wybrał pięć brylantów jednakowej wielkości i rozdał między zebranych.

— Ależ! To królewski prezent! Przecież to cały majątek! Taki biedny pilot zjawiający się naraz z takim brylantem będzie musiał dobrze się legitymować z jego posiadania — protestował Fontoura.

— Poradzimy i na to — rzekł Portos. — Tobie i Józefowi napiszę zaświadczenia, stwierdzające, że podarowałem wam te, klejnoty. Dora i pan Camber naturalnie nie potrzebują żadnego zaświadczenia, gdyż wkrótce będziemy stanowić jedną rodzinę, a zresztą, nikogo nie zdziwi taki brylancik w rękach finansowego potentata.

Otawio zbliżył się znów do biurka i napisał zaświadczenie dla Fontoury. Gdy z kolei zabrał się, do zaświadczenia dla Józefa napotkał na nieoczekiwaną przeszkodę:

— Wyobraź sobie Józefie, że dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nic znam twego nazwiska!

— Dotychczas nie było ono nikomu potrzebne — odparł Józef. — Tyle lat byłem nikczemnym niewolnikiem, że nic wiem sam, dlaczego nie zapomniałem swego nazwiska. Brzmi ono: Józef Skiba.

Portos zadrżał.

— Jak? — zapytał, jak gdyby nie zrozumiał.

— Józef Skiba! — powtórzył były niewolnik, zdziwiony nagłym wzruszeniem Otawia.

— Czyś ty mi nie mówił, że jesteś brazylijczykiem.

— Tak! Ale pochodzę z polskiej rodziny. Mój dziadek był Polakiem. Przybył do Brazylii jako zbieg polityczny, skazany przez carskie sądy na karę śmierci za udział w powstaniu 1863 roku.

— A czy znasz szczegóły z życia twego przodka? —



wypytywał Portos.

— Naturalnie! — odparł Józef — Znam doskonale jego całe życie i jego tragiczną śmierć. Jak już wspomniałem uciekł z Polski w Konsekwencji swego udziału w powstaniu, które zostało przez Rosjan stłumione. Walce o wolność poświęcił całą swą młodość i znaczny majątek, który odziedziczył po rodzicach. Gdy przybył do Brazylii osiedlił się w Paranie i tam się ożenił. Nakazał, by wszyscy jego potomkowie znali język polski i by przechowywali szablę, która służyła mu w powstańczych walkach, oraz dokumenty i odznaczenia, nadane mu przez Polski Rząd Narodowy.

— A w jakich okolicznościach umarł? — zapytał znów Portos.

— Jeden z przyjaciół dziadka, mający tartak w dolinie Amazonki, zaprosił go na współnika do swego przedsiębiorstwa. Dziadek chętnie się zgodził na to, gdyż otwierało to przed nim widoki dobrego urzędu na obczyźnie. Pozostawił rodzinę w Paranie, a sam pojechał obejrzeć obiekt i załatwić formalności prawne, związane z przystąpieniem do spółki.

-- Ten wyjazd był jego nieszczęściem, gdyż tam właśnie znalazł śmierć. Jeden z tych włóczęgów, jakich setki w tych czasach grasowały, zastrzelił go w czasie rozrywkowej gry w karty.

— Kiedy fo się stało? — zapytał Otavio.

— Już jest około sześćdziesięciu lat — odrzekł Józef. — Ale niech, pan mi powie, co się panu stało, panie Portos?

— Co ci się stało? — zapytała z kolei Dora.

— Ja zaraz wszystko wyjaśnię! — odpowiedział Otavio — Opowiedziałem wam historię Władców Przestrzeni, którą usłyszałem od starego arcykapłana. Teraz muszę powiedzieć wszystko, co on mi opowiadał o swym prywatnym życiu.

— Był on potomkiem jakiejś zacnej rodziny amerykańskiej — zaczął swe opowiadanie Portos. — Zasmakowało mu jednak życie włóczęgi. Stopniowo zaczął się staczać

coraz niżej. Zaczął zawodowo grywać w karty, pić itd. Wreszcie stoczył się na dno moralnego upadku. Złapany na gorącym uczynku szulerki zastrzelił tego, który go złapał i Bogu ducha winnego Człowieka, którego wciągnął do pozornie rozrywkowej gry. Tym człowiekiem był niejaki Antoni Skiba.

— Mój dziadek! — wykrzyknął w uniesieniu Józef.

— Właśnie! — rzekł Portos — Zgodnie z wolą starca czwarta część skarbu należy do ciebie i twojej rodziny Józefie.

Wśród zebranych zawrzało. Każdy podchodził do Józefa i wieszował mu współczując jednocześnie losowi jaki pół wieku temu spotkał jego przodka. Józef był wyraźnie zakłopotany. Stary Camber dyskretnie ocierał cisnące mu się do oczu łzy.

— Nie dziwcie się teraz, że robiłem wrażenie nieprzytomnego - - powiedział Portos. — Starzec, szczerze żałujący swych postępów, nałożył na mnie obowiązek odnalezienia spadkobierców ofiar jego zbrodni. Teraz czuję się wolnym. Spełniam obietnicę daną starcowi ze szczególną satysfakcją, gdyż skarby dostają się w ręce człowieka godnego ich, który życiem swym zasłużył na dobrobyt.

— Bóg Wszechmocny wynagrodził tych, którzy razem przeżyli piekło na ziemi — rzekła pani Portos.

— Zupełnie słusznie, czcigodna pani — wtrącił wesoło Pontonra — ale ja jestem przekonany, że kapitan Portos jest bardziej zadowolony ze skarbu, w którego obronie występował przez cały ten tragiczny okres.

To mówiąc porucznik Pontonra skłonił się głęboko przed zażenowaną Dorą.

— Pani ma rację! — rzekł po chwili namysłu milioner. — Bóg nagradza tych, którzy są godni nagrody, a karze niegodnych!

— Myślisz o Bobie, tatusiu — szepnęła Dora.

— Tak najdroższa!

— Czy wyprawa zorganizowana przez starego Schmidta

nic nie odnalazła? — zapytał Pontoura.

— Żadnego śladu! Znaleźli jedynie jezioro. Nawet Inkasów już tam nie było. Stary Schmidt chciał zorganizować drugą ekspedycję, ale w międzyczasie został uwięziony z rozkazu Departamentu Stanu.

— Uwięziony?! — wykrzyknęła Dora — Z jakiego powodu ?

— Po zniknięciu chłopaka — ciągnął bankier — wyszło na jaw, że tkwił on w olbrzymich długach...

— Ależ! Schmidt był dostatecznie bogatym, by spłacić kawalerskie długi swego synka — wtrącił zdziwiony Portos.

— Niewątpliwie! — odrzekł Camber — Ale wyszło wtedy na jaw wiele innych ciemnych spraw, jak fałszerstwa weksli i czeków itd. Policja zainteresowała się tym wszystkim bardzo drobiazgowo i uchwyciła dowody, że Bob, korzystając z zajmowanego stanowiska w dyplomacji, otrzymywał pieniądze od innych państw w zamian za udzielanie im pewnych, tajnych, wiadomości...

— A więc był on nikczemnym szpiegiem i zdrajcą! — wykrzyknęła Dora.

— Ojciec nic nie wiedział o tych jego aferach więc...

— Dlaczego więc go uwięzili? — pytał znów Portos — Dlaczego nie spłacił długów syna?

— Widzisz, mój kochany — wyjaśnił bankier — policja raz zainteresowawszy się jakąś sprawą nie tak łatwo od niej odstępuje. Po nitce do kłębka. W czasie dochodzeń wyszło na jaw, że stary Schmidt był szefem sieci szpiegowskiej.

— Czy to możliwe? — wyszeptała Dora.

— Nie tylko jest to możliwe, ale nawet pewne. Dziś otrzymałem wiadomości. Schmidt jest w stanie oskarżenia o zdradę i szpiegostwo. Sąd posiada niezbite dowody. Proces, który rozpoczął się wczoraj w Waschingtonie jest tylko prawną formalnością, gdyż stary w śledztwie przyznał się do wszystkiego. Wyobraźcie sobie, że

przez dwadzieścia lat przyjaźniłem się z nim nie podejrzewając go o nic, a on swój brudny proceder prowadził od przeszło dwudziestu lat.

— To jest system działalności piątych kolumn.! — powiedział Foutoura — Pod maską patriotyzmu przenikają oni do najwyższych warstw, sami osiągają zaszczyty i dostojęstwa, z piedestału których mogą swobodnie uprawiać, swą haniebną działalność. Najciekawszym jest fakt, że ojciec nie wiedział o sprawkach syna, a syn o ojca.

Nie podobał mi się ten młodzieniec — szepnął zamysłony Józef.

--- Ale nie znacie ostatnich wiadomości - powiedział Fontoura. zmieniając temat rozmowy. — Otavio powrócił do służby czynnej. Został przeznaczony do zorganizowania i przeszkolenia w pilotażu brazylijskich załóg do obsługi nowoczesnych bombowców amerykańskich, zakupionych przez rząd brazylijski w Stanach Zjednoczonych.

— Jak to dobrze, Otavio! — zawołała uszczęśliwiona Dora — Więc wrócimy razem.

Pani Portos uściskała syna mówiąc:

--- Moje marzenia spełniły się. Wreszcie zrehabilitowany i finansowo niezależny, a w dodatku przywozi mi tak śliczną synową.

--- A ja mam teraz kochaną i dobrą mateczkę – rzekła dziewczyna całując swą przyszłą teściową.

— Jestem, naprawdę szczęśliwa! ciągnęła matka — Żałuję jedynie, że mąż mój nie dożył tego szczęśliwego dnia.

— „Honor i Godność” mawiał zawsze ojciec — rzekł cicho Otavio łącząc obie w jednym uściski .

W wyobraźni widział uśmiechniętą sylwetkę ojca, zadowolonego, że syna spotkała nagroda za wierność szlachetnej zasadzie, której sam przez całe życie hołdował wbrew osobistym interesom materialnym.

*Koniec.*